

JONATHAN TROPPER

Pełna sarkastycznego
humoru historia,
w której rubaszność
jest przykrywką dla
refleksji o miłości
i utracie.

„The Daily Mail”

JAK ROZMAWIAĆ Z WADOWCEM

Świat Książki



Tropper Jonathan

Jak rozmawiac z wdowcem

Gdy śmierć przychodzi za wcześnie...

Facetowi nie wypada rwać włosów z głowy i płakać, lecz nagła strata bardzo boli. I jak tu przetrwać żal? Doug ma zaledwie dwadzieścia osiem lat, a już został wdowcem: jego ukochana Hailey zginęła w katastrofie samolotu. Doug nie ma siły ani ochoty na nic, ale życie nie stoi w miejscu. Jego pomocy wymaga krnąbrny, nastoletni pasierb i absorbująca rodzinka. No i zaczynają znów pojawiać się kobiety, które mają swoje sposoby na to, by wyrwać go z marazmu...

Słodko-gorzka, niebywale śmieszna, ale i wzruszająca do łez opowieść o męskim żalu, tęsknocie i samotności, przetrzymywanej czasem... wbrew własnej woli.



Russ się ujarął. Widać to po białkach oczu, które błyszczą na różowo w migoczącym świetle na ganku, po rozszerzonych źrenicach, po tym, jak leniwie na wpół przymyka powieki, i po tym, jak nonszalancko opiera się o wkurzonego gliniarza, który prostuje go o framugę - wyglądają jak dwaj kumple na cyku wychodzący z baru po ostatniej kolejce. Jest tuż po północy. Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, leżałem jak zwykle rozwalony na kanapie, w półśnie, za to zalany w trupa, katując się wspomnieniami, które wyciągałem przypadkowo z pamięci jak zapałki z pudełka. Zapalałem je po kolei, dokonując przy tym sennego samospalenia.

- Co się stało? - pytam.

- Pobił się z chłopakami na stacji - mówi gliniarz, trzymając Russa za ramię. Dopiero teraz dostrzegam zadrapania i sińce na twarzy Russa, wściekłą, sierpowatą szramę na szyi. Ma niemiłosiernie rozciągniętą czarną koszulkę, rozdartą pod brodą, a ucho krwawi mu w miejscu, z którego został wyrwany kolczyk.

- Wszystko w porządku? - pytam Russa.

- Wal się, Doug.

Jakiś czas go nie widziałem. Zapuścił bródkę - maleńki zarost tuż pod dolną wargą.

- Pan nie jest jego ojcem? - pyta policjant.

- Nie.

Przecieram oczy pięściami, staram się oprzytomnieć. Whisky nuciła mi właśnie ostatnią zwrotkę kołysanki; wyrwany znienacka z marazmu, widzę wszystko jak za mgłą.

- Mówił, że jest pan jego ojcem.

- Wyrzekł się mnie. Tak jakby - mówi Russ z goryczą.

- Jestem jego ojczymem - tłumaczę. - To znaczy kiedyś byłem.

- Kiedyś pan był. - Policjant mówi to z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie spróbował ohydnej tajszczyzny, i patrzy na mnie groźnie. Jest wielki - inaczej nie utrzymałby Russa, który ma co prawda szesnaście lat, ale ponad sześć stóp wzrostu, a do tego wielkie i zwaliste ciało. - Wygląda pan raczej na jego brata.

- Ożeniłem się z jego matką.

- Gdzie ona jest?

- Odeszła.

- Chciał powiedzieć, że nie żyje - poprawia mnie Russ pogardliwie. Unosi rękę i opuszcza ją łukiem, gwizdząc, po czym syczy przez zęby, naśladując dźwięk wybuchu: - Pa pa.

- Zamknij się, Russ.

- To mnie zmuś.

Gliniarz zaciska krępe palce na ramieniu Russa.

- Cicho, synu.

- Nie jestem pana synem - warczy Russ, na próżno usiłując się wyswobodzić z żelaznego uścisku policjanta. - Nie jestem niczym synem.

Policjant bez trudu wgniata go we framugę i unieruchamia, chociaż Russ wymachuje rękami. Potem zwraca się do mnie.

- A ojciec?

- Nie wiem. - Odwracam się w stronę Russa. - Gdzie Jim?

Russ wzrusza ramionami.

- Wyjechał na Florydę.
- A Angie?
- Razem z nim.
- Zostawili cię?
- Tylko na dwa dni. Jutro wracają.
- Angie - mówi policjant.
- Żona jego ojca.

Gliniarz wygląda na poirytowanego, jakbyśmy przyprawiali go o ból głowy. Chcę mu wszystko wyjaśnić, przekonać, że to wcale nie jest tak porabane, jak się wydaje, ale nagle uświadamiam sobie, że właśnie jest.

- Dzieciak tu nie mieszka?

- Kiedyś mieszkał - tłumaczę. - To dom jego matki.

- Słuchaj pan - mówi gliniarz ze znużeniem. To facet w średnim wieku, ma wąsy przypominające siwiejącą gąsienicę i zmęczone oczy. - Młody coś palił, ale niczego przy sobie nie miał. Kończę zmianę i nie mam ochoty marnować godziny na spisywanie go z powodu kretyńskiej bójki. Sam mam trzech synów. Teraz gra twardziela, ale w radiowozie ryczał i błagał, żebym go tu przywiózł. Zrobimy tak: albo zabiorę go na komendę i wypiszę parę wykroczeń, albo go pan wpuści i obieca, że to się nie powtórzy.

Russ wpatruje się we mnie ponuro, jakby to była moja wina.

- To już się nie powtórzy - mówię grzecznie.

- W porządku.

Gliniarz puszcza Russa, który gwałtownie wyrywa ramię i wpada do środka, pędzi po schodach do swojego dawnego pokoju, rzucając mi nienawistne spojrzenie, które niczym harpun przeszywa ochronną warstwę mojego pijackiego stuporu.

- Dziękuję panu - mówię do gliniarza. - To dobry chłopak. Tylko ostatni rok był trudny.

- Musi pan wiedzieć - mówi gliniarz, drapiąc się z za

dumą po brodzie - że nie pierwszy raz wpackował się w kłopoty.

- Jakże?

Gliniarz wzrusza ramionami.

- Klasyka. Głównie bójki. Wandalizm. Marihuana. Schodzi na złą drogę. Nie wiem, jaka w tym pana rola, ale ktoś musi dopilnować, żeby nie szwendał się po nocy. Może znaleźć mu psychologa.

- Pogadam z jego ojcem.

- Następny razem go zgarniemy.

- Rozumiem. Dziękuję.

Gliniarz patrzy na mnie sceptycznie. Domyślam się, jak wyglądam w jego oczach: zaszargany, nieogolony, przekrwione oczy, menel. Też byłbym sceptyczny.

- Przykro mi z powodu pana żony - dodaje. Zamykam za nim drzwi.

- I panu, i mnie.

Na górze, w swoim dawnym pokoju, Russ zdążył po ciemku wśliznąć się pod kołdrę. Nic się tam nie zmieniło, jak zresztą w całym domu, bo przez rok od śmierci Hailey niczego nie tknąłem. Dom jest niczym kadr naszego dawnego życia, uchwycony na chwilę, zanim to życie się rozpadło. Stoję na korytarzu, światło mam za plecami, mój cień pada na załamania i fałdy jego kołdry, a ja zastanawiam się, co powiedzieć temu obcemu, nabuzowanemu chłopakowi, z którym mam się w jakiś sposób czuć związany.

- Słyszę twój oddech - mówi, nie podnosząc głowy z poduszki.

- Sorry - rzucam, wchodząc do pokoju. - O co poszło?

- O nic. Jakieś gnoje nas zaczepiły.

- Z twojej szkoły?

- Nie. Starsi.

- Na haju to raczej trudno obić kogoś pysk.

- Aha. - Przewraca się i unosi głowę, żeby ze mnie zadrwić. - Chyba darujesz sobie tyradę o szkodliwości narkotyków, co, jaraczu?

Wzdycham.

- Tak myślałem - mówi, odwracając się do poduszki i chowając twarz w ramionach. - To była cholernie długa noc, więc jeśli nie masz nic przeciwko...

- Ja też ją straciłem, Russ - mówię.

Z głową w ramionach wydaje odgłos, który może być kpiarskim prychnięciem albo zduszonym szlochem, sam nie wiem.

- Zamknij za sobą drzwi - szepcze.

Człowiek nie wie, kiedy umrze, ale może jakaś jego część przeczuwa śmierć, może jakiś komórkowy zmysł ma świadomość kosmicznego odliczania, robi więc swoje. Ostatniej nocy swojego życia Hailey zaskoczyła mnie, zakładając krwistoczerwoną sukienkę, z głębokim wycięciem i obcisłą wszędzie tam, gdzie trzeba. Zupełnie jakby wiedziała, co się szykuje, jakby wiedziała, że to będzie nasza ostatnia wspólna noc, jakby chciała się uchronić przed zbyt szybkim wyblaknięciem w mojej pamięci.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Dłużej niż zwykle zatrzymywałem wzrok na znanych kształtach i krągłościach ciała - gibkiego i zgrabnego pomimo urodzenia dziecka i blisko czterdziestki na karku - na miękkich zagłębieniach odsłoniętych obojczyków, na satynowej bieli skóry. Pragnąłem jej tak, jak zwykle nie pragnie się kogoś, z kim się sypia od blisko trzech lat. Złapałem się nawet na rozważaniu ewentualnych skutków dyskretnego oddalenia się od stolika na szybki numer; wyobraziłem sobie nas w zamkniętej łazience, całujących się namiętnie i chichoczących z własnej zuchwałości. Przypieram ją do ściany, zadzieram czerwoną sukienkę, ona obejmuje mnie gładkimi, nagimi nogami, wciąga

mnie w siebie. Tak właśnie roi się w głowie komuś, kto przez wiele lat mieszkał sam i miał pierwszorzędną kablówkę.

Ale choć ta wizja podnieciła mnie do tego stopnia, że pod stołem złapał mnie ból, wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Po pierwsze, nie było mowy o tym, żeby niepostrzeżenie się oddalić. Po drugie, ja miałem dwadzieścia osiem lat, a Hailey prawie czterdzieści, i o ile nasze pożycie było naprawdę świetne, lepsze pewnie niż większości par, to szybkie numerki w publicznych szaletach nie stanowiły już części naszego repertuaru. Właściwie to nigdy do niego nie należały, bo mam obsesję na punkcie higieny, a sama myśl o wymianie płynów w pomieszczeniu pełnym bakterii byłaby dla mnie nie do zniesienia.

W drodze powrotnej moja ręka wędrowała wyżej i wyżej po gładkiej, waniliowej skórze jej uda, a zanim wjechałem do garażu, Hailey zdążyła się do mnie dobrać. W ciemności zadarłem jej sukienkę, oparłem ją o rozgrzaną maskę, z której dobywał się jeszcze jęk wyłączonego silnika, po czym my sami, jęcząc, rozgrzaliśmy się do nieprzytomności, jakbyśmy znów byli nastolatkami, z tą różnicą, że seks wychodził nam znacznie lepiej, a samochód faktycznie był nasz.

Kiedy po niedługim czasie weszliśmy do domu, musieliśmy mieć seks wymalowany na twarzach, bo Russ przerwał grę wideo, popatrzył na nas dziwnie, po czym potrząsnął głową i powiedział, żebyśmy wynajęli sobie pokój.

- Nie musimy - odparła Hailey, łapiąc mnie za rękę i ciągnąc na schody. - Mamy własny.

- Ohyda - mruknął Russ. Wydawszy tę opinię, znów zajął się nonszalanckim uśmiercaniem tych, którzy jeszcze pałętali się po ekranie. A myśmy poszli na górę, żeby łamać przykazania Pana Boga i stanu Nowy Jork; złamaliśmy je z nową pasją, całując się, liżąc, spijając i pożerając siebie nawzajem. Jakby miało nie być jutra.

Byliśmy niecałe dwa lata po ślubie. Wyprowadziłem się z miasta, żeby zamieszkać z Hailey i Russem w niewielkim domu w stylu kolonialnym, w którym Hailey mieszkała wcześniej z pierwszym mężem, Jimem, dopóki nie odkryła, że ją zdradza, i nie wyrzuciła go za drzwi. Wciąż jeszcze oswajałem się z zamianą ról; z przeobrażeniem się z krążącego po mieście palanta w statecznego męża, mieszkańca przedmieść; z rolą ojczyma nadąsanego nastolatka, najmłodszego członka drużyny softballowej Tempie Israel; z zapraszaniem gości na obiad, z ogródkowymi grillami i przedstawieniami szkolnymi. Wciąż jeszcze się do tego przyzwyczajałem, kiedy Hailey wsiadła do samolotu, żeby spotkać się z klientem z Kalifornii, a gdzieś ponad Kolorado pilot nie trafił w niebo. Czasem to życie, które dopiero zaczęliśmy, wydaje mi się tak ulotne jak blednący sen i muszę sam siebie przekonywać, że to było naprawdę. *Miałem żonę - powtarzam raz za razem. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.*

Ale nie pora teraz o tym mówić. Żeby o tym mówić, musiałbym o tym myśleć, a przez cały zeszły rok myślałem o tym aż do bólu. W niektórych zakamarkach umysłu myśli o Hailey krążą stale. Jest tam nawet cały Dział Badań i Rozwoju poświęcony wyłącznie nowym metodom rozpaczania, lamentowania i użalania się nad sobą. Powiem wam tylko, że ten dział zna się na rzeczy, więc niech dalej się tym zajmuje.

Niemal codziennie przychodzą do nas króliki. Są małe i brązowe, na grzbiecie mają szare cętki, a na zadku białe kępki, które wyglądają jak postrzępiona bawełna. Ściśle mówiąc, przychodzą do mnie. Nie ma już nas, ten etap skończył się ponad rok temu. Czasem o tym zapominam, co akurat wydaje się dziwne, bo zazwyczaj tylko o tym potrafię myśleć. To mój dom. Mój trawnik. Moje zasrane króliki.

Przychodzą króliki, a to podobno takie cudowne, niebywała gratka, niekwestionowany dowód tego, że ktoś wreszcie wyniósł się z miasta i oddycha teraz powietrzem przedmieść Westchesteru. Co z tego, że jeździmy minivanami i samochodami sportowo-użytkowymi, a tym samym mamy swój udział w topnieniu lodowców; co z tego, że oplatamy nasze majestatyczne, osiemdziesięcioletnie domy taką ilością kabli światłowodowych, że można by nimi udusić planetę; co z tego, że okolica wygląda jak upstrzona rakowatymi naroślami -w każdym wolnym miejscu stawiamy sklepy Home Depot, Wal-Mart, Stop & Shop i centra handlowe - mamy przecież króliki, skaczą po naszym trawniku jak w jakiejś zasranej kreskówce Disneya, a to znaczy, że nie ma o czym gadać. Żyjemy w harmonii z przyrodą i już.

New Radford to typowe przedmieście wyższej klasy średniej. Takie jak w książkach i na filmach. Wszystko się zga-

dza. Murowane domy w stylu Tudorów i kolonialnym z lat trzydziestych; pączkujące rodziny i małżeństwa w wieku rozwojowym; luksusowe niemieckie auta stoją na podjazdach jak w reklamie; zblazowane dzieciaki w stonowanych, markowych ubraniach Abercrombie & Fitch zupełnie niegodnie wybierają parkingi na miejsca spotkań; ludzie spieszący się rankiem do pracy, upchnięci niczym bydło w pociągach metra linii północnej dojeżdżającej na Manhattan; okolica jest upstrzona minivanami i kryzysami wieku średniego. Co rano pojawiają się rozklekotane półcieżarówki z drewnianą nadbudową - to zastępy imigrantów przyjeżdżają dopieścić krajobraz, strzyc i nawozić trawniki albo wysokie, dumne żywopłoty wzdłuż granic posesji.

To właśnie te bujne trawniki muszą stanowić atrakcję dla królików. Czasem zdarza mi się zobaczyć, jak wyłaniają się z żywopłotu i pędzą po trawie, ale najczęściej widuję je na samym środku placu, kiedy stoją na tylnych łapach niczym posągi, a nozdrza wibrują im niemal niedostrzegalnie, jakby leciutko poraził je prąd. To najlepszy moment, żeby czymś w nie rzucić.

Królik Bugs, Tuptuś, Królik Roger, Piotruś Królik, Pluszowy Króliczek. Nadaję im imiona bohaterów filmów i książek i robię, co mogę, żeby nauczyć je moresu. Bo to one przypominają mi o tym, jak jest, o samotności i życiu, które miało się potoczyć zupełnie inaczej. Wtedy wkurzam się na Hailey, a potem jest mi smutno, że się na nią wkurzam, więc się wkurzam za to, że mi smutno, a wtedy moja zdolność do użalania się nad sobą, która nigdy nie daje o sobie zapomnieć, przestawia się na wyższy bieg - to coś jak niekończący się żaloszny cykl prania; brudne ciuchy wirują i wirują, a i tak pozostają brudne. No więc rzucam w króliki. Najczęściej małymi kamieniami - na ganku mam ich cały stosik, wyglądają jak grób kowboja na pustyni - ale przyznaję, że w gorszych chwilach zdarzało mi się w nie rzucić czym po-

padnie, jak choćby pełną puszką piwa czy jakimś narzędziem ogrodniczym. Kiedyś rzuciłem pustą butelką po bushmillsie -szyjka tak mocno wbiła się w trawę, że przez kilka dni wyglądało tak, jakbym usiłował wyhodować whisky.

Spokojnie. W żadnego jeszcze nie trafiłem. Króliki dobrze o tym wiedzą, prawie się nie ruszają, kiedy pocisk upada na trawę trzy stopy za nimi albo jard w lewo. Czasem unoszą ucho, a czasem patrzą na mnie wyzywająco, naigrawają się ze mnie, wymyślają mi, a kpina wyziera z ich okrągłych oczu. „To wszystko, na co cię stać? O, w mordę, moja babka rzuca mocniej”.

Króliczek Energizera, Króliczek Playboya, Królik Wielkanocny, Harvey, Króliczek z reklamy płatków śniadaniowych, Biały Królik z zegarkiem kieszonkowym z *Alicji w krainie czarów*. Siedzę na ganku z kamieniem w ręku, mierzę w tego, który zapędził się aż na podjazd, nagle dzwoni komórka. To matka. Chce się dowiedzieć, czy przyjdę na rodzinny obiad z okazji zbliżającego się ślubu mojej młodszej siostry Debbie.

- Przyjdiesz - mówi. Nie ma bata.

- Nie wiem - odpowiadam. Królik wykonuje eksperymentalny skok w moją stronę. To Harvey. Celuję, rzucam kamieniem. Leci wysoko, szerokim łukiem, Harvey nie zwraca nawet na niego uwagi.

- A czego tu można nie wiedzieć? Nagle jesteś taki zajęty?

- Nie jestem w nastroju na uroczystości.

Debbie wychodzi za Mike'a Sandlemana, mojego byłego kumpla, którego miała szczęście poznać w moim domu, kiedy odprawiałem sziwę, czego zresztą w ogóle nie zamierzałem robić. Nigdy nie byłem pobożnym Żydem - Ben Smilchensky, z którym siedziałem w ławce w Szkole Hebrajskiej Beth Torah, przynosił na zajęcia komiksy o Batmanie, które

wkładaliśmy między strony hebrajskiego elementarza i to był właśnie początek końca. Absurdem byłoby wdrażanie się w religijność właśnie teraz, kiedy Bóg wreszcie odkrył karty i objawił, że tak naprawdę nie istnieje. Wiem, bo przy tym byłem: stałem przecież obok Russa na cmentarzu, widziałem, jak trumnę Hailey spuszczo na dwóch sznurach całe mile pod ziemię. Słyszałem skrzypnięcie i łoskot, kiedy trumna stuknęła o kamień świeżo wykutego grobu, a potem huk rzuconych na nią grudek. Była w ziemi. Moja Hailey była w ziemi, w otwartej ranie grobu na cmentarzu Emunah - niedaleko basenu i jakieś pół mili od ulicy Sprain Brook, którą jeździliśmy jesienią, żeby popatrzeć, jak liście zmieniają kolor. Hailey mówiła żartobliwie o kiściach liści, a potem mówiliśmy już tak oboje. Teraz Hailey była pod ziemią, a ja wiedziałem, że zawsze będę mówił „kiście liści” i że jesień będzie zawsze bolesna, i że pewnie przeniosę się na zachód, dokądś, gdzie nie ma tylu pór roku. Zatem nie mówcie mi o Bogu.

Moja siostra bliźniaczka Claire przekonywała, że trzeba odprawić sziwę ze względu na Russa i że mogę nie wierzyć w Boga, ale na pewno wierzę w winę, a z wiecznością lepiej nie zadzierać, nawet jeśli jej nie ma. No więc odprawiliśmy sziwę - było tak źle, jak się spodziewałem. Siedziałem z Russem cały dzień, tyłki nam się pociły od winylowych obić krzeseł dostarczonych przez Hebrajskie Towarzystwo Pogrzebowe, kiwałem głową i zaciskałem usta na widok niekończącego się korowodu gapiów przetaczających się przez mój duży pokój; przyjaciele, sąsiedzi i krewni przysiadali na lichych krzesłach firmy cateringowej, puszczała przez chwilę gadkę szmatkę, po czym ruszali do jadalni, żeby coś wybrać ze szwedzkiego bufetu. A owszem, był bufet: obwarzanki, łosoś wędzony i gotowany, sałatki, quiche i lepkie węgierskie ciastka - podarowane przez przyjaciół Hailey z Temple Israel. Okazuje się, że żałoba też jest w ofercie cateringu.

No i pojawiła się moja siostra Debbie, która najwyraźniej pomyliła dom żałoby z barem w Soho, odstawiona na maksa, w krótkiej spódniczce i staniku, który wywindował zaokrąglone wierzchołki jej nie za dużych piersi ponad horyzont dekoltu sweterka w serek, tak że wyglądały jak dwa wschodzące słońca. Zaczniemy od tego, że nikt nie chce oglądać cycków własnej siostry, ale przegięciem było to, że obnosiła je tak ostentacyjnie w domu, w którym obchodziłem żałobę. Potem okazało się, że zabawiała się na górze z moim kumplem Mikiem, więc wybaczcie, jeśli nie jestem szczególnie pochłonięty ich szczęściem. Gdyby nie śmierć Hailey, nigdy by się nie poznali, a teraz ich szczęśliwa wspólna przyszłość, małżeństwo, dzieci będą skutkiem śmierci Hailey, i choć jestem w stanie racjonalnie przetłumaczyć sobie, że nie są przecież odpowiedzialni za jej śmierć, to jednak czerpią z niej korzyści, a budowanie swojego życia na cudzej tragedii jest nie w porządku i już.

- Tu nie chodzi o uroczystość - mówi matka - ale o spędzanie czasu z rodziną.

- Jasne - odpowiadam, wpatrując się w królika. - Tylko że na to też nie mam ochoty.

- Nie mówi się matce takich rzeczy.

- Dlatego zacząłem od uroczystości.

- Ha - matka na to. Jest jedną z tych osób, które zamiast się śmiać, mówią „ha”. - Skoro stać cię na zgryźliwość, możesz równie dobrze przyjść na obiad.

Takie rozumowanie to u mojej matki odpowiednik logiki.

- Nie sędzę.

Matka wzdycha, a sposób, w jaki to robi, każe mi wyobrazić ją sobie jako postać z komiksu z dymkiem „westchnienie” małym drukiem nad głową.

- Doug - mówi. - Nie możesz wiecznie być smutny.

- Chyba mogę.

- Minał już rok. Czas wziąć się w garść.

- Właśnie, mamó. To dopiero rok.
- Siedzisz cały czas w domu.
- Bo mi to odpowiada.

Nie ma sensu tłumaczyć wartości uzalania się nad sobą komuś takiemu jak moja matka. Albo się to rozumie, albo nie. Każdy radzi sobie po swojemu. Matka na przykład bierze proszki - maleńkie żółte pigułki, które trzyma w starym opakowaniu po advilu i zawsze nosi w torebce. Nie wiem, co to za proszki, a ona sama nigdy się nie przyzna, bo zażywanie leków jest dla niej niczym kazirodstwo, mroczny rodzinny sekret, który za wszelką cenę trzeba ukrywać przed sąsiadami. Claire mówiła na nie „vilki”, bo „Ad” dawno wytarło się z etykiety i zostało tylko „vii”. Zwinęliśmy jej kiedyś kilka pigułek i popiliśmy winem, żeby zafundować sobie mały odlot. Jeśli nawet matka zauważyła, że paru jej brakuje, nie powiedziała słowa. Ponieważ wtedy jeszcze ojciec mógł wypisywać jej recepty, miała ich niewyczerpany zapas.

- Nie da się z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim stanie - oznajmia matka.

- A jednak rozmawiasz.
- Bo się martwię. Możesz mnie za to pozwać.
- Wniosę raczej o zakaz zbliżania się.
- Ha, ha. Miłość matki jest najwyższym prawem.
- Jak ojciec?
- Na szczęście ma dziś lepszy dzień.
- To dobrze.
- Jak Russell?
- W porządku. Nie widziałem go od kilku dni.

Właściwie to ostatni raz widziałem go tej nocy, kiedy policjant przywłókł go do mojego domu, ujaranego, pobitego i ziejącego do mnie nienawiścią.

- Biedny chłopak. Weź go ze sobą.
- Dokąd?
- Na obiad. O tym przecież mówimy.

- Myślałem, że zmieniliśmy temat.
- Tobie przydałyby się pewne zmiany.
- Zacznę od razu. Pa, mamó.
- Debbie będzie zrozpaczona.
- Jakoś nie wydaje mi się, żeby jej idealne życie miało z tego powodu ucierpieć.

Matka dobrze wie, że tego tematu lepiej nie ciągnąć.

- Obiecay tylko, że się zastanowisz.
- Musiałbym skłamać.
- A od kiedy to nie potrafisz okłamywać matki? Wzdycham.
- Zastanowię się.
- O nic więcej nie proszę - matka odwdzięcza się kłamstwem. Coś jeszcze mówi, ale już tego nie słyszę, bo w tej chwili rzucam telefonem w królika, który wreszcie wyłonił się z cienia rosnącego przed domem wielkiego jesionu. Trafiam nie w królika, tylko w drzewo - komórka rozpada się w drobny mak, plastikowe odłamki rozsypują się po całym trawniku. Królik patrzy na mnie jak na idiotę. Matka pewnie dalej nawija, chociaż nikt jej już nie słyszy.

Matka ostrzegała, żebym nie żenił się z Hailey. Ale kiedy miałem pięć lat, mówiła też, że w szalecie publicznym nabawię się nieuleczalnej choroby wenerycznej, że mam wstrzymywać oddech, kiedy przejeżdża autobus, bo od spalin szernieją mi płuca, i że w barach szybkiej obsługi nie serwują nic innego, jak przetworzone szczurze mięso. Zanim więc skończyłem dwadzieścia sześć lat - a tyle miałem, kiedy poinformowałem ją, że żenię się z Hailey - miałem powody, żeby zbyt jej nie ufać.

- Nie ma mowy, żebyś się z nią związał - powiedziała przy obiedzie z przekonaniem, od którego wygięły się jej cienkie brwi.

Przyjechałem pociągiem z Manhattanu do Forest Heights, żeby odwiedzić rodziców i podzielić się radosną nowiną: ich niewydarzony potomek wreszcie miał się ożenić. Najlepiej tego nie przyjęli.

- To będzie totalna katastrofa - oznajmiła matka markotnie, ściskając kieliszek tak mocno, że zacząłem się obawiać, czy aby nie pęknie i nie pokaleczy jej wypielegnowanych dłoni.

- Prawie jej nie znasz.

- Znam wystarczająco. Jest za stara.

Matka była przed laty średnio popularną aktorką, nomino-

waną do nagrody Tony za rolę Adelajdy w musicalu *Guys and Dolls*, i choć ostatni program teatralny w jej albumie pamiątkowym był starszy ode mnie, podobnie jak większość emerytowanych aktorów nigdy nie przestała grać. Wciąż deklamowała, gestykulowała, popisowała się. Oczy - szeroko otwarte, pełne wyrazu; usta - nieustannie gotowe wykrzywić się stosownie do emocji.

- Ma raptem trzydzieści siedem lat.

- Trzydziestosiedmioletnia rozwódka. Spełnienie marzeń każdej matki.

Matka miała rozwlekłą listę ludzi ułomnych. Rozwodnicy plasowali się na niej tuż za pedofilami.

- Mąż robił ją w trąbę - wyjaśniłem, poirytowany własnym obronnym tonem.

- Ciekawe czemu.

- Rany, mamo, nie wiem. Bo był kutasem?

- Doug! - ojciec upomniał mnie odruchowo, demonstracyjnie machając ręką nad stołem, na wypadek gdybym nie dosłyszał. - Jemy obiad.

Takiego mniej więcej udziału w rozmowie bym się po nim spodziewał, chociaż wydawałoby się, że główny urolog jednego z większych nowojorskich szpitali potrafi pogodzić słowo „kutas” zjedzeniem obiadu.

- Daruj, tato, nie chciałem cię budzić.

- Nie odzywaj się tak do ojca.

- A ty do mnie.

- Jak?

- Jakbym był dzieckiem. Na rany Boga, mam dwadzieścia sześć lat.

- Ale nie musisz być wulgarny.

- Zdawało mi się, że sytuacja tego wymaga.

Matka wychyliła merlota niczym szklaneczkę whisky i bezwiednie podstawiała kieliszek ojcu, żeby dolał.

- Stan - westchnęła znużona. - Powiedz mu coś.

Ojciec odłożył widelec i zaczął z namaszczeniem przeżuwać pieczeń w tempie trzydziestu ruchów zuchwą na jedno przełknięcie. Kiedy byłem mały, po cichu liczyłem te ruchy, żeby zabić czas, i codziennie obstawiałem, że może tym razem będzie ich trzydzieści jeden. Nigdy nie wygrałem, co w sumie dobrze ilustruje mój życiowy fart. Nawet kiedy zakładałem się sam ze sobą, zawsze udawało mi się przegrać.

- Widzisz, Douglas, podejmowanie trafnych decyzji raczej nie jest twoją mocną stroną - odezwał się ojciec.

No, dobra. Wiem, na czym stoję. Można przez całe życie silić się na uprzejmość, być kochającym synem, przyzwoitym uczniem, nie brać twardych narkotyków, nie spłodzić niechcianego potomka - być dobrym człowiekiem i żyć w zgodzie ze wszystkimi stworzeniami Pana. Ale wystarczy raz w wieku lat piętnastu rozbić przed komisariatem ukradzionego mercedesa, a nigdy wam tego nie zapomną. Matka była zgorszona, przerażona, co powiedzą sąsiedzi - akurat w tym wypadku miała powód: mercedes należał w końcu do sąsiada, ale przecież po coś wykupuje się ubezpieczenie. Jazda bezwypadkowa to kasa w plecy.

- A twoją mocną stroną na pewno nie jest udzielanie emocjonalnego wsparcia.

- Nie mogę się z tym zgodzić.

Stanley Parker nie wkurzył się. „Nie mógł się zgodzić”. Był lekarzem, absolwentem Uniwersytetu Bluszczowej Ligi, schludnym sześćdziesięciopięciolatkiem w dobrej kondycji, miał bujne, siwe włosy i okulary w złotej oprawce. Do wszystkiego odnosił się z rezerwą, choć jego ciepły uśmiech wypolerowany pastą Mentadent niejednego mógł wprowadzić w błąd. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek mnie przytulił, ale na pewno raz serdecznie uścisnął mi dłoń - kiedy skończyłem studia. Mam nawet zdjęcie na dowód.

- Posłuchajcie - powiedziałem, żałując, że nie posłuchałem intuicji, która podpowiadała, żeby zostać w domu i za-

łatwić sprawę przez telefon. Ale co tu dużo mówić, dawniej intuicja podpowiadała mi, że wystarczy przejechać się pożyczonym od sąsiada mercem, żeby zaliczyć łaskę; podszepty mojej intuicji nie tylko się nie sprawdzały, ale i nie stały się z czasem bardziej roztropne, więc nauczyłem się je ignorować.

- Kocham Hailey. Układa nam się. Jest piękna, mądra, jest wspaniałą matką. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że kogoś takiego sobie znajdę.

Matka wydała okrzyk przerażenia, wino chlusnęło z kieliszka, zostawiając na obrusie czerwoną plamę. Powinna pić chardonnay, kiedy mnie zaprasza.

- Ona ma dziecko? — zaskrzeczała, kładąc rękę na piersi i przymykając oczy. Oddychała tak ciężko, jakby ktoś ją ugodził nożem.

Uśmiechnąłem się.

- Gratulacje, babciu.

- Chryste Panie! - zawyła.

- No - powiedziałem, wstając - mniej więcej tego się spodziewałem.

Kiedy wybiegałem z domu, usłyszałem jeszcze, jak matka wymyśla ojcu, jakby to była jego wina.

- Stanley - jęczała. - To będzie zupełny dramat.

Tym samym zupełnie niechcący dowiodła słuszności jednej ze swoich ulubionych zasad: nawet popsuty zegarek dwa razy na dobę się nie myli.

Jak rozmawiać z wdowcem

Doug Parker

Po śmierci Hailey coś straciłem. Nie wiem, jak to nazwać. To taki mechanizm, który zabrania mówić prawdę, kiedy ludzie pytają, jak się miewasz; zapadka, która trzyma głębsze, prawdziwsze emocje pod kluczem. Nie wiem dokładnie, kiedy to straciłem, i nie mam pojęcia, jak to odzyskać, a jeśli chodzi o takt, uprzejmość i powściągliwość, jestem jak chodząca bomba zegarowa, która tylko czeka, żeby wybuchnąć.

W kontaktach towarzyskich jestem raczej niebezpieczny.

Któregoś dnia stałem w aptece po proszki nasenne, kiedy napatoczył się przyjacielka Hailey.

- Doug - mówi, podchodząc i łapiąc mnie za ramię, a jej diamentowa bransoletka wbija mi się w skórę jak zęby dzikiego zwierza. - Miałam do ciebie zadzwonić. Trzymasz się jakoś?

Znam scenariusz, wyuczyłem się roli na pamięć. Mam odpowiedzieć, że jakoś sobie radzę albo że jako tako się trzymam, albo że czasem jest lepiej, a czasem gorzej, albo że trzymam się na tyle, na ile w tym stanie można się trzymać, i naprawdę otworzyłem usta, żeby coś takiego z siebie wydusić, ale zamiast tego uniosłem pomarańczową fiolkę z lekami na receptę i powiedziałem:

- Jadę na tych zasranych prochach, a i tak nie mogę spać. Biorę więcej, ale wtedy śnią mi się koszmary, z których przez te

zasrane prochy nie mogę się obudzić. Jak się wreszcie obudzę, to jestem jeszcze bardziej zmęczony, a poza tym wcale nie chcę się budzić, bo od razu zaczynam myśleć o Hailey, więc z powrotem chcę zasnąć. A co u ciebie?

Rozejrzała się nerwowo wokół przejścia, planując ucieczkę. Zrobiło mi się jej szkoda, ale bardziej żałowałem siebie, więc pokręciłem tylko głową i pomachałem do niej, jakby stała po drugiej stronie ulicy, a nie na tyle blisko, że widziałem na jej policzkach otwarte pory skóry, i wyszedłem.

Takie rzeczy przytrafiają mi się cały czas.

Moja siostra Claire twierdzi, że robię to celowo, że to mój sposób na trzymanie ludzi na dystans, i pewnie coś w tym jest, ale przysięgam, że nie robię tego świadomie. To przychodzi bez ostrzeżenia, jak nagłe, gwałtowne kichnięcie.

Kilka tygodni temu świadek Jehowy czy też jakiś nawrócony żyd albo inny oszołom na prozacu sprzedający Boga w broszurkach stanął w progu mojego domu i szczerząc się jak postać z kreskówki, zapytał: „Wpuściłeś już Boga do swego życia?”.

- Bóg niech spierdala.

Posłał mi zbawienny uśmiech, jakbym właśnie pochwalił jego gówniany garnitur z JCPenney.

- Rozumiem, bracie. Też tak kiedyś czułem.

- Nie jesteś moim bratem - syknąłem - i gówno wiesz, co czuję. Gdybyś to poczuł, to trwałbyś w tym stanie, bo to nie mija. I nie nachodziłbyś ludzi, szczerząc się jak palant!

- Ej no - powiedział przerażony. - Puszczaj. Nieświadomy tego, co robię, złapałem go za wąski krawat

i przyciągnąłem tak blisko, że miał twarz tuż przy mojej, że widzę kroplę swojej śliny na jego brodzie, że ma pewnie niewiele ponad dwadzieścia lat i jest przerażony. Puściłem go i kazałem spadać, a on popędził po schodach jak kopnięty pies. Żał mi się go zrobiło, ale wtedy wydarł się: „pieprzony kretyn”, i pokazał mi palec, co normalnie by mnie rozśmieszyło, ale już od dawna nic nie było mnie w stanie rozweselić. Przynajmniej będzie miał co opowiadać innym agentom Pana

Boga, kiedy zbiorą się w swojej świętej siedzibie nad kawą i pączkami.

Zupełnie niedawno wybrałem się do Home Depot po żarówki. Trafiłem tam na parę mniej więcej w moim wieku nad próbnikiem farb. Dziewczyna była ładna i drobna, on żyłasty i łysiejący; oboje w ubraniach w kolorze khaki, cichutko w sobie zakochani. Mówili o pokoju, który mieli malować, o kolorze dywanu, kanapach, zdobionej szafie na telewizor. Dziewczyna zabrała wiązanie do zasłon, żeby dobrać kolor, a tak właśnie zrobiłaby Hailey, więc patrzyłem, jak pokazują sobie próbki, przykładają je do wiązania, i wyobrażałem ich sobie w pokoju w kolorze futra kreta, na kanapie w kolorze grzyba, jak wtuleni oglądają telewizję. Nagle pomyślałem, że przecież jutro mogą siebie stracić, że jedno może zginąć, zanim zdąży zaschnąć farba; wtem dziewczyna popatrzyła na mnie ze zgrozą, a ja zdałem sobie sprawę, że mówię to na głos. Jej mąż zrobił krok do przodu, jakby chciał coś zacząć, choć tak naprawdę to ja zacząłem, ale raptem sięgnął do kieszeni i podał mi wymiętą chusteczkę, i dopiero wtedy zrozumiałem, że płaczę.

Minął rok. Moim krewnym i znajomym najwyraźniej wydaje się, że po takim czasie termin przydatności żałoby się kończy, że wystarczy raz przebrnąć przez wszystkie pory roku, człowiek zostaje ostukany jak pusta beczka i może na nowo zacząć życie. Mówią mi, że to już czas. Matka dzwoni regularnie i rai mi jakieś panny, które poznała ona albo jej przyjaciółki. Ale szczerze mówiąc, co za oślica chciałyby się umówić ze zgorzkniałym, dwudziestodwuletnim wdowcem, który nie ma żadnych widoków na karierę ani żadnych dokonań na swoim koncie? Wyobrażam sobie dziwaczne, wychudzone babki w bezkształtnych gieźlach i wielkich okularach, właścicielki całych stad kotów, do których przemawiają czule jak do dzieci. Albo smutne, zwaliste babska, nerwowo chichoczące, wiecznie z siebie niezadowolone - pot rozmywa im makijaż, kiedy idą na całość w swojej stałej pogoni za orgazmem, ufundowanym wreszcie nie przez urządzenie na dwa paluszki. Albo rozwódki,

zniszczone, nieufne, ziejące nienawiścią do mężczyzn - szukają nowej spluwaczki na swoją żółć lub też są tak wystraszone i samotne, że złapią pierwszego lepszego faceta, byleby dzielił z nimi łóżko i ratę kredytu. Potem przychodzą mi na myśl fety-szystki, wampirzyce łaknące krwi żalu - chcą zlizać mi łzy z twarzy i wchłonąć mój bezbrzeżny smutek w swoje napuchnięte serca, i jeśli nawet byłby to sposób na szybkie zaliczenie panny, to stałem się tak zaborczy względem mojego żalu, że nie mam ochoty z nikim się nim dzielić.

Nawet więc gdybym był gotów - a nie jestem - to i tak stałbym w obliczu mojego wiecznego dylematu: dlaczego znów tam, gdzie akurat mnie chcą, ja wcale być nie chcę.

Niebo robi mnie w chuja. Jest jeden z tych natrętnie doskonałych, wiosennych dni, takich, które sprawiają wrażenie, jakby starały się za bardzo, takich, którym chce się dać w pysk; niebo jest bardziej błękitne, niż ma prawo być, ten nieznośny, wyniosły błękit daje do zrozumienia, że przesiedzieć dzień w domu to popełnić zbrodnię przeciwko ludzkości. Jakbym miał dokąd pójść. Sąsiedztwo ożywa - ogrodnicy strzygą trawniki i żywopłoty, rozlega się mechaniczny poszum obrotowych spryskiwaczy. Niezorientowanym przypominam, że mamy piękny dzień, Hailey nie żyje, ja nie mam co robić ani dokąd pójść.

Podnoszę z trawnika plastikowe odłamki telefonu, kiedy podjeżdża poobijany nissan z przyciemnionymi szybami. Z otwartych drzwi wydobywa się wściekły, nieskładny hip-hop i chmura gęstego dymu papierosowego; wysiada Russ. Jest wysoki i krzepki, jak jego ojciec, ma na sobie luźne szorty, japonki, wypłowiały T-shirt z obrazkiem z *Battle-star Galáctica* i zawieszony na ramieniu iPod. Kolesie przybijają piątki i radośnie wymieniają wulgaryzmy. Tylne okno otwiera się i na zewnątrz wylatuje kubek - napój rozpryskuje się na chodniku jak krew na miejscu zbrodni. Russ uśmiecha się i uderza w dach, samochód rusza, a kiedy bierze zakręt, rozlega się pisk opon. Nasłuchuję stłuczki, ale nie

rozlega się zaden odgłos. Russ obraca się ostatnio w swoistym towarzystwie adeptów samookaleczenia - mają przekrwione oczy, kolczyki w brwiach, długie, brudne włosy i podrabiane dowody. To banda dzieciaków, które bez celu jeżdżą po nocy, szukają okazji do wandalizmu, przesiadują na pustych parkingach, upijają się tanim piwem, ogłuszają się obscenicznym punk rockiem i obrabiają tyłki motłochowi z ogólniaka. Wiem, że powinienem coś z tym zrobić, zwłaszcza w świetle incydentu sprzed kilku dni, ale uzalanie się nad sobą to pochłaniające zajęcie, a ja nigdy nie miałem podzielnej uwagi.

- Cześć - mówi Russ, idąc po trawie. Wyjmuje słuchawki z uszu i wiesz je na szyi. Ma długie, brudne włosy - są tego samego miodowego koloru co włosy Hailey i podobnie opadają na jego duże, ciemne oczy. Minął niemal tydzień od zdarzenia z policjantem, a rany na jego szyi zmieniły się w blade, różowe linie.

- Cześć - odpowiadam.

- Przepraszam za tamtą noc - mówi. - Trochę byłem na-jebany.

- Nie myślałem, że dasz nogę z samego rana.

- O dziewiątej jeszcze spałeś - odpowiada, wzruszając ramionami. -

Twoja komórka?

- Tak.

- Dobry strzał. Jeśli celowałeś w drzewo.

- W królika, ale walnąłem w pień. Russ kiwa głową z namysłem.

- Zdarza się - mówi.

Wstaję i idę w stronę ganku, wpychając odłamki do kieszeni.

- Nie powinieneś być w szkole? - pytam.

- A ty co, robisz za mojego ojca?

- Podtrzymuję rozmowę. Patrzy na mnie i potrząsa głową.

- Bardzo bym chciał ci odpowiedzieć, naprawdę bardzo, ale nie masz prawa zadawać mi takich pytań, odkąd mnie wyrzuciłeś i musiałem zamieszkać z Jimem i Angie.

- Przykro mi, Russ, ale to Jim jest twoim ojcem. Nic nie mogłem zrobić.

- To ty tak mówisz - odpowiada Russ. - On mnie nienawidzi. Byłby przeschęśliwy, gdybyś mnie zabrał.

- Wiesz, że tak nie jest.

- Wiesz, że tak jest.

Od początku było jasne, że Russ woli mnie niż ojca. Równie jasne było też, że wolał mnie wyłącznie dlatego, że to nie ja byłem palantem, który dał się złapać z portkami spuszczoneymi do kostek, kiedy posuwał była dziewczynę, aby potem porzucić syna i założyć nową, wspaniałą rodzinę. Russ nie był zachwycony, kiedy trzy lata temu zamieszkałem z nim pod jednym dachem, ale miałem tę zaletę, że spośród dwóch -jego zdaniem - palantów do odstrzału ja byłem drugi w kolejności. No proszę, a rodzice twierdzili, że niczego w życiu nie osiągnę.

Niełatwo zaprzyjaźnić się z wiecznie wkurzonym nastolatkiem, i to nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Ja tymczasem sypiałem z jego matką, byłem więc skurwielem do potęgi. W takiej sytuacji trzeba się wykazać zupełnie innymi umiejętnościami. Po przeprowadzce wiedziałem, że muszę zdobyć się na wysiłek i ułożyć się z Russem, żeby nowa sytuacja nie była dla Hailey powodem do dyskomfortu. Gdyby była, Hailey nie dałaby sobie z synem spokoju. Z gry wylatuje ten, kto wchodzi do niej ostatni. Wszedłem więc w rolę luzackiego wujka, który podwozi chłopaka do szkoły albo do centrum handlowego, w którym umówił się z kumplami, czasem zabierałem go w weekend do kina, poprawiałem jego prace semestralne, a ostatnio uczyłem jeździć moim wysłużonym saabem. Z leniwego dzieciaka wyrosłem na równie leniwego mężczyznę, a piękno całej

sprawy polegało na tym, że nikt nie chciał, żebym odgrywał rolę rodzica, co - biorąc pod uwagę mój ograniczony zasób życiowej mądrości - wszystkim wychodziło na dobre. Kiedy obaj zrozumieliśmy, że żaden nie wymaga od drugiego niczego więcej niż spokoju pod jednym dachem, bez żadnych zobowiązań, żyło nam się całkiem nieźle.

Czego się spodziewał po śmierci Hailey? Że wystąpię o opiekę nad nim? Wiem, że Jim to nic dobrego, ale ja też nie. Na rany Boga, mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat, jestem zgaszony, wnerwiony i leniwy, a do tego za dużo piję; poza tym przyjdzie taka chwila, kiedy wreszcie wezmę się w garść, sprzedam dom i wyjadę, a gdybym miał zajmować się Russem, nie mógłbym sobie na to pozwolić. Możecie mi wierzyć, tak jest dla niego lepiej. Linie lotnicze przeleją mu parę milionów dolarów na fundusz powierniczy, musi więc dotrzeć u Jima do osiemnastego roku życia, a potem będzie wolny.

- Szkoda, że nie słyszałeś, co się u nas dzieje - mówi Russ. - Wiedziałem, że to napalony sukinsyn, ale czuję się tak, jakbym żył na planie pornosu. Wystarczy, że uśpią tego małego gnoja, a od razu zabierają się do roboty. Mam pokój pod ich sypialnią, a oni pieprzą się non stop. Angie drze się, żeby pieprzył ją mocniej, a ja siedzę, patrzę, jak się sufit trzęsie, i zaczynam się bać, że jak zacznie mocniej ją pieprzyć, to podłoga się zapadnie i wylądują w moim łóżku, a ja i tak jestem zwichrowany i nie potrzebuję kolejnej traumy.

Przeczesuje włosy palcami, odgarnia je z twarzy, a ja raptem dostrzegam na jego szyi kolorową plamę.

- Zrobiłeś sobie tatuaż? - pytam, usiłując stłumić niepokój w głosie.
- Tak - odpowiada, odwracając głowę.
- Kiedy?
- W zeszłym tygodniu.
- Pokaż.

Przytrzymuje włosy, odsłaniając ciągnący się wokół szyi niebieski zawijas w kształcie kijanki, otoczony pomarańczowymi płomieniami. Wiem, że nie powinienem się tym smucić, że w tych czasach tatuaż to tylko kolejne akcesorium, taki sam dodatek jak obrączka na kciuku czy kajdanki. Laureatki Oscara tatuują sobie na plecach teksty buddyjskie, a każda panna w biodrowkach ma nad dupskiem jakiś kwiatowy motyw albo motyla. A jednak sama myśl o tym, że ten rozgoryczony, wściekły szesnastolatek zrobił sobie na ciele coś tak trwałego, ściska mi gardło. I jeszcze ta świadomość, jak bardzo zaboląoby to Hailey, która wpadła w niemal czarną rozpacz, kiedy Russ po raz pierwszy zgolił meszek nad górną wargą. Ale co się stało, to się nie odstanie, więc nie mam wyjścia, jak tylko okazać wsparcie.

- Ładny - mówię niewyraźnie.
- Wiesz, co to jest? - próbuje mnie Russ.
- Płonący plemnik?
- Pierdol się.
- Meteor.
- Kometa - poprawia.
- A co za różnica?
- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?
- Niech będzie. Kometa. Pociera tatuaż z czułością.
- To kometa Hailey.

Łzy napływają mi do oczu tak gwałtownie, że nie mogę ich powstrzymać.

- Wiem, że Hailey i Haleya nie pisze się tak samo - tłumaczy Russ z nagłym zażenowaniem - ale spodobała mi się. Kometa Hailey. Matka zawsze mówiła, że jestem na bakier z ortografią, więc tym bardziej pasuje.

Mam ochotę się rozplakać, przytulić go, wyjść z nim, samemu zrobić sobie tatuaż - wszystko naraz. Ale każda z tych czynności jest ponad moje siły, więc odwracam wzrok i mówię:

- Fajny. Na pewno by się jej spodobał.
- Wydarłaby się, popłakała i dała mi szlaban na rok.
- Pewnie tak. Ale po cichu byłaby nim zachwycona.
- Nie. - Russ kręci głową. - Na pewno nie. Myślę o tym przez chwilę i powoli przytakuję.

- Pewnie masz rację. Ale to dla niej piękny hołd.
- Zrobiłem go dlatego, że wiem, jak by się wkurzyła. Staram się wyglądać na mędrca, na człowieka, który wie, co mówi.

- Ona go już nie zobaczy, ale to i tak dla niej hołd.

- Doug?

- Co?

- Pierdolisz jak potłuczony. Wzdycham.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Parska kpiąco i nie wiadomo skąd wyciąga pomiętego skręta, po czym szuka w kieszeniach zapalniczki.

- Mógłbyś tego przy mnie nie robić? - pytam.

- Bo co?

- Bo jestem twoim ojczymem, a nie powinno się jarać.

- Czasem się zastanawiam - zaczyna Russ - czy ten tytuł nadal ci przysługuje, skoro go nie broniłeś. Mama nie żyje, a z prawnego punktu widzenia to jesteśmy w szarej strefie. Gdybyś był moim prawnym opiekunem...

- Dobra - przerywam mu. - Przypal sobie, ale daruj mi wykład.

Przypala skręta i zaciąga się tak mocno, że słychać szelest płonącego papieru. Oto podniosła chwila naszego życia rodzinnego: przysiadam sobie z moim pasierbem ćpunem.

- Wiesz - mówi z namysłem po kilku minutach - jak o tym pomyśleć, to on jest moim ojcem tylko dlatego, że tak wyszło, że przeleciał moją matkę.

- Racja. Ja z kolei bardzo się staram o tym nie myśleć.

- Mówię tylko, że przy takim kryterium masz te same

kwalifikacje. Właściwie nawet większe, bo kręgosłup moralny to on miał żaden.

- Aha - odpowiadam. - A ja jestem wzorem cnót. Dlatego właśnie przy mnie jarasz.

Russ wzrusza ramionami.

- Jesteś postępowy.

- Jestem dupkiem.

- I do kogo to kazanie - mówi Russ z emfazą, wskazując na swoją głowę, i chociaż wiem, że robi sobie jaja, to i tak boli. Co ja na to poradzę, taki jestem.

Podaje mi jointa, ale potrząsam głową.

- Pas.

- Gówno prawda - odpowiada. - Rąbnąłem z twojego zapasu.

- Russ - mówię miękko, odwracając głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. - Skoro tak bardzo mnie nienawidzisz, po co stale tu przychodzisz? Czemu powiedziałeś gliniarzowi, żeby cię tutaj przywiózł?

Podnosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć, ale do tego czasu odwracam głowę. Od śmierci Hailey nie potrafię patrzeć nikomu w oczy, ani obcym, ani bliskim. Nie wiem dlaczego, ale tak mam. Russ potrząsa głową, jego twarz wściekle się wykrzywia, kiedy próbuje opanować łzy.

- To był mój dom - mówi. - Nagle ty się pojawiłeś i... -Głos mu się załamuje i mówi tylko „cholera”, po czym się odwraca.

- Russ.

- Daj sobie spokój - mówi. - Wpadłem tylko przeprosić za tamtą noc. To się więcej nie powtórzy.

- Nie chcę sobie dać spokoju. - Sięgam w jego stronę, ale on zeskakuje z huśtawki na ganku, ciskając jointa z niesmakiem. - Russ, co się z tobą dzieje?

- Nic. Życie to, kurwa, sen. Muszę iść.

- Szkoda.

- A zresztą - mówi, schodząc po schodkach. - Kiedy ostatnio któryś z nas dostał to, czego chciał? - Idzie podjazdem, wkłada słuchawki, żeby zagłuszyć świat wściekłą ścieżką dźwiękową swojego życia, a mnie jak zwykle nie pozostaje nic innego, jak tylko patrzeć, jak odchodzi.

Nie wierzę w niebo, Boga ani życie po życiu. Nie wierzę, że Hailey jest teraz w jakimś lepszym miejscu, że jest aniołem, który obserwuje mnie z góry. Wierzę raczej, że jej dusza ulotniła się w tej samej chwili, w której zginęło ciało, kiedy samolot uderzył w górę z prędkością trzystu mil na godzinę i zgniół się jak pusta puszka. Ale kiedy tak siedzę zmarnowany na ganku, z zamkniętymi oczami, zaciągając się wyrzuconym przez Russa niedopałkiem, czuję ją tak mocno, że w wypełnionym dymem gardle brakuje mi tchu, a na szyi dostaję gęsiej skórki.

- Cześć, kochanie - mówię do niej w myślach. - To ciebie tak czuję czy tylko pustkę po tobie?

Po chwili już jej nie ma. Znow jestem sam, bujam się w fotelu na ganku, leniwie upalony w samym środku tego nedorzecznie pięknego dnia. Patrzę, jak oddala się mój smutny, wściekły pasierb, jak staje się coraz mniejszy i mniejszy, i myślę o komecie Hailey, która płonie na jego skórze, i zastanawiam się, jak bardzo robienie tego tatuażu musiało boleć. Patrzę za nim, aż znika, a potem wpatruję się tępo w żałośnie błękitne niebo i też znikam.

Laney Potter wpada koło południa, żeby podrzucić mi klops na obiad. Po śmierci Hailey jej przyjaciółki wyznaczyły sobie cotygodniowe dyżury i o ile większości już dawno zdołałem je wyperswadować, o tyle Laney, której przypadły wtorki, wciąż jeszcze przyjeżdża. Wchodzi, wkłada klops do lodówki, przytula mnie i całuje w policzek. Przywiera do mnie całym ciałem, niezupełnie tak, jak mężatka powinna przytulać samotnego faceta, i stale mnie dotyka, kiedy do mnie mówi albo pyta, czy sobie radzę; byłaby przeszczęśliwa, gdybym się przy niej zupełnie rozłożył, wreszcie mogłaby mnie do woli tulić i pocieszać. Laney jest ruda, mocno zbudowana i kragła, ma usta gwiazdy porno, jakby pokąsane przez pszczoły, i męża imieniem Dave - prawnika o jakieś piętnaście lat starszego ode mnie. Ona sama ma trzydzieści cztery lata, a spośród wszystkich naszych znajomych ona jedyna była z mojego pokolenia i zawsze flirtowała ze mną w nieszkodliwy, zabawny sposób - może dlatego właśnie, że byliśmy w podobnym wieku - choć ostatnio ten flirt nieco spoważniał. W razie czego wszystko można by obrócić w żart, ale te mocne uściski są dobitnym zaproszeniem.

- Nie wyglądasz za dobrze - mówi, rozluźniając uścisk, ale nie wypuszczając mnie z objęć; dolna część jej ciała nadal mimochodem przylega do mojej.

- Płakałem nad zdjęciami.

Wcale nie to chciałem powiedzieć, ale tak wyszło. Jestem w bardzo dziwnym stanie; nie umiem wytrzymać cudzego wzroku dłużej niż przez sekundę czy dwie, ale wystarczy mi zadać proste pytanie, a wyrzucam z siebie wszystko bez żadnej autocenzury. Kiedy Laney zadzwoniła do drzwi, leżałem na podłodze w dużym pokoju i przeglądałem nasze zdjęcia schowane w pudełku po butach - nie zdążyliśmy się zabrać za wyklejanie albumów - i czekałem, aż ostatnie promienie słońca przestaną zaglądać przez okna i rozświetlać unoszący się kurz, żebym mógł wreszcie zgodnie z zasadami savoir-vivre'u otworzyć butelkę Jacka Danielsa.

- Biedny Doug - mówi Laney, przyciągając mnie znów do siebie, a wtedy czuję na swoich piersiach dwa szlifowane kamyczki - jej stwardniałe sutki - czuję zapach jej skóry w zagłębieniu szyi, taki ziemisty zapach charakterystyczny dla rudowłosych kobiet, i nagle łapię się na tym, że chcę rozchylić usta, przejechać językiem po jej szyi i zobaczyć, co będzie dalej. To był naprawdę gówniany dzień i sama myśl o rozebraniu lubieżnej i zdaje się zwawej Laney Potter, o zatraceniu się w krągłościach jej miękkiego ciała, nagle wydaje się bardzo nęcąca. Wiem, że w łóżku będzie energiczna, głośna i dzika, że nie będzie miała zahamowań, a kiedy ja ostatnio uprawiałem taki seks? Nie bzykałem od roku, więc może klapsy i łaskotki Laney Potter byłyby dobrą pociechą.

Ale chociaż czuję, że mi staje, że jej serce bije coraz mocniej, a oddech na moim uchu staje się coraz wyraźniejszy, wiem, że to byłby błąd. Zacznie przyjeżdżać co tydzień, może nawet częściej i zanim się obejrzę, będziemy w jakimś porąbanym związku, ona zacznie mi opowiadać o problemach z Dave'em, o tym, że chce się z nim rozwieść, więc będę musiał jej unikać, a to nie będzie łatwe, bo nie ruszam

się z domu - a wszystko to z powodu chwili słabości, w której swoją przytłaczającą samotność pomyliłem z wyjątkowym napaleniem.

- Przepraszam - mówię, uwalniając się z uścisku. - Jestem dziś nie w formie.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - pyta Laney, lekko zarumieniona. Rozbieganym wzrokiem wodzi po kuchni.

- Chyba zjem obiad i się położę.

- Nie mogę znieść myśli, że jest ci źle i zostaniesz sam -mówi. - Mam chwilę zostać?

Laney mówi i mówi, a tymczasem wymiana informacji toczy się na kilku innych poziomach: nasze oczy z rozwągą się unikają, ręce poruszają się nerwowo, pulsuje nam krew między nogami - za tyłoma wymianami nie jestem w stanie nadażyć. To tak, jakbym naraz słuchał radia, oglądał telewizję, odkurzał i rozmawiał przez telefon.

- Nie, nic mi nie jest - mówię, podchodząc do drzwi. -Naprawdę. Muszę się tylko przespać.

- Mogę cię otulić - odpowiada. Czuję jej wzrok na swoich plecach.

- Dam radę. Dzięki.

W drzwiach raz jeszcze mnie przytula. Tym razem całuję ją w policzek, idiotycznie dumny z siebie, bo przecież oparłem się pokusie.

Nigdy nie spałem z mężatką, chociaż nie ze względu na zasady, tylko dlatego, że się nie złożyło, ale coś mi mówi, że nie jest to dobry moment, żeby spróbować. Dave Potter, mąż Laney, prowadzi prywatną praktykę prawniczą, a jego partnerem jest Mike Sandleman, ten gość, który za kilka tygodni żeni się z moją siostrą Debbie. Kapujecie? Widzicie tę sieć wzajemnych powiązań? Człowiekowi ginie żona, a jego życie zmienia się w zasraną telenowelę.

Niemniej jednak Laney ma absurdalnie seksowne usta

dwie wypolerowane poduszeczki - a skoro jej nie bzyknę, to nie widzę nic złego w tym, że zawadzam o nie przypadkowo, całując ją w policzek.

- Dzięki za wszystko.

- Gdybyś czegokolwiek potrzebował, tylko powiedz. Jestem w pobliżu - mówi znacząco, patrząc mi w oczy. - Wiesz o tym, prawda?

- Wiem.

Jej uśmiech jest oczywistym potwierdzeniem tego, że coś się między nami zaczęło, a właściwie dopiero może się zacząć. Odczuwam ukłucie żalu, kiedy patrzę, jak wsiada do samochodu, wciąż czuję te miękkie, pełne usta na swoich. Nie wiem, czemu jest chętna - może jej małżeństwo jest do bani, może jest samotna albo znudzona, a może Dave jest tak samo nudny w łóżku, jak poza nim - niezależnie od powodu najmądrzejszym wyjściem wydaje mi się utrzymanie dotychczasowego *status quo*. Tak czy inaczej w którymś momencie musiałbym to przerwać, ona poczułaby się wykorzystana, a ja miałbym wyrzuty sumienia i choć nie umiem przewidzieć rozwoju wypadków, to jestem prawie pewien, że byłby to koniec wtorkowych wieczorów z Laney Potter. A najbardziej brakowałoby mi pewnie jej klopsów.

Mimo wszystko po jej wyjściu łapię doła. Chcę dotykać, całować, lizać, ssać, czuć, jak kobieta wije się i faluje pode mną. Chcę smakować cierpką słodycz kobiecych ust, chcę być nagi, spocony i otulony gorącą wilgocią ciężkich ud Laney Potter.

- Mam chcię - żalę się Claire przez telefon. Rozmawiamy codziennie.

~ I poczucie winy.

- Chyba tak.

- To nie miej.

- Dobra. Fajnie, że pogadaliśmy.
 - Mówię serio. To normalne. Pieprzenie to czynność jak każda inna.
 - Dla mnie to chyba trochę za wcześnie.
 - Żeby się żenić, pewnie tak. Związać się z kimś - pewnie tak. Ale bzyknać? To czysta fizjologia. To się niczym nie różni od srania.
 - Patrz, a ja tych dwóch rzeczy nigdy ze sobą nie wiązałem.
 - Chodzi o to samo. Coś w środku narasta i trzeba to wyrzucić.
 - Ale nie czuję się z tym w porządku.
 - Braciszku, palnij ty się w łeb. Jeśli napalona mężatka tylko czeka, to cholera, zadzwoń do niej i do roboty. Przez większą część życia mogłeś tylko pomarzyć, żeby kogoś takiego znaleźć. I wreszcie znalazłeś.
 - To się źle skończy.
 - Jeszcze się nie zaczęło, a ty już się martwisz, jak się skończy - mówi poirytowana Claire. - Popatrz na to tak. Na początku nie będzie ci wychodzić. Znowu jesteś jak prawiczek, w dodatku z bagażem emocjonalnym. Albo nie będzie ci stał, albo za szybko skończysz, albo w ogóle nie skończysz, a potem wpadniesz w deprechę. Miej to już za sobą, załatw to, zanim poznasz kogoś, na kim naprawdę będzie ci zależało.
 - Nie ma co, dodałaś mi wiary w siebie. Claire zaczyna się śmiać.
 - Od tego jestem.
 - Ona jest mężatką - wzdycham.
- Claire też wzdycha, naśladując mój zrezygnowany ton.
- Mieszkasz w New Radford, braciszku. Innych nie znajdziesz.

Claire jest moją siostrą bliźniaczką, a zarazem głosem w mojej głowie, niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie. Była pierwszą osobą, do której zadzwoniłem, kiedy zginęła Hailey. No, niezupełnie. Najpierw zadzwoniłem do matki. Tak jakby. Był środek nocy, dzwonili z linii lotniczych, żeby powiadomić o katastrofie, a ja bezwiednie wystukałem numer.

- Halo - odezwała się matka, miała zaspany, lepki głos. -Halo - powtórzyła, a ja słyszałem ciemność w jej sypialni, ciężką ciszę, którą właśnie zakłóciłem. - Kto mówi?

Nie byłem w stanie się odezwać. Wydobyć z siebie głosu byłoby równoznaczne z przyzwoleniem na wtargnięcie dobijającej się do mojej głowy rzeczywistości.

- Halo - powiedziała matka raz jeszcze, a potem dodała: -zbocheniec - i odłożyła słuchawkę.

Hailey zginęła, a matka wzięła mnie za zboczeńca. Takie chwile zapamiętuje się do końca życia.

Gdzieś daleko, na polu albo w lesie, nadal dymiły szczątki samolotu, leżały rozsypane bagaże, części ciał, pomięte fragmenty kadłuba. Gdzieś na tym miejscu rzezi leży moja Hailey, kobieta, którą pocałowałem na do widzenia zaledwie kilka godzin wcześniej. Hailey - burza blond włosów, długie nogi, którymi mnie oplatała, wielkie, mądre oczy, nosek jak guziczek, wąskie, zmysłowe usta, którymi nie mogłem się nasycić. Hailey gdzieś tam leżała, martwa wśród spalonych szczątków. To nie było możliwe. Rozumiałem, co się stało, ale nie mogłem tego przyjąć do wiadomości.

Za to facet w lustrze wyglądał, jakby do niego docierało. Był blady i zmordowany, coś mu pulsowało między oczami, jakiś błysk zgrozy, jeszcze nie na tyle wyraźny, by wykrzywić mu twarz. Nic nie czułem. Postanowiłem szybko sprawdzić gościa w lustrze. Uśmiechnąłem się do niego. Odpowiedział koślawym uśmiechem chorego psychicznie. Potem zrobiłem przerażoną minę, a potem smutną, jakbym przygotowywał się

do zajęć aktorskich, miał zasiąść w kręgu wymizerowanych nieudaczników, którzy oklaskują siebie nawzajem za każdym razem, gdy ktoś zademonstruje jakiś przesadzony gest, po czym wysłuchują bezsensownej opinii jakiejś niedoszałej Glorii Swanson, która wygłasza krytykę, zaciągając się cygaretką. Hailey zginęła, a ja robię z siebie idiotę przed lustrem. Zawsze czułem się niegodny jej miłości, a jeśli potrzebo- wałem dowodu, że na nią nie zasługiwałem, oto i on, patrzył mi prosto w twarz.

- Hailey nie żyje - powiedziałem głośno, a mój głos wypełnił pokój jak głośne pierdnięcie na bankiecie. Normalni ludzie reagują gwałtownie na takie telefony, prawda? Krzyczą, że to nieprawda, padają na podłogę, zawodzą albo oszołomieni walą w ścianę, dopóki nie mogą odróżnić łoskotu pękniętej ściany od gruchotu strzaskanych pięści. A ja byłem w stanie tylko stać przy łóżku, masować kark i zastanawiać się, co robić. Uznałem, że jestem w szoku, i trochę mnie to pokrzepiło, bo Hailey nie zasłużyła na reakcję w postaci żalosalnej wymówki.

W pierwszym odruchu chciałem do kogoś zadzwonić. Wykręciłem numer jej komórki, nie wiedząc tak naprawdę, czego się spodziewam. Natychmiast włączyła się poczta głosowa. „Cześć, tu Hailey. Zostaw wiadomość, oddzwonię jak najszybciej. Dziękuję”. Nagrywała tę wiadomość któregoś wieczoru w kuchni, w tle słycharć, jak śmiejemy się z Russem, oglądając telewizję. Słyszałem tę wiadomość tak wiele razy w ciągu ostatnich kilku lat, że właściwie to już dawno przestałem ją słyshać. Teraz jednak docierał do mnie jej spokojny, pewny głos i nasz przytłumiony śmiech; nagrywała tę wiadomość w pośpiechu, więc dawało się wyczuć lekko roztargniony ton. To niemożliwe, że jej nie ma. Przecież właśnie ją słyshałem, to był jej głos. Zmarli nie mają poczty głosowej. Rozległ się sygnał, dotarło do mnie, że to chwila, kiedy nagrywa się wiadomość. - Cześć, kochanie - powiedziałem

kretyńsko, ale niczego więcej nie mogłem z siebie wykrztusić, więc się rozłączyłem.

Nieproszona wdarła mi się do głowy potworna, samolubna myśl, a potem kolejna, a wkrótce całe ich zastępy, jedna po drugiej; to tak, jakbym otworzył drzwi jakiejś kobiecie, a za nią wepchnęło się piętnaście innych osób - człowiek stoi jak odźwierny, choć chciał tylko zrobić grzeczność jednej starszej pani.

Jak ja to zniosę?

Gdzie będę mieszkał?

Czy ktoś mnie jeszcze pokocha?

Wyobraziłem sobie Hailey, jak wychodzi nago z łazienki, uśmiechając się do mnie zmysłowo, i podchodzi do łóżka. Czy kiedyś jeszcze jakaś naga kobieta będzie się do mnie w ten sposób uśmiechać? Nawet w tej koszarnej chwili wiedziałem, że będą inne nagie kobiety, i wstydziałem się, że to wiem. A jednak dalej zastanawiałem się, czy któraś będzie na mnie patrzeć tak, jak patrzyła Hailey?

I jeszcze jedno - naj ohydniej sza myśl, nie dla ludzi o wrażliwych żołądkach - czułem wyraźną ulgę na myśl, że Hailey już nigdy się nie odkocha, że będzie mnie kochać zawsze. Poczuję się jak kolosalny dupek, a to już coś.

Hailey nie żyje - usiłowałem to pojąć. Ona nie wróci. Już nigdy jej nie zobaczę - te słowa nic dla mnie nie znaczyły. To były tylko słowa, nic więcej niż niedowiedziona hipoteza. Co mam teraz robić? Hailey nie żyje. Hailey nie żyje. Hailey nie żyje - wydawało mi się, że jeśli pojnę tę myśl, to będę w stanie działać, zrobić to, co należy.

Co robić? Nie miałem bladego pojęcia. Dręczyła mnie świadomość, że w swoim pokoju jest Russ. Śpi, ale kiedy się obudzi, koszmar dopiero się zacznie, a on nigdy już nie będzie spał tak samo. Nigdy już nie będzie oddychał, uśmiechał się, jadł, płakał, myślał, kasłał, stawiał kroków, mrugał, sikał ani śmiał się tak jak wcześniej i nawet o tym nie wiedział,

a to wydawało mi się szczególnie okrutne i niesprawiedliwe. Czułem, że będzie mi znacznie trudniej poradzić sobie z jego żalem niż z własnym. Chciałem uciec, zanim się przebudzi, zniknąć, żeby nigdy nie zobaczyć, jak jego oczy wypełniają się koszmarną świadomością, że oto jego życie zmieniło się na zawsze. Co robić?

Rusz się. Zadzwoń do kogoś, kto będzie wiedział. Znów sięgam po telefon.

- Halo - pomruk Stephena, męża Claire.

- Mogę mówić z Claire?

- Doug? - pyta nieprzytomny. - Chryste, wiesz, która jest godzina?

- Wpół do drugiej. Muszę pogadać z Claire.

- Śpi - odpowiada twardo.

Stephen nigdy specjalnie mnie nie lubił. W płomiennej przemowie błagałem Claire, żeby za niego nie wychodziła, spontanicznie wyłuszczyłem wszystkie powody, dla których się dla niej nie nadawał, a on się obraził, przede wszystkim za to, że popisałem się brakiem wycucia, wplatając tę listę inwektyw w toast za zdrowie młodej pary. Na swoją obronę powiem tylko, że byłem młody, a alkohol serwowano gościom bez ograniczeń.

- Nie mam czasu.

- Wszystko w porządku? Hailey nie żyje.

- Daj mi Claire.

Chwila stłumionego szelestu i wreszcie Claire, zachrypnięta i zdezorientowana.

- Co się, kurwa, dzieje?

Claire od zawsze słynęła z rynsztokowego słownictwa -nawet kiedy wyszła za jednego z naj zamożniej szych kawalerów w Connecticut, hołubiła wulgaryzmy jak najcenniejszą pamiątkę z dzieciństwa.

- Samolot się rozbił. Hailey nie żyje - wreszcie udaje mi się to wykrztusić. Czuję, jakby zimny głaz w końcu wpadł na swoje miejsce.

- Co?

- Hailey nie żyje. Samolot się rozbił.

- Jezu. Wiadomo na pewno?

- Tak. Dzwonili z linii.

- Na pewno do niego wsiadła?

- Na pewno.

- Szlag - mówi Claire i zaczyna płakać.

Już miałem powiedzieć, żeby przestała, ale ja sam jeszcze nie płakałem i uznałem, że ktoś powinien, więc Claire płakała za mnie, a ja słuchałem.

- Jadę do ciebie.

- Dam radę. Nie musisz.

- Stul pysk. Będę za godzinę.

- Dobra.

- Zadzwoń do rodziców?

- Nie.

- Kretyńskie pytanie. Przepraszam.

Claire ma przyspieszony oddech, biega po pokoju, ubiera się, mówi Stephenowi, żeby się, kurwa, zamknął.

- Gdzie jest Russ?

- Śpi - odpowiadam. - Claire.

- Co?

- Nie wiem, co robić.

- Oddychaj. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

- Mam jakieś chore myśli.

- To szok. Dobra, jestem w samochodzie. Chwilę później słyszę przeciągły odgłos zderzenia.

- Kurwa!

- Co to było?

- Wjechałam tyłem w drzwi do garażu.

- Rany, nic ci nie jest?

- Nie - mówi Claire. - Tylko te zasrane drzwi się rozpadły. Przejadę po nich.

- Byle ostrożnie.

- Daruj sobie. Słuchaj. - Claire zapomniała, że to nie komórka, tylko bezprzewodowy, więc kiedy wyjechała z garażu, połączenie się zerwało.

Czwartkowe popołudnie. Uścisk Laney nie ma końca. Zwykle wpada tylko we wtorki, ale tłumaczy, że była w pobliżu.

- Mieszkasz w pobliżu - poprawiam jak idiota.

- Właśnie - przytakuje, rumieniąc się. Jest druga po południu, ja zdążyłem się już dobrać do Jacka Daniela, a ona ma na sobie obcisły podkoszulek, a rowek między jej piersiami jest niczym ciepły, zachęcający uśmiech, więc nie zamierzam silić się na podstęp. Czuję na uchu jej gorący oddech, na szyi - palce, które oplatają mnie niczym sieć i mierzwią mi włosy, twarz mam wciśniętą w lekko piegowatą skórę jej ramienia. Coś się stało z naszymi nogami, jakoś dziwacznie się ułożyły, bo są splecione, chociaż stoimy; przez dzinsy czuję ciepło jej krocza i jestem pewien, że ona równie doskonale wyczuwa poruszenie w moich spodniach.

Myślę: to nie tak. Myślę: nie ma Boga. Myślę: Hailey. A potem: nie ma Hailey.

I właśnie wtedy przyciągam ją, całuję, liżę i muskam te mięsiste, poziomkowe usta, chwytam jej włosy w garść tuż nad szyją. Wargi Laney czekały na mnie rozchylone, a język gładko wsunął się w moje usta. Pocałunek trwa całą wieczność. Właściwie to całe mnóstwo pocałunków - jak kilka pa-

czek płatków śniadaniowych w promocji - nieprzerwana zachłanność języków i ust, bo jeśli przestaniemy, to będzie to chwila do namysłu, a z myślenia nic dobrego nie wyniknie. Nic dobrego nie wyniknie też z seksu, dobrze o tym wiem, ale czy taka myśl kogokolwiek powstrzymała? We wtorek niewiele zabrakło, więc dziś Laney przygotowała się na wielki finał. Krótka spódnica odsłania napiętą, jak nic nasmarowaną samoopalaczem firmy Copperstone skórę długich nóg, świeżo wydepilowanych i wygładzonych do połysku. Wygrała już w chwili, kiedy powiedziała „cześć”.

Ręce wirują nam gwałtownie, jak w jakimś układzie choreograficznym z Hongkongu, uciskają, chwytają, gładzą i miętoszą wybrane miejsca. Laney szybko wsuwa mi rękę pod koszulkę i drapie mnie po plecach, ja sięgam pod jej spódnicę i zaciskam rękę na jej krągłym, nagim pośladku. Czyżby majtki wyszły z mody? Ja tam noszę bieliznę i już myślę, że za chwilę będzie z tego problem. Ona tymczasem szybko rozpina mi pasek jedną ręką i trzyma mnie mocno, kiedy spodnie i bokserki opadają mi do kolan. Od razu próbuje mnie dosiąść - kiedy przypiera mnie do lodówki, spadają nam pod nogi magnesy w kształcie owoców i stare kalendarze. Ale czy taki numer komuś się udał? Na obcasach Laney jest mojego wzrostu, nie możemy trafić pod dobrym kątem. Widzę, jak patrzy na stół kuchenny, ale ja przy tym stole jadam posiłki. Prawda jest taka, że choć chce mi się bzykać jak każdemu facetowi po rocznej przerwie, to dobrze wiem, że wbrew temu, co widzi się na filmach, na podłodze najłatwiej się posiniaczyć, a na dywanie zedrzeć skórę i nie ma to jak wygodne wyro. Nie zabiorę jej na górę, do łóżka, w którym spałem z Hailey, więc schodzimy do pokoju gościnnego w piwnicy, gdzie Laney zwinnie zrzuca ubranie i zachęcająco rozciąga swoje długie, zgrabne ciało na kanapie, wpatrując się we mnie wzrokiem łani. Ma usta otwarte jak pisklę, które czeka na dziób matki.

- Pospiesz się - mówi głosem stężalym od chłopy, kiedy przez chwilę nie mogę wyswobodzić się z koszulki. Poza tym aż do końca nie padnie ani jedno słowo.

„Dziwnie” nie oddaje tego, co czuję, całując usta, które nie są ustami Hailey, śledząc palcami, a potem językiem kształt nieznanych piersi, słysząc naj intymniej sze odgłosy Laney, poznając wrodzony rytm jej rozkołysanych bioder. Nie wiem, co ona lubi, a nie mam powodu, żeby patrzeć jej w oczy, i pewnie dlatego ich unikam. Laney jest lubieżna - używam tego słowa w znaczeniu pozytywnym, w odróżnieniu od tych, którzy traktują je jak eufemizm. Pod każdym względem jest jednak większa od Hailey; z początku onieśmielają mnie piersi wielkości melonów, szerokie, silne ramiona, szerokie biodra. Kiedy po jakimś czasie mnie dosiada, a potem pochyla się nade mną, przez chwilę przeżywam autentyczny atak klaustrofobii. Ale niezależnie od rozmiaru sprzęt jest zasadniczo ten sam, więc gdy tylko w nią wchodzę, wszystko klika jak trzeba. Przez cały czas trzyma usta na moich, wsuwa i wysuwa język, jęcząc w rytm kołysania naszych ciał, po czym przygryza mi dolną wargę tak mocno, że przez chwilę czuję smak krwi, którą ona zaraz zlizuje.

Staram się nie myśleć o Hailey, naprawdę się staram, chcę się zatracić w wybujałości kształtów Laney, w jej żywym i nieskomplikowanym pożądaniu, ale nawet kiedy głośno krzyczy, czuję, że unoszę się ponad nami, że beznamiętnie obserwuję nas z boku, a możecie mi wierzyć, że oglądać siebie samego uprawiającego seks to ostatnia rzecz, na jaką ma się ochotę. Jakkolwiek jest się atrakcyjnym, człowiek i tak czuje się jak idiota, kiedy widzi ten głupawy wyraz twarzy, półprzymknięte powieki, zaciśnięte z determinacją szczęki, ciało wygięte z takim mozołem, jakby od jego pozycji zależał los całego cywilizowanego świata. Kobiety zamykają oczy podczas seksu nie po to, żeby wyobrazić sobie Brada Pitta, tylko po to, żeby nie widzieć naszego głupawego wyrazu twarzy. Myślenie o Bradzie Pitcie to tylko bonus.

Kiedy miałem szesnaście lat, Claire uznała, że moje dziewictwo jest jak balast, więc namówiła swoją przyjaciółkę Norę Barton, aby się ze mną przespała. Nora była chuda i nie miała piersi, ale za to była gotowa przelecieć mnie dla zabawy i za samo to należy jej się dziesięć punktów

na dziesięć. Bzyknęliśmy się w moim pokoju, kiedy to została na noc u Claire, niby żeby się z nią uczyć, i przez cały czas - czyli całe te sześć czy siedem minut - myślałem tylko: więc to jest seks. Uprawiam seks - powtarzałem to zdanie w myślach, choć straszliwie chciałem choć na chwilę przestać i zatracić się w doznaniach. Kiedy było już po wszystkim, Nora pomknęła na paluszkach do pokoju Claire, z którą wśród śmi-chów-chichów w końcu zasnęły, a ja tymczasem po półgodzinie siedziałem na łóżku, ze smutkiem robiąc użytek z mojej wskrzeszonej erekcji i zastanawiając się, czemu niczego nie czułem.

Hailey nie żyje, a ja uprawiam seks. Może to właśnie z powodu dziwaczności tej sytuacji - posuwam przecież w piwnicy żonę sąsiada - a może z powodu Hailey, której nagie ciało wypełnia mi nagle oczy niczym łzy, przeżywam powtórkę z Nory Barton i mógłbym przysiąc, że niczego nie czuję. Słyszę swoje własne jęki, coraz głośniejsze i częstsze, ale czuję się tak, jakby mi ktoś wstrzyknął w krocze nowo-kainę.

Po seksie leżymy obok siebie, a ona przesuwając dwa palce po moich spoconych plecach, a kiedy miękko całuje mnie po twarzy, czuję lekki smak jej potu na szyi.

- Doug - szepcze, jakby na próbę, po długiej chwili.
- Laney - odpowiadam, a powietrze w pokoju tężeje.
- Nic - mówi po chwili.

To idealny komentarz, bo przecież tak naprawdę nie ma tu niczego do powiedzenia. A ponieważ nie powiedziała nic

więcej, czuję dla niej przyływ ciepła i wdzięczności, więc ją całuję. A ponieważ ją całuję, ona odwdzięcza się tym samym, te niemożliwie pełne usta wchłaniają moje, Laney przygryza mi wargi, wsuwa język. No więc ja pieszczę jej wilgotne uda, ona kładzie się na mnie i liże moje sutki, i po chwili zaczynamy wszystko od nowa. A ponieważ przestała się krępować, prowadzi moje usta dokładnie tam, gdzie mają być, jęczy coraz głośniej, a jej biodra falują bez opamiętania. I dlatego właśnie mogę się w niej zatracić, w jej ciele, zapachu i smaku. I dlatego tym razem czuję swój orgazm. Dlatego, dlatego, dlatego. Dlatego, że Hailey nie żyje, rżnę mężatkę w piwnicy. Bo już mi nie zależy. Bo jestem samotny, napalony i pijany. Dlatego, dlatego, dlatego.

Dlatego, że i tak jestem pojebany.

Laney wychodzi. Na pożegnanie całuje mnie długo i głęboko i rzuca znaczące spojrzenie, które jest obietnicą, że wkrótce wróci.

- To była magia - szepcze mi do ucha. - Tak bym chciała przyjechać wieczorem, kochać się z tobą całą noc, a rano obudzić się w twoich ramionach.

Ale nie może. Bo ja potrzebuję chwili, żeby to pojąć, przemyśleć, a potem się tym zadreć. I dlatego, że ciarki mnie przechodzą, kiedy ona mówi „kochać się”, a nie „uprawiać seks” albo „rżnąć”. Hailey nigdy nie mówiła „kochać się”. To głupie.

Laney musi wrócić do domu i ugotować obiad dla męża i dzieci, a ja muszę z powrotem wczłgać się do wymiętego łóżka i zostać sam, rozplakać się i zagrzebać głowę w poduszcze, która pachnie seksem i na której zostało kilka długich rudych włosów. Zaczynam szlochać, coraz gwałtowniej, płacz szarpie mi ciało, przyżega niczym rozgrzane ostrze. Nigdy nie zdradziłem Hailey, nigdy nawet o tym nie pomyślałem, skoro więc przespałem się z inną, musi to znaczyć, że

naprawdę jej nie ma. Wiedziałem już wcześniej, że jej nie ma, ale teraz wie o tym także moje ciało, a to tak, jakbym dowiedział się na nowo. Jest mi przykro z powodu Laney i nie dlatego, że tak nie można, tylko dlatego, że wiem, że to się powtórzy, że to kolejny krok do życia bez Hailey, jeden krok dalej od niej. Oddalam się od niej z każdym dniem i z każdą nocą. Oddala mnie od niej nawet ta drzemka po seksie, która nokautuje mnie jak kowadło z kreskówki i przerywa wszystkie logiczne myśli.

Przecież się o to nie prosiłem.

Chryste, mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Moje życie powinno przypominać scenariusz komedii romantycznej o próżniaku, który spotyka miłość swojego życia i przechodzi cudowną przemianę, ale nie, mnie przydarza się przypadkowa, bezsensowna tragedia. Raptem trzy lata temu mieszkałem w kawalerce w West Village, ze stałą częstotliwością chadzałem z kumplami do barów, upijałem się, bzykałem panny

i wylatywałem z pracy, która i tak nie miała przyszłości. Nigdy bym nie przypuszczał, że zostanę wdowcem i będę mieszkał sam w zasranym New Radford, w domu, którego nie kupiłem, oplakując zmarłą żonę, która i tak nigdy nie powinna być moja.

Znacie takich jak ja. Są wszędzie banda aroganckich luzaków, którzy niczego wielkiego nie osiągną. Myślałem kiedyś, że jestem jak Rob Lowe w *Ogniach św. Elma*, z tym że bez saksofonu, ale kiedy przybyło mi lat, zrozumiałem, że Robowi udało się tylko dlatego, że wyglądał tak, a nie inaczej. Ja za bardzo wyglądam jak Doug Parker, a nie słyszałem ostatnio, żeby Demi Moore nie spała w nocy, zastanawiając się, jak namówić mnie na wspólną kąpiel.

Byłem dzieciakiem, o którym nauczyciele zawsze mówili, że bystry i gdyby tylko się starał; który jednym celnym tek-

stem psuje opinię całej klasie i który zawsze przesadzi z dowcipem. Rodzice słyszeli to tak często na zebraniach, że po jakimś czasie w ogóle przestali na nie chadzać, postanowiwszy skupić się na tym, co w ich życiu pozytywne, czyli na osiągnięciach moich sióstr. Claire była puszczałką, ale za to na tyle inteligentna, że dostała się na Yale, gdzie dalej puszczała się, ile wlezie, a poza łóżkiem spędziła tylko tyle czasu, ile było trzeba, żeby skończyć psychologię kliniczną. Potem zaskoczyła nas wszystkich, wychodząc za bezdenne nudziarza Stephena Ivesa, dziedzica fortuny producentów nawozu, po czym całkowicie oddała się roli nieprzyzwoicie bogatej pani domu. Niemal słychać było, jak coś przeskoczyło jej w głowie, kiedy postanowiła skończyć z myśleniem i rzucić karierę, ale na wieść o małżeństwie z dziedzicem od końskiego gówna rodzice wszystko jej wybaczyli.

Debbie, trzy lata od nas młodsza, od dzieciństwa rozumiała, że to z nią rodzice wiążą wszystkie nadzieje i marzenia, i bynajmniej ich nie rozczarowała. Była wzorową uczennicą -jeśli nie dostała na klasówce maksymalnej liczby punktów, jęczała dotąd, aż nauczyciel ustępował, byle tylko wreszcie się zamknęła. Skończyła Harvard Law School z wyróżnieniem i zaczyna współpracę z firmą z Manhattanu, której nazwa każe zorientowanym w temacie potakiwać głową z uznaniem. Ma wielkie biuro z widokiem na rzekę Hudson, własną sekretarkę i wizytówki drukowane wypukłą srebrną czcionką na papierze obciążonym płótnem. Gdzieś po drodze straciła jednak poczucie humoru, może dlatego, że nigdy nie było z tego klasówki, i teraz śmieje się rzadko, a uśmiech ma ukradkowy i nijaki, a szkoda, bo była piękną dziewczyną i kiedy była młodsza, z uśmiechem było jej do twarzy. Nadal jest piękna, ale teraz tę urodę otacza drut kolczasty.

Ja nie miałem szans, żeby się dostać na Uniwersytet Bluszczowej Ligi, ledwie przebrnąłem przez uczelnię stanową w Nowym Jorku i zdobyłem najniższy stopień naukowy, co

doskonale kwalifikowało mnie wyłącznie do pracy, z której nie da się wyżyć. Kiedy się dowiedziałem, że podczas rozmów kwalifikacyjnych nie prosi się już aplikantów o napisanie wypracowania, wiedziałem, że takie rozmowy mogę sobie odpuścić. Tak oto moi kumple popisywali się prążkowanymi garniturami firmy Broni, udziałami w bankach inwestycyjnych i funduszach spekulacyjnych, a ja zahaczałem się w firmach PR-owskich, pisałem niekonsekwentne informacje dla prasy, po czym wylatywałem za całą gamę naruszeń korporacyjnych zasad. Pracując w pewnej agencji, postanowiłem odtworzyć moje stanowisko pracy w każdym szczególe we własnym mieszkaniu. Codziennie więc kradłem przybory biurowe, od naklejanych karteczek po długopisy i zszywacze, wynosiłem je z biura cichaczem, tak jak Tim Robbins wynosił ziemię, kopiąc tunel w *Skazanych na Shawshank*. Kupiłem torbę sportową, żeby pomieścić większe rzeczy, takie jak telefon i faks. Zgubiły mnie dopiero ścianki działowe. Nie było mowy o tym, żeby wynieść je niepostrzeżenie, więc zczekałem, aż wszyscy wyjdą, i zachowywałem się tak, jakby zwiezienie ich windą było czymś najnormalniejszym w świecie. Nie zrobiłem specjalnego wrażenia na strażniku w holu, ale już następnego dnia siedziałem w sali konferencyjnej z kierownikiem działu zasobów ludzkich i moją zbaraniałą szefową Stephanie i oglądałem mój czyn przestępczy uwieczniony na taśmie filmowej przez ochronę budynku.

- Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty - powiedziała Stephanie, odwracając wzrok od telewizora.

- Kamera dodaje dziesięć funtów - wyjaśniłem.

- Doug - powiedziała zrezygnowana. Widać było wyraźnie, że teraz jeszcze bardziej żałuje, że kilka tygodni wcześniej, po wieczornym spotkaniu z klientem, postanowiła się ze mną przespać. Do łóżka poszła w szpilkach i kazała łać się po tyłku, kiedy ujeżdżała mnie jak kowbojka.

Rankiem, jeszcze przed śniadaniem, zdążyła przerobić wszystkie pięć faz żalu, po czym kazała mi przysiąc, że nikomu nie pisnę słowa. A potem, skoro już byliśmy w jednym pomieszczeniu, bzyknęliśmy się raz jeszcze, żeby przypieczętować nasz pakt.

- Wiesz, że muszę cię zwolnić - powiedziała.

Właściwie to mi ulżyło, bo plan kradzieży kserokopiarki był logistycznym koszmarem.

Musiałem wszystko zwrócić, ale najpierw dokładnie obfotografowałem kącik, który tak pieczołowicie odtworzyłem w swoim dużym pokoju. Potem napisałem o tym śmieszny artykuł, który kupił ode mnie „M Magazine” i właśnie wtedy odkryłem, że tak mogę zarabiać na życie. Zatrudniłem agenta, energicznego chwalipiętę imieniem Kyle Evans, który sprzedawał moje artykuły, a w końcu załatwił mi fuchę w „M” - dostałem rubrykę *Jak rozmawiać z gwiazdą filmową* i pisałem całkiem popularne felietony - niezobowiązujące, śmieszne artykuły na tematy luźno związane z Hollywood. Było tam o operacjach plastycznych i zaburzeniach jedzenia młodych aktorek, o trendach letniego repertuaru kinowego, telewizyjnej ramówce na jesień, o wschodzących gwiazdach ekranu i reżyserach - czujecie klimat. Zdarzało się, że wysyłano mnie do Los Angeles, żebym przeprowadził wywiad z jakąś sławą, ale pomimo najszczerzych chęci nigdy nie udało mi się przespać z gwiazdą filmową, choć raz czy dwa niewiele zabrakło.

Całkowicie odpowiadało mi moje spokojne życie, nienor-mowany czas pracy, wyjścia z kumplami, zakochiwanie się i odkochywanie, i właściwie czekałem, aż moje życie zacznie się na dobre. Pewnie, że bywałem samotny, zwłaszcza w słoneczne, niedzielne poranki, ale zanim poznałem Hailey, tak naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z tego, czego mi brakuje.

Los. Przeznaczenie. Bóg.

To wszystko jedno wielkie oszustwo.

Ludzie chcą, żeby ich życie miało sens, chcą się rozeprzeć w fotelach niczym kosmiczni detektywi, przemyśleć wszystko, co ich dotychczas spotkało, wskazać kluczowe momenty i z perspektywy czasu tchnąć w nie magiczny blask, zupełnie jakby niebiańskie moce wszechświata były tylko zespołem scenarzystów serialu ich życia, pełnego ukartowanych, oburzająco zagmatwanych wątków, które wyprostują się dopiero pod koniec sezonu. Nikt nie chce wierzyć, że wszystko jest dziełem przypadku, że bieg naszego życia jest wynikiem długiej serii incydentów, które są niczym małe nuklearne obłoczki w kształcie grzyba, a zatem my sami żyjemy wśród opadów radioaktywnych.

Ja widzę to tak, że to właśnie przypadki ukształtowały moje życie. Gdyby Hailey nie wyszła za Jima, to on nigdy by jej nie zdradził ze swoją byłą dziewczyną, Angie. Gdyby Jim nie zapomniał, że w piwnicznej bawialni jest kamera do podglądania dziecka, to nigdy by nie został nakryty. A skoro sam tę kamerkę zainstalował, to większość psychiatrów uznałaby z pewnością, że chciał zostać złapany, ale powiedziałyby tak tylko dlatego, że w psychologii nie przyjęło się powszechne określenie na totalnego kretyna. Gdyby Hailey nie rozwiodła się z Jimem, to kilka lat później nie weszłaby do pustego gabinetu, żeby tam zapłakać nad swoim losem samotnej matki. Pokój rzeczywiście zwykle stał pusty. Urzędowałem w nim ja. I gdybym akurat tego dnia nie postanowił pojawić się w pracy, to nigdy bym na nią nie trafił. Gdybyśmy zetknęli się w innym momencie i w innych okolicznościach, nigdy nie zwróciłyby na mnie uwagi. Nie kobieta tej klasy. A ja, świadomy swoich niedostatków, nigdy nie zdobyłbym się na odwagę, żeby się z nią umówić. Jednak do tego czasu tych wszystkich przypadków nagromadziło się tak wiele, że byliśmy wobec nich bezbronni jak dwie pasące się krowy, które nagle wciąga trąba powietrzna.

Kiedy owego ranka wszedłem do swojego niewielkiego pokoju w siedzibie „M Magazine”, przy moim biurku płakała Hailey.

- O - powiedziałem, bo właśnie coś takiego się mówi na widok pięknej kobiety płaczącej przy waszym biurku.

Popatrzyła na mnie przez łzy, wydmuchała nos w zmiętą chusteczkę i powiedziała:

- Może mi pan dać jeszcze chwilę?

Była zastępcą szefa w dziale reklamy, a ja redaktorem i felietonistą, a to oznaczało, że nasze drogi rzadko się przecinały, niemniej wiedziałem, kim jest, już wcześniej zdążyłem się nią zauroczyć i się z tego wyleczyć. Była w końcu piękna, starsza ode mnie, a do tego wyżej ode mnie w hierarchii. Teraz jednak płakała przy moim biurku, a nic nie budzi w mężczyźnie rycerza tak, jak płacz kobiety. Wyszedłem i zamknąłem drzwi - chciałem nie tylko zapewnić jej prywatność, ale także wyeliminować ze szranków innych rycerzy, bo nie pisałem się na turniej. Szybko poszedłem po dwie kawy. Sam co prawda kawy nie pijam, ale moja była powiedziała mi kiedyś, że czasem dla dobra ludzkości trzeba poudawać. Kiedy wróciłem, Hailey poprawiała makijaż.

- Proszę - powiedziałem, stawiając przed nią kawę i opierając się o ścianę.

Popatrzyła na mnie wilgotnymi oczami, wyglądała raczej niechlujnie, była zasmucona i wytrącona z równowagi - tego właśnie trzeba, kiedy ma się do czynienia z piękną kobietą: wystarczy dostrzec rysę na jej zbroi, żeby wreszcie zdobyć się na odwagę i spróbować swoich sił. W przeciwnym razie facet krąży jak padlinożerca, przypatrując się, jak zwierzyne przejmuje większe drapieżniki.

- Dzięki - odparła z wdzięcznością i wzięła długi łyk. - A ty to kto?

- Doug - odparłem. - To mój pokój.

- Hailey. - Uścisnęliśmy dłonie nad biurkiem. Miała ma-

łe, miękkie ręce, obgryzione, niewypolerowane paznokcie.
-Przepraszam. Mam fatalny dzień. Machnąłem ręką.

- Szkoda, że nie wiedziałem, że wpadniesz. Przyniósłbym ciastka. I chusteczki.

Uśmiechnęła się.

- Zwykle tak się nie zachowuję.

- Nie przejmuj się. Wszystkie kobiety tak na mnie reagują.

Nikły uśmiech przeobraził się w ogromny - zabójczy, ciepły, przesywający uśmiech najlepszego sortu, który poczułem aż w udach. Piękne kobiety raczej się tak do mnie nie uśmiechają. Rzucają mi uprzejmy, szybki uśmiech, który jest niczym światło ostrzegawcze i przekazuje jasną wiadomość: spływaj, nic tu po tobie. Tymczasem Hailey powiedziała:

- Nie chce mi się iść do siebie.

- To zostań - odparłem.

- Musisz popracować.

- Musiałabyś mnie lepiej znać, żeby wiedzieć, jaką głupotę właśnie palnęłaś.

Przyjrzała mi się uważnie. Miała długie włosy barwy miodu, skórę jak polerowaną kość słoniową i ciemne oczy w kształcie migdałów, które rozwierały się szeroko, kiedy mówiła, i cudownie kurczyły, kiedy się uśmiechała.

- Mam dziś urodziny - powiedziała.

- Wszystkiego najlepszego.

- Dzięki.

- Urodziny bywają paskudne.

- Właśnie.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści sześć. Do tego jestem rozwódką i matką wściekłego dwunastolatka.

- Tyle masz lat, na ile się czujesz.

- No to mam pięćdziesiąt.

- Wyglądasz bosko jak na pięćdziesiątkę. Uśmiechnęła się
- Miało być zupełnie inaczej, rozumiesz?
- Z urodzinami?
- Z życiem.
- Życie - powiedziałem tak, jakby powiedział to ktoś ode mnie mądrzejszy. - Nawet nie zaczynaj.

Uśmiechnęła się krzywo.

- A ty ile masz lat?
- Dwadzieścia pięć. Ale czuję się na dwanaście. Parsknęła, wybuchając śmiechem, ale mnie i tak się ten

śmiech spodobał, więc rozśmieszyłem ją jeszcze parę razy. Otworzyła się i zaczęła opowiadać o rozwodzie, o nieszczęśliwym synu i o tym, jak nie ma szczęścia do facetów. Miała trzydzieści sześć lat, była rozwódką i samotną matką. Ja miałem dwadzieścia pięć lat i dopiero czekałem, aż coś się naprawdę wydarzy. Byliśmy jak przybysze z dwóch różnych światów, którzy niespodziewanie trafili do strefy mroku w moim pokoju. Rzecz nie tylko w tym, że była dla mnie zbyt dojrzała. Była zbyt piękna, zbyt smutna, zbyt mądra i w ogóle zbyt życiowa. A jednak coś się zadziało, kosmos niespodziewanie czknął i oto mogliśmy zajrzeć do swoich światów, rozmawiać i śmiać się. Była mądra, zabawna, bezbronna i tak cholernie piękna, że za tę urodę warto by dać się postrzelić.

- Wiesz co - powiedziałem po chwili. - Możemy tak siedzieć w nieskończoność, ale masz dziś urodziny, a w mojej rodzinie to zawsze oznaczało tylko jedno.

- Co takiego? - zapytała.
- Wielką Przygodę.
- Wesołe miasteczko?
- Widać jesteś z tej samej frakcji.
- Jesteśmy w pracy.
- Nie wiem, jak ciebie, ale mnie na pewno nikt nie będzie szukał.

- Nie możemy, ot tak, się urwać i pojechać do wesołego miasteczka.
- Normalnie bym się z tobą zgodził. Albo przynajmniej udawałbym, że się zgadzam, żeby pokazać, jaki to jestem odpowiedzialny. Ale dziś są twoje urodziny, więc nie ma wyjścia.

- O wpół do jedenastej mam naradę w sprawie budżetu.

- Odwołaj. Jeszcze nie widziałem nikogo, kto by tak rozpaczliwie potrzebował przejechać się kolejką.

Hailey patrzyła na mnie przez blisko minutę, wpatrywała się we mnie, jakby studiowała mapę.

- Jestem o jedenaście lat od ciebie starsza.

- Gdybym był trzynastolatkiem, miałabyś prawo się martwić.

Stłumiła uśmiech.

- Powiedz tylko czemu.

- Bo im więcej mówisz, tym bardziej cię lubię. I dlatego, że jesteś tak piękna, że wręcz mnie boli, jak za długo na ciebie patrzę. Na pewno próbuje się z tobą umówić mnóstwo starszych i bardziej obcykanych gości, i robią to właśnie dlatego, że jesteś piękna, w czym nie ma w sumie nic złego, w końcu od czegoś trzeba zacząć, ale widzisz, właśnie dlatego normalnie nigdy bym się z tobą nie umówił, a skoro usiłuję cię wyciągnąć, to znaczy, że mamy ten etap już za sobą. - Wzięłem głęboki oddech. - A poza tym naprawdę mnie polubisz, tylko musisz dać mi szansę.

Jej twarz nabrała rumieńców. Nie uśmiechnęła się, choć na to właśnie liczyłem, ale nie odwróciła wzroku.

- Zawsze jesteś taki szczerzy? - spytała.

- Prawie nigdy - odparłem.

- To też szczerłość.

- Wiem. Śliska sprawa.

- Nie bierz tego do siebie. Po prostu nie mam szczęścia do facetów.

- Bo nie wiesz, w czym rzecz.
- W czym?
- Trzeba nas wytresować za młodu.

Tym razem jej uśmiech był jak promień słońca, który przeszywa chmury i który każe ludziom myśleć o opatrności. Pojechaliśmy jej samochodem do wesołego miasteczka Wielka Przygoda, zaliczyliśmy kolejkę, maszynę wrzasku, rollercoaster Batmana i prom kosmiczny. Kupiłem jej faworki i fajerwerk, po czym odśpiewałem *Sto lat* na diabelskim młynie, a wtedy ona mnie pocałowała. Czasem nie trzeba nic więcej, żadnych olśnień ani objawień, wystarczą faworki na diabelskim młynie i jeden zwariowany, cudowny dzień, który nigdy nie powinien się zdarzyć, ale jakimś cudem się zdarzył. Myślałem, że to zasługa losu. Że to przeznaczenie. Myślałem tak tylko dlatego, że byłem zakochany, więc skąd mogłem wiedzieć.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem niczego o wypadkach.

Claire wpada jak burza. Ma na sobie okulary przeciwsłoneczne Gucciego i dżinsy za trzysta dolarów. Laney wyszła przed paroma godzinami, a ja właśnie obudziłem się z posek-sualnej drzemki, przysiadłem na ganku i zjadłem z pudełka chrupki śniadaniowe Cap'n Crunch, aż poczułem, że ścierpły mi zęby. Dobry seks, zły seks, przyzwoity, nieprzyzwoity -wszystko jedno, zawsze muszę się przespać, a potem budzę się głodny. Króliki rozbiegają się w panice, kiedy Claire gwałtownie wjeżdża na podjazd, a potem zdecydowanie za mocno hamuje - rozlega się skowyt tarcz hamulcowych, ale o dziwo Claire wychodzi z tego cało. Prowadzi samochód tak, jak żyje - z tym samym zapalem, niecierpliwością i nieprzyzwoitością.

- Doug, kurwa, co jest - mówi, maszerując w stronę ganku tak, jakby była u siebie. To nie są słowa wymierzone we mnie, ona po prostu taka jest. Nawet kiedy byliśmy w łonie, to ona trzymała pałeczkę. Jest ode mnie dwie minuty starsza, a przy tym stanowi żywy dowód na to, że forma żeńska jest dla DNA zdecydowanie korzystniejsza. Ma bujne, czarne włosy, które lśnią jak w reklamie, nieskazitelną, oliwkową skórę, oczy koloru wieczornego nieba i półuśmiech inteligentki, który w razie potrzeby bez wysiłku przeobraża się w wielki uśmiech z odsłoniętymi zębami. Matka nade wszystko pragnęła, żeby Claire została aktorką filmową, więc

naturalnie była to ostatnia rzecz, jakiej chciała Claire. Ja mam takie same włosy, skórę i oczy jak ona, ale na mnie sprawiają one wrażenie przypadkowej kombinacji - wyglądam przy niej jak Pan Ziemiak wystrojony w plastikowe ozdoby - nigdy nie stanowiły składnej całości. Claire mówi, że to ona zgarnęła inteligencję i wygląd, a ja dostałem zapasowe części, w razie gdyby jej się coś popsuło. - Od rana usiłuję się dodzwonić! - wrzeszczy. - Czemu, kurwa, nie odbierasz telefonu?

- Rozbiłem go o drzewo. Patrzy na mnie.

- Gadałeś z kimś znajomym?

- Z matką. Kiwa głową.

- Następnym razem powiedz, że masz drugą rozmowę, i się rozłącz. Ja tak robię.

- Postaram się zapamiętać.

- Na domowy też dzwoniłam.

- Nigdy go nie odbieram.

- Co ty powiesz? - Patrzy na mnie surowo. - Nie możesz mnie olewać.

Nie po tym, co się stało.

- Rany boskie, dałabyś spokój.

- Próbowałeś się zabić.

- Zasnąłem w wannie.

- Przedawkowałeś.

- To były proszki nasenne. Nie doczytałem ulotki.

- Nie trzeba czytać, żeby wiedzieć, że nie bierze się pół fiolki.

- Przestań. Jesteś gorsza od matki. Wymyśliłyście sobie próbę samobójczą, a to wcale nie tak. Możesz mi wierzyć. W końcu ja wiem najlepiej.

- Może i tak, ale to nie ty patrzyłeś, jak gliniarze wyważają drzwi i wyciągają cię z wanny. Byłeś zbyt zajęty zatrzymaniem akcji serca.

- Wystarczy.
- Byłeś, kurwa, siny!
- To był przypadek.

Odwraca się sfrustrowana, kręci głową. Prawda jest taka, że ja tej nocy wcale nie pamiętam. Alkohol i środki nasenne zlasowały mi mózg, obudziłem się w szpitalu, w jakiejś dziwacznej euforii i nie pamiętałem nawet, jaki mamy miesiąc.

- Gdybyśmy się zawsze zgadzali, tobyśmy się nie rozumieli - mówi Claire, kończąc temat. Potrafi zmienić nastrój w jednej chwili.

- Kupię nowy telefon - mówię, żeby uniknąć przyznania jej racji.

- Byłam szybsza, braciszku - sięga do torby i rzuca mi kolorowe pudełko. - Ma wbudowaną kamerę, odtwarza filmy i pewnie jeszcze odbiera ciuchy z pralni. Nie wyjdę, dopóki go nie włączysz.

- Dzięki.

- I lepiej nim nie rzucaj. Wywaliłam pięćset baksów.

- Masz to jak w banku.

Załatwiwszy interesy, Claire nachyla się i całuje mnie w policzek.

- Jakies niesamowite wieści, ponuraku?

- Nic nowego.

- Popłakałam się przy twoim ostatnim felietonie.

- Przykro mi.

- Skąd, był świetny. Matka powiesiła go na lodówce.

- Rany, znów mi się udało, nie do wiary - mówię z uśmiechem.

Matka miała niewzruszoną zasadę, że na swojej lśniącej lodówce ze stali szlachetnej wieszala tylko prace celujące. Kiedy byliśmy dziećmi, stale wisiały tam prace Claire i Debbie. Ja odpadłem, kiedy skończyły się dyktanda w pierwszej klasie.

- Masz szóstkę ze smutku i samotności.

- Jestem najlepszy w całej klasie.

Claire uśmiecha się do mnie czule i chwyta mnie za włosy, żeby spojrzeć na mnie od góry. W kąciach oczu ma cieniutkie zmarszczki, których nigdy wcześniej nie zauważyłem. Ludzi bliskich widzimy przez pryzmat ich obrazu, który utrwała się w naszych głowach, ale czasem - ni stąd, ni zowąd - możemy ich zobaczyć takimi, jacy są naprawdę. Mózg musi się przystosować do nowej rzeczywistości - okruchy pamięci zbaczają z drogi, wirując i wrzeszcząc, spadają w przepaść.

- Starzejesz się - stwierdzam.

- Pierdol się. Wcale nie. - Oczy zwężają jej się w szparki. - Czeka, czekaj. Ty przecież wyglądasz jak ktoś, kto dopiero się bzykał.

- Że co?

- Bliźniacza telepatia mówi mi, że wreszcie ruszyłeś dupsko i posunąłeś babkę od klopa.

- Nie ma bliźniaczej telepatii.

- Oczywiście, że jest, tylko taka subtelna... jak świeża warstwa lakieru do paznokci.

- Jak... centralna klimatyzacja - uśmiecham się.

- Jak... lekki rausz po białym winie.

- Jak... australijski akcent Mela Gibsona w *Zabójczej broni*.

Claire raptownie przestaje się śmiać, pochyla głowę, żeby spojrzeć mi prosto w oczy, i wpatruje się we mnie dotąd, aż odwracam wzrok. Jest jedyną osobą, której potrafię teraz patrzeć w oczy, ale w ciągu dwudziestu dziewięciu lat naszego życia to zawsze ja poddawałem się pierwszy.

- Ja pierdziele, zrobiłeś to! - wykrzykuje wesoło. - Nic dziwnego, że nie odbierałeś. Posuwałeś napaloną panią domu!

- Może ciszej? - mówię, rozglądając się wokół. Ale Claire za dobrze się bawi.

- Doug, ty dziwko!

Zapadam się w oparcie huśtawki, kręcę głową.

- Po czym poznałaś?

- Nie było trudno - mówi, siadając obok. - Masz szminkę na uchu, koszulkę na lewą stronę i pierwszorzędnie skotłowany łeb.

- Akurat - mówię sceptycznie. - Zawsze tak wyglądam.

- Więc może to jednak bliźniacza telepatia. - Sięga po chrupki i zaczyna się opychać. - Ty i babka od klopsa -mówi, zanosząc się śmiechem. - Nie mogę tego przeżyć.

- Strasznie śmieszne.

Jej śmiech powoli zamiera. Claire kładzie mi głowę na ramieniu, a to oznacza, że chce mi coś powiedzieć. Zawsze to robi, kiedy jest w stresie, i przez te wszystkie lata wymościła sobie specjalne miejsce w moim ramieniu, tak jak kropla po kropli rzeźbi skałę przez sto lat. Wyobrażam sobie, że tak właśnie musieliśmy leżeć w łonie, to nasza pozycja płodowa, którą przyjmujemy w trudnych chwilach.

- Cieszę się - mówi miękko, miętosząc moją dłoń kciukiem i palcem wskazującym. - To duży krok.

- Raczej cudzołóstwo.

- Przecież nie jesteś żonaty.

- Ale ona jest.

- Mało masz na głowie? Jeszcze się tym będziesz zamartwiał? - Claire ślini palec i wyciera coś - pewnie szminkę La-ney - z mojego ucha.

- Bo to i mój problem.

- Nieprawda. Twoim problemem jest to, że umarłeś razem z Hailey. Załóżek popędu to pierwszy pozytywny znak od długiego czasu. I to nie jest problem, tylko powód do radości. Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć mamie.

Śmieję się, ale zaraz się upewniam:

- Żartujesz, prawda? - Jeśli chodzi o Claire, można być pewnym tylko tego, że niczego nie można być pewnym.

- To zależy, czy będziesz dla mnie miły - mówi, wzruszając ramionami. - Jak było?

- Sam nie wiem. Jeszcze jestem w szoku.

- Dougie, Dougie, Dougie. Kiedy ty wreszcie przestaniesz wiązać seks z myśleniem? - wzdycha. Czasem mi się wydaje, że to ja powinnam być facetem.

- Czasem mi się wydaje, że nim jesteś.

- Po takim wstępie możemy przejść do kolejnego tematu.

- To znaczy?

- Jestem w ciąży.

Oczy same mi się rozszerzają.

- To wspaniale, Claire. Gratulacje. Kiwa głową, wtuloną w moje ramię.

- Dzięki.

Potem milknie, czuję tylko, jak jej mięśnie napinają się jak sprężyny, słyszę jej krótki, urywany oddech. Siedzimy tak przez kilka minut, wpatrując się w ogródek. W cieniu żywopłotu szary królik skubie trawę. Jest poza zasięgiem.

- Jest ich więcej - mówię.

- Aha.

Myślę o tym przez chwilę.

- Stephen.

Patrzy na mnie i uśmiecha się, chociaż w kąciku jej oka pojawia się, po czym spływa po krawędzi nosa samotna łza.

- A mówiłeś, że nie ma telepatii.

Claire wstaje, otrząsa się z myśli, podchodzi do drzwi.

- Masz coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Wstaję, żeby pójść za nią, ale wtem widzę kątem oka, że szary królik podszedł do ganku na odległość rzutu. - Cześć, Bugs - mówię pod nosem, patrząc na niego i sięgając do kupki po kamień. Rzucam za wysoko, kamień przelatuje co najmniej stopę nad jego głową i bezgłośnie spada na trawę. Królik wpatruje się we mnie, a coś w jego durnowatej, zuchwałej minie rozsierdza mnie do tego stopnia, że wrzeszcząc, zbie-

gam po schodach, żeby go wystraszyć. Wtedy on zrywa się i pędem kica po trawniku, zatrzymuje się dopiero przy żywopłocie, żeby mi rzucić pełne politowania spojrzenie. Nie mam kamieni, więc lecę za nim, wymachując rękami i wydzierając się wniebogłosy, aż wreszcie znika w krzakach. Odwracam się w stronę ganku - w drzwiach stoi Claire i dziwnie mi się przygląda.

- Niech się nie przyzwyczajają - tłumaczę z zażenowaniem, podchodząc do schodów.

- Oj, braciszku - mówi, obejmując mnie ramieniem i kierując się w stronę korytarza. - Naprawdę powinieneś częściej bywać wśród ludzi.

- No więc, co się stało?

- To długa historia.

- Mówiłaś, że się nie spieszysz.

- Nie mogę gadać o pustym żołądku. Idę za nią do kuchni.

- Zdradziłaś go?

- Jak miło. Byłoby ci raźniej, cudzołożniku?

- A on ciebie?

- Niestety, nie.

- Więc co się stało?

- Co robią magnesy na podłodze? - pyta, podchodząc do lodówki. - Szlag. Wcale nie chcę wiedzieć.

- Chryste, Claire. Powiedz wreszcie, co się stało. Otwiera lodówkę, pochyla się, stuka słoikami, podnosi przykrywkę plastikowych pudełek, żeby powąchać zawartość.

- Jezu - jęczy, a jej głos odbija się echem od niemal pustej lodówki. - Czy ty w ogóle coś jadasz?

- Zamawiam na telefon. Zatrząskuje drzwi.

- Nie wytrzymam. Wychodzimy.

- Najpierw powiedz, co się stało.

Patrzy na mnie, a potem, opierając się o lodówkę, osuwa się na podłogę.

- Nic się nie stało. Nigdy nic się nie dzieje. I nigdy nic się nie wydarzy - mówi, kucając pod lodówką i chowając twarz w dłoniach. - To się właśnie stało.

Siadam na podłodze obok niej.

- Myślałaś o terapii małżeńskiej?

- Jakiś sterylny freudysta ze zboczonymi urojeniami, ale za to w muszce, ma mi uświadomić, że ślub ze Stephenem to był błąd? Powtarzałaś mi to od lat. Jak przez mgłę pamiętam, że postawiłaś sprawę dość jasno na moim weselu.

- Byłem pijany.

- I zazdrosny.

- Może. Trochę.

- Ale i tak miałaś rację. A ja dobrze o tym wiedziałam. Nawet kiedy szłam do ołtarza, zastanawiałam się, co się stanie z filmem i ze zdjęciami ze ślubu, kiedy będzie już po wszystkim. To dopiero jest chore. Rzecz nie w tym, że odchodzę, tylko że tak długo wytrzymałam. Od samego początku chciałam się z nim rozstać, tylko jakoś nie mogłam się zebrać.

- Czemu?

Marszczy czoło i unosi ręce.

- Masz kasę i luksus, więc układasz w głowie równania i diagramy, żeby sobie udowodnić, że jesteś szczęśliwszy, niż ci się wydaje. - Wzrusza ramionami. - Zasnęłam na posterunku.

- Więc czemu teraz?

- Po śmierci Hailey zaczęłam na to wszystko inaczej patrzeć. Byłaś w strasznym stanie. Zresztą nadal jesteś. Myślałam o tym, że siedzisz tu sam, pogrążony w żalu, odcięty od świata, i wiem, że to zabrzmiało ohydnie, ale zamiast cię żałować, wręcz ci zazdrościłam. Ty byłeś zupełnie zmarnowany

i samotny, a ja byłam, kurwa, zazdrosna. Bo żałoba ma w sobie coś pięknego. To coś jak stadium poczwarki. Potem przychodzi czas, kiedy rodzisz się na nowo, wyłania się piękny motyl. No i zaczęłam się zastanawiać, o czym świadczy to, że zazdroszczę mojemu pojebanemu, samotnemu bratu.

- Ze jesteś mocno nieźrównoważona?

- Że jestem jeszcze bardziej pojebana i że mam jeszcze bardziej złamane serce, tylko o tym nie wiem.

- A teraz wiesz?

- Już tak.

- Słuchaj. Wiem, że to się wydaje niesamowite - moja żona ginie w katastrofie lotniczej, a ja co wieczór uchlewam się do nieprzytomności, żeby zasnąć - ale między nami mówiąc, to mocno przereklamowane.

Stuka mnie łokciem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie do końca. Powiedz lepiej, jak zaszłaś. Śmieje się ciepło i opiera głowę o lodówkę.

- Cała ironia polega na tym, że my już prawie ze sobą nie sypiamy. To cud, że przy mojej chcicy go nie zdradziłam. To była jedna, jedyna noc, jakaś anomalia, on nie miał wieczornych spotkań ani telefonów, niczego nie było w telewizji, nudziliśmy się, więc poszliśmy do łóżka. To musiało być wtedy, chyba że można zejść od sprzątania szafy. Nic takiego, naprawdę. Ledwie skończyliśmy, już o tym zapomniałam. Po paru tygodniach okazało się, że okres mi się spóźnia, więc zrobiłam test i przeżyłam szok...

- Może test źle wyszedł.

- Zrobiłam ich pięć.

- No, dobra.

- Stoję w łazience, zmywam z rąk siki i nagle dociera do mnie, że będę miała dziecko i że teraz już będę tylko matką. Panią Ives, kolejną bogatą, zblazowaną panią domu, żalosnym stereotypem. A ja wcale nie chcę być jak Laney Potter,

która pieprzy się na boku tylko po to, żeby przez kilka godzin poczuć, że żyje.

- Dzięki.

- Nie bierz tego do siebie.

- Nie biorę.

- Pomyślałam, że może jakiś czas u ciebie pomieszkać.

- Jasne. Pokój gościnny jest twój.

Lodówka drga delikatnie za naszymi plecami, kiedy tak rozmawiamy po cichu na podłodze w kuchni, a zmrok zasnu-wa okna niczym zasłony. Na zewnątrz słycać dzieci, są pochłonięte swoimi sprawami - pokrzykują, śmieją się, są młode i niewinne, a do tego wydaje im się, że już zawsze takie będą. W dzieciństwie, kiedy było mi smutno, Claire zakładała czapkę kucharską i przygotowywała desery lodowe, tak wielkie, że musieliśmy się zmuszać, żeby zjeść je do końca. Banana split z syropem czekoladowym, konfiturami i gumi-siami; lody w gorącym syropie zalane piwem imbirowym; cztery olbrzymie gałki przekładane słodkimi piankami. Uwielbiałem patrzeć, jak je przygotowuje: szalała w kuchni, przypadkowo dobierała składniki i objaśniała, co robi, naśladując Julię Child*.

- Pamiętasz lodowe gigadesery? - pytam.

Claire opiera mi głowę na ramieniu, wtula mi twarz w szyję i zaczyna cichutko płakać.

*** Słynna amerykańska popularyzatorka francuskiej kuchni (przypisy pochodzą od redaktora).**

Jak rozmawiać z wdowcem

Doug Parker

Z powodu mojej nowej przypadłości - czegoś w rodzaju emocjonalnego zespołu Tourette'a, czyli wystrzelania z prędkością karabinu maszynowego serii czystego, żywego bólu, a także dlatego, że fatalnie czuję się w roli obiektu litości -z wyjątkiem własnej - ostatnio siedzę głównie w domu.

Jednak szkopuł w tym, że dom przypomina pole minowe, więc nigdy nie wiem, kiedy przypadkiem wdepnę w utajone wspomnienie o Hailey i stracę nogi. Minęło tyle czasu, a ona nadal jest wszechobecna. Na jej stoliku nocnym wciąż leży książka, której nie skończyła czytać, jakaś lekka babska lektura, z okładką w kolorze różowej szminki, o inteligentnych babkach z nadwagą i o mężczyznach, którzy je zdradzają. Hailey doszła do strony, na której jest rysunek wąsatego gościa ze złowrogo uniesionymi brwiami - zabazgrała go. Uśmiecham się, kiedy to widzę, ale to uśmiech przez łzy.

Miałem żonę. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.

W łazience na klamce dalej wisi czerwony stanik. Miała go wrzucić do kosza na brudy, ale nie zdążyła. Sam ją tego nauczyłem - dzielić obowiązki domowe na ważniejsze i mniej ważne i nie robić tych drugich przed czasem.

Przechodzę przez naszą sypialnię niczym duch, uważając, *aby* nie zniszczyć przypadkowych dowodów jej istnienia. Książka, stanik, szczotka, na której zostały jej blond włosy, perfumy i kosmetyki rozrzucone nad umywalką, pierścionek na toaletce, na krześle obok łóżka jedwabna bluzka, której w ostatniej chwili postanowiła nie zabierać na wyjazd, wysłużony, pluszowy słoń o imieniu Bazooka, którego od dzieciństwa trzymała między poduszką i zagłówkiem. Przez jakiś czas po jej śmierci nie zmieniałem nawet pościeli, bo nadal nią pachniała. Potem przestała nią pachnieć, a wreszcie zaczęła śmierdzieć osłem. To tylko jedna z tysięcy trafnych metafor żalu, które codziennie przychodzą mi do głowy. Człowiek kurczowo trzyma się każdego wspomnienia, które przez to traci świeżość zupełnie jak poszewka.

Mimo to zmieniałem pościel z bólem, bo był to kolejny sposób, aby odsunąć Hailey w przeszłość, kolejny nieuchronny krok w stronę pewnej granicy, a ja przecież nie mogę wziąć się w garść, bo jeśli coś wyrzucę albo sprzątnę, to nieodwracalnie zniszczę kolejny jej ślad. Najchętniej ogrodziłbym wszystko czerwonym sznurem rozpiętym między słupkami, jak w historycznych posiadłościach, żeby turyści nie zniszczyli pamiątek przeszłości, bo przecież wszyscy to robimy przy byle okazji.

W siódmej klasie na przykład pojechaliśmy na wycieczkę do Filadelfii, żeby zwiedzić dom Benjamina Franklina. Chciałem popisać się przed kolegami, więc wszedłem na górę po zagrodzonych schodach. Sądziłem, że odlewając się w toalecie Bena, przejdę do historii. Złapali mnie i wyrzucili, a resztę dnia przesiedziałem w autokarze. Na szczęście kierowca był w porządku. Kupił mi hamburgera w McDonalddie i udostępnił rozległy zbiór kolejnych numerów „Playboya”, które trzymał w schowku pod siedzeniem - nic dziwnego, że Dzwon Wolności do dziś kojarzy mi się z wydętymi ustami i stożkami malowanych piersi dziewczyny kwietnia. Miała na imię Janelle, lubiła wspinaczkę skałkową, sporty wodne i mężczyzn, którzy nie

bali się spocić. W każdym razie chodziło mi o to, że pewne miejsca powinny pozostać odgradzone.

Dom wygląda tak a nie inaczej, ale i tak rzadko się stąd ruszam. Ból to mój ostatni łącznik z Hailey, więc owijam się nim jak kocem - jak masochista albo nastolatka, która robi żyłką nacięcia po wewnętrznej stronie uda - zadaję sobie ból tylko po to, żeby coś czuć. Nie jestem gotów, żeby czas zaleczył rany, ale wiem też, że nie mogę go powstrzymać. Ta świadomość utrudnia mi wytrwanie w bólu i zakotwiczenie się w tragedii, dopóki jeszcze jest świeża. Dlatego jak pies często wygryzam strupy, rozpaczliwie usiłuję upuścić świeżą krew z otwartych ran, ale nawet wtedy wiem, że przyjdzie taki dzień, kiedy zerwę strup, a krew nie poleci, pokaże się tylko miękka, różowa, świeża skóra. To będzie chwila, kiedy czas wreszcie odcisnie na mnie swoje piętno, a wtedy będę wiedział, że Hailey odeszła na zawsze.

Wiem, że kiedyś będzie ktoś inny. Jakaś mądra, piękna i na swój sposób zwichrowana kobieta. Będziemy się dobrze rozumieć, pokochamy się, a mnie będzie trapić poczucie winy, bo przecież czuję się szczęśliwy, więc zacznę sabotować związek małymi świństewkami, gdy tylko okaże się, że sprawy mają się za dobrze. Ona najpierw okaże cierpliwość, potem będzie miała dość upokorzeń, wybuchną głośne kłótnie, damy upust emocjom, nastąpi płaczliwe ultimatum i wtedy się rozstaniemy. Ogarną mnie wyrzuty sumienia, ale krok po kroku będę się od nich uwalniał, a z każdym kolejnym krokiem postać Hailey będzie się coraz bardziej rozmywać i coraz bardziej zapadać w przeszłość, aż wreszcie stanie się tylko przypisem do historii mojego życia. I przyjdzie taki dzień, kiedy opowiem swoim dzieciom, jak ożeniłem się, zanim poznałem ich matkę, i że moja pierwsza żona umarła. Hailey nie będzie dla nich osobą, a tylko drobnym, nieuchwytnym elementem biografii ich ojca, czymś smutnym, co mu się przydarzyło, zanim osiągnął wymarzony etap „żyli długo i szczęśliwie”. Co gorsza, może i ja tak to będę widział.

Nie muszę was wcale przekonywać, że tak właśnie będzie, że to nieuchronne. Nie oszukuję się. Ale tylko dlatego, że coś się wydarzy, nie oznacza, że jestem gotów dziś stawić temu czoło. Czasem jedyna prawda, jakiej ludzie potrafią sprostać, to ta, z którą obudzili się tego ranka. A ja tego ranka - podobnie jak każdego innego - obudziłem się w świecie mojego bólu. Więc zróbcie mi grzeczność i przestańcie się przypierdalać.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Jak rozmawiać z wdowcem

Jesteś gwiazdą! Powiedzieli mi w „M”, że po twoim ostatnim felietonie czytelnicy dosłownie zasypali redakcję listami -pobiłeś rekord, który zresztą sam ustanowiłeś w zeszłym miesiącu. Wysłałem ci kolejny worek, choć go pewnie nie otworzysz. Powiedzieli też, że wydzwanają do ciebie z różnych programów i talk-show, żeby umówić się na wywiad. Negocjuję umowy konsorcjalne w Stanach i za granicą. Dzwonili z NBC - chcą cię we wtorek. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to wywiad poprowadzi Matt Lauer - on wypada poważnie, reszta to zwykłe gadułki. No i Oprah zaczęła węszyć (!!!). Najważniejsze, że jestem po rozmowach z kilkoma wydawnictwami - niektóre są poważnie zainteresowane. Już widzę ten zbiór wspomnień! Musisz tylko coś zaproponować. Na to właśnie czekaliśmy! Trzeba pogadać. Dzwoniłem. Zostawiłem ci pewnie ze trzydzieści wiadomości w poczcie głosowej.

Co jest? Mejle to barbarzyństwo.

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com

Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Nie, dziękuję

Przepraszam, że nie odbierałem. Trudności techniczne. Spotkanie z Mattem Lauerem i z Oprah odpada. Cieszę się, że felieton się podobał, ale mówiłem ci już, że nie piszę się na rolę sztandarowego wdowca.

D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Nie bądź idiotą

Ile razy jebałeś mnie za to, że musisz wypisywać głupawe, onanistyczne bzdury o zadufanych aktorkach. O tym, że były w ogólniaku chude i niezgrabne. Że komuś zależy tylko na graniu i całe to gwiazdowanie ma gdzieś. Że gówno to kogo obchodzi! Wreszcie piszesz o czymś prawdziwym, a do tego na Iwoje felietony czeka cały kraj. Zacząłeś coś ważnego, doprowadź to do końca. Poza tym Bernie z „M” mówił, że wynegocjują prawa do publikowania cytatów. Pokryją koszty promocji! Nie wygłupiaj się, Doug, to jest, kurwa, coś! To najlepsze, co się mogło przytrafić!

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com

Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Odpierdol się

Odkąd cię znam, z dumą obnosisz to, że jesteś dupkiem, ale czy naprawdę uważasz, że śmierć mojej żony to najlepsze,

co mogło mi się przytrafić? Nawet taki potwór i egocentryk jak ty nie może być aż tak tępy i gruboskórny. D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Luzuj, kurwa

Po pierwsze, żyjemy w Ameryce - mogą być tępy i gruboskórny aż do bólu. Po drugie, nie mówiłem o śmierci Hailey, tylko o twoim pisaniu. Kiedy zmieniłeś temat rubryki, nikt w „M” nie był zachwycony, ale zmusiłem Berniego, żeby się zgodził, bo uznałem, że im prędzej przepracujesz stratę, tym szybciej będziesz mógł znów opędzać młode gwiazdki. Tymczasem okazało się, że dzięki temu zaczęłeś lepiej pisać, a do tego trafiasz do ludzi. Potencjalnych kupców twojej książki jest jakieś 300 tysięcy, a to znaczy, że jesteś snem erotycznym każdego wydawcy. Wszyscy cię znają. Możesz obstawać przy chorej koncepcji, że czerpiesz profity ze śmierci Hailey, ale czas nazwać rzecz po imieniu: to Strach przed Sukcesem. A ten strach, przyjacielu, dopadł cię na długo, zanim straciłeś żonę.

K.

PS Nie policzę ci za seans terapeutyczny.

Od: Doug.Parker@mmag.com

Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Może i tak, ale...

Ta kwestia pozostaje sporna. Znajomi wiedzą, że właśnie minął rok. Zresztą - jak długo mam prawo o tym pisać? Przychodzi moment, kiedy trzeba zrobić krok do przodu, przynajmniej z pozoru, tak? Nie będę się nurzał w żalu i nie będę o nim pisał. Wracamy do aktoreczek...

D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Śmiesznie się składa, że to mówisz...

Chociaż właściwie to składa się świetnie, bo myślałem, że moglibyśmy rozszerzyć temat: opisałbyś swój powrót do rzeczywistości, kapujesz? Piękny, wzruszający materiał. Twoje przejścia na przestrzeni iluś tam lat. Pierwsza randka, pierwszy seks, pierwsza dziewczyna... To tak, jakbyś narodził się na nowo. Dalej będziesz przeplatał błyskotliwe dowcipy patosem, a ja załatwię pierwszorzędną umowę z jednym z największych wydawców od razu na dwie książki. Przyznaj, Doug, to może być genialne rozwiązanie!

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com

Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Jesteś żalospną karykaturą człowieka

Wybacz, Kyle. W przyszłym miesiącu ostatni felieton w rubryce wdowca, potem wracam do Hollywood. D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 13 września 2006

Temat: Kroi się coś jeszcze

Widać, że nie czytujesz magazynu. Działkę hollywoodzką przejął Krause. Jak chcesz dalej pisać, musisz wymyślić coś innego. Zrezygnowałeś rok temu, myślałeś, że to tak zostawią?

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com
Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Data: środa, 13 września 2006
Temat: Krause jest kretynem

Mówię serio. D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Do: Doug.Parker@mmag.com
Data: środa, 13 września 2006
Temat: To robota dla kretyna

To jak - wchodzimy czy nie? Trzeba kuć żelazo póki gorące. K.

Od: Doug.Parker@mmag.com
Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Data: środa, 13 września 2006
Temat: Nie

D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Do: Doug.Parker@mmag.com
Data: środa, 13 września 2006
Temat: Jesteś niemożliwy!

Dobra, dam ci kilka tygodni do namysłu. K.

Jadąc na północ przez New Radford, niemal czuje się, jak ceny posiadłości stopniowo rosną niczym wzbierająca rzeka. Działki ćwierćakrowe ustępują półakrowym, a potem akrowym, domy są coraz większe i położone coraz dalej od ulicy, zamiast minivanów i japońskich sedanów pojawiają się wyższej klasy samochody sportowo-użytkowe i niemieckie, luksusowe auta, ulice stają się szersze i są obsadzone wyższymi drzewami. Przez bramę z białej cegły wjeżdża się do miejscowości Forest Heights, gdzie wszystko przeskakuje o kilka poziomów w górę i właśnie w tym zagłębiu rozdętych progów podatkowych mieści się wielki dom kolonialny z czerwonej cegły z centralnym holem Staną i Evy Parkerów. Za wszelką cenę chciałem uniknąć tej wizyty, ale odkąd dwa dni temu zamieszkała ze mną Claire, ożyły stare wzorce - moja siostra bez trudu objęła przywództwo.

Claire wpada na podjazd, jakby nadal jechała ulicą -utrzymuje prędkość do ostatniej chwili i hamuje tuż przed zderzakiem należącego do mojej matki audi. Z tyłu siedzi Russ, który zabrał się z nami tylko dlatego, że nic nie może być gorsze od kolejnego wieczoru z Jimem i Angie - powoli bierze wydech i mówi „kurwa”. Russ jest wysokiej klasy specjalistą od stosowania tego przekleństwa, potrafi mu nadać dowolne znaczenie. W tej chwili jest to kurwa ulgi, bo Claire

jakimś cudem nas nie zabiła, a szarpana jazda wreszcie dobiegła końca.

- Jak ci się nie podoba, możesz wracać autobusem. - Claire droczy się z nim, sięga do tyłu i targa mu włosy.

- Przecież tu nawet żaden nie jeździ - mówi Russ, odsuwając jej rękę, w jego głosie pobrzmiewa typowa dla nastolatków mieszanka zazdrości i pogardy.

- A niby jak dojeżdżają służący? - pyta Claire.

- Patrzcie - mówi Russ, wskazując za okno. - To nie wasz ojciec?

Ojciec stoi przed domem, zachodzące słońce oświetla go od tyłu niczym zjawę. Ma na sobie błękitne bokserki, białe buty Nike i czarne skarpety. Odbija piłkę baseballową o ścianę domu i łapie ją swoją starą rękawicą. Każdy rzut kończy przesadny gest pitchera głównej ligi, jego sflaczałe ciało drży jak galareta, spocone, srebrne włosy lepią się do czoła. Z tyłu stoi pielęgniarz, Rudy - trzyma szlafrok i rozpaczliwie usiłuje nakłonić ojca, żeby wszedł do środka i się ubrał.

- Doktorze Parker, bardzo pana proszę - jęczy. - To nie jest zabawne.

- Cześć, tato.

Twarz ojca ożywia się na mój widok, podchodzi ociężale cały rozpromieniony, a za nim biegnie Rudy, który wygląda, jakby za chwilę miał przeżyć załamanie nerwowe, żałośnie wyciągając szlafrok.

- Doktorze Parker, bardzo pana proszę, niech pan to założy.

Rudy jest mniej więcej w moim wieku, jest chudy, łysy, wiecznie poruszony i w żaden sposób nie poradzi sobie z moim upartym ojcem, który jest od niego o jakieś siedemdziesiąt funtów cięższy i odpycha go łokciem tak, jak słoń odpędza ogonem muchy.

Ojciec rzuca rękawicę na trawę i mocno mnie przytula,

czego przed wylewem nigdy nie robił. Pachnie trawą i potem, pod palcami czuję twardą, owłosioną skórę jego pleców.

- Doug - mówi, ściskając mnie do bólu. - Co tam?

To jego standardowe powitanie, najprawdziwsze zdumienie genialnie ukryte w formie pozdrowienia; często zupełnie nie dociera do niego, co się dzieje, nie pamięta nawet, który mamy rok. Czasem sprawia wrażenie, jakby doskonale się orientował, a innym razem wydaje mu się, że jestem małym chłopcem, który właśnie wrócił ze szkoły. Dwa lata temu matka znalazła go na podłodze pod prysznicem, mokrego, zwiniętego w kulkę. Przez trzy dni leżał w śpiączce, z której przebudził się energiczny i sprawny fizycznie, za to z umysłem ośmiolatka. Lekarze zdiagnozowali zaburzenie mózgowo-naczyniowe, co jest wyłącznie pokrętnym sposobem powiedzenia, że nic nie są w stanie zrobić. Są takie dni, kiedy ojciec wszystko rozumie, i takie, kiedy nic do niego nie dociera, ale nawet kiedy ma lepszy dzień, nie orientuje się w szczegółach. Jest człowiekiem, który stale szuka kontekstu.

Jeśli są tego jakieś dobre strony, to teraz stale mnie przytula. Zdaje się, że musiał przeżyć uraz mózgu, żeby zacząć mnie kochać. Kiedy z kolei ja mam gorszy dzień, mówię, że w sumie mu się należało, ale w końcu to nie ja paraduję dumnie po trawniku w bokserkach z rozpiętym rozporkiem.

Ojciec rozluźnia uścisk, kładzie mi ręce na ramionach. Ciekawe, ile daje mi dziś lat.

- Gdzie Hailey? - pyta.

Przez chwilę robi mi się słabo. Odwracam głowę, żeby nie widział, jak przesywający ból w jednej chwili wykrzywia mi twarz. Ojciec obudził się dziś w świecie, w którym kocha mnie i żywą Hailey, a ja czuję się, jakbym stał w deszczu przed domem, zaglądał do środka i marzył o tym, żeby przestał doskwierać mi ziąb, żeby ogrzał mnie płomień jego demencji.

- Niedługo przyjdzie - odpowiadam.

- Cześć, tatusiu - szybko przerywa Claire i podchodzi, żeby go przytulić.

- Cześć, kochanie. Co tam?

- Przyszłam zobaczyć się z Debbie - odpowiada Claire. -W końcu wychodzi za mąż.

Mina ojca staje się niewyraźna, jego twarz się marszczy, czoło pokrywają głębokie bruzdy. Widać, jak usiłuje wydobyć z pamięci jakiś konkretny, który wymyka się w chaosie zbuntowanych myśli.

- Mazeł tow - mówi smutno, wpatrując się w swoje stopy.

- Trzeba go zabrać do środka i umyć - wtrąca Rudy. Ojciec otrząsa się.

- A to kto? - pyta, mierzając wzrokiem Russa, który stoi z boku, zakłopotany.

- Russ - odpowiadam. - Pamiętasz? Syn Hailey.

- Oczywiście, że pamiętam - mówi, pochodząc do Russa, żeby go uściskać. Na twarzy skołowanego Russa maluje się dylemat „walczyć czy uciekać”, kiedy tak stoi sztywny w uścisku spoconego mężczyzny, ale udaje mu się opanować i nawet bezceremonialnie poklepuje ojca pięścią po plecach.

- Dzień dobry, doktorze Parker. Ojciec odsuwa się i mierzy go wzrokiem.

- Aleś ty wyrósł. Grasz w baseball?

- Czasami.

Ojciec rzuca mu piłkę.

- Będiesz rzucał.

Russ uśmiecha się i podnosi z ziemi rękawicę.

- Spoko-mówi.

- To naprawdę fatalny pomysł - wtrąca się Rudy.

- Przyjmuję to do wiadomości - mówi ojciec jowialnie, podbiegając do kija opartego o ścianę.

- Doktorze Parker, trzeba się przygotować do obiadu. Jeszcze się pan nie umył.

- Spadaj, Rudy - odpowiada ojciec, obracając kij w rękach, po czym przykuca w pozycji miotacza.

- Właśnie, Rudy - mówi Claire z uśmiechem. - Spadaj.

- Umiesz wydawać komendy? - pyta ojciec. Claire podchodzi do niego i całuje go w ramię.

- Jestem do tego stworzona.

Matka jest na swoim stanowisku w kuchni, siedzi na wysokim stołku przy wyspie, jest w połowie pierwszej - mam nadzieję - butelki wina, omawia z Debbie szczegóły ceremonii i od czasu do czasu powarkuje na Portię - służącą, która z niepokojem dogląda pieczeni z rusztu. Błat wygląda jak przyszykowany do sesji zdjęciowej dla magazynu „Bon Appetit” - idealne sałatki, przystawki, glazurowana kura, panierowane kotlety cielece i pieczeń, którą Portia usiłuje przełożyć na srebrny półmisek. Rodzice może i zachowują się jak porzucone w Greenwich i wychowane przez Stowarzyszenie Białych Anglosaskich Protestantów sieroty, ale jeśli chodzi o oprawę uroczystych obiadów, należą do wybrańców.

- Douglas - mówi matka, odstawiając kieliszek na marmurowy blat wyspy. - Kochanie. - Wychyla się, żeby ucałować powietrze gdzieś w okolicach mojej twarzy, uważając, aby nie naruszyć szminki, której liczne warstwy pokrywają jej usta jak impregnat.

- Cześć, mała - mówię, całując Debbie w policzek. Jak zwykle wygląda nieskazitelnie - ma na sobie krótką, czarną spódnicę i błękitny sweter, spięte włosy odsłaniają twarz. Jest niemożliwie piękna, jak wypolerowana rzeźba; wolałbym, żeby rozpuszczała czasem włosy i nie sprawiała wrażenia tak wychuchanej, żeby była mniej nadęta i nie wyglądała jak ktoś, kto za chwilę śmiertelnie się obrazi.

- Przyszędłeś - mówi.

- Czemu miałbym nie przyjść?

- Bo mnie nienawidzisz?

- Nienawiść to mocne słowo.

Na jej twarzy pojawia się uśmiezek.

- Idź do diabła.

- Deborah, nie wyrażaj się - surowo upomina ją matka. - Na miły Bóg, wychodzisz za męż. Przynajmniej spróbuj zachowywać się jak dama.

- Chuda jesteś - mówię. Debbie zawsze aspirowała do anoreksji, do czego ochoczo podzegała ją matka.

- Suknia musi leżeć idealnie.

- Wygląda wspaniale! - karci mnie matka. - Rany boskie, Portia, masz tylko przyozdobić mięso, a nie grzebać je żywcem! - Odwraca się do mnie. - Co u ciebie, Douglas?

- Stale to samo.

- Martwiłam się. Nie odbierałeś telefonu.

- Nic się nie dzieje.

Rzuca mi znad kieliszka spojrzenie, które mówi, że jej zwieść się nie da. Kiedy myślę o matce, zawsze przychodzi mi do głowy ten obraz - wielkie, wszechwiedzące oczy ponad kieliszkiem.

- Zabrałeś Russella?

- Jest na zewnątrz. Gra z tatą w baseball. - Matka kiwa głową i odwraca wzrok.

- Jak ojciec? - pytam.

Matka pochmurnieje, macha ręką.

- Każdy dzień to niespodzianka. Ostatnio na nowo odkrył seks.

- Mamo!

- Domaga się bez przerwy. To cud, że mogę chodzić.

- Chryste! - woła Debbie.

- Nie wyrażaj się - mówi matka nieobecny głosem, dwukrotnie pstrykając w jej stronę palcami. - Któregoś dnia gonił mnie po domu przez pół godziny, aż wreszcie Rudy zdołał go uspokoić.

- Jak on sobie radzi? - pytam.

- Daję mu jeszcze dwa tygodnie. - Matka dolewa sobie wina, chociaż kieliszek jest w połowie pełny. Wydaje z siebie głębokie, dramatyczne westchnienie jak ze sceny oscarowej. - Kocham go, naprawdę go kocham. Ale on mnie wykończy.

- A właśnie mówi Debbie, zwracając się do mnie. - Nie chciałbyś mnie poprowadzić do ołtarza?

- Myśleliśmy o tym przez całe lata. Nie było na ciebie chętnych.

- Bądź poważny - mówi.

- Ojciec powinien.

- Ojciec oszalał, w razie gdybyś nie zauważył.

- Miewa gorsze dni. Da radę.

- Nie mogę ryzykować.

- Jest, jak jest. Nawet jak mu odbije, ludzie zrozumieją.

- To mówi ktoś, kto od roku nie wychyla nosa z domu - mówi Debbie, kręcąc głową z niesmakiem.

- O co ci chodzi?

- O nic. Zupełnie o nic.

Matka odstawia kieliszek, nerwowo czekając na wybuch, ale w samą porę zjawia się Claire.

- Cześć, mamó - mówi, całując ją w policzek i zabierając jej wino.

- Gdzie Stephen? - pyta matka.

- Wyjechał w interesach.

- Jaka szkoda.

- Czy ja wiem - rzuca Claire, pociągając wielki łyk wina, czego w swoim stanie nie powinna robić. Wbijam w nią wzrok, żeby jej o tym przypomnieć, ale ona unosi brwi na znak buntu, dając do zrozumienia, że bym odpuścił. - Cześć, mała - mówi do Debbie.

- Moglibyście wreszcie przestać tak do mnie mówić. - W głosie Debbie słychać lekką rezygnację.

- Aha - mówi Claire, kiwając głową ze współczuciem. - Raczej nic z tego, co, Doug?

- Śmiesznie się składa, bo sam na to wpadłem, ale potem wyjechałaś z tym sukowatym komentarzem, że nie wychylałam się z domu...

- A więc jednomyślność - radośnie oznajmia Claire. - Jak przygotowania?

- Nie chce, żeby ojciec prowadził ją do ołtarza.

- A to, kurwa, czemu?

- Claire! - wrzeszczy matka, pstrykając palcami. Kiedy trzeba, sama klnie jak szewc, ale nie może znieść przekleństw w ustach swoich dzieci, bo wtedy czuje się stara.

- Chryste! - mówi Debbie. - Widziałaś go? Biega półnagi po ogrodzie.

- To twój ojciec.

- Odpierdol się, Claire.

Jeśli matka będzie pstrykać szybciej, zapalą jej się palce.

Zaczynamy pstrykać wszyscy, coraz głośniej, we trójkę robimy to w tempie, aż wreszcie zagłuszamy pstrykanie matki, która w końcu uderza w blat tak mocno, że drżą kinkiety.

- Wiesz, Deborah, byłaś wyjątkowo brzydkim dzieckiem -mówi.

- Słucham?!

- Taka prawda - mówi matka, opierając się i przymykając oczy. - Wyglądałaś jak troll. Mały, ciemny troll. Wstydziałam się wychodzić z tobą na spacer. Ale ojciec cię kochał. Uważał cię za najpiękniejszą istotę na ziemi. Nie mógł się doczekać, aż się obudzisz, żeby móc cię wyjąć z kołyski i ci śpiewać. Obnosił się z tobą jak z klejnotem. Miał w nosie, jak wyglądasz. Byłaś jego przepiękną córeczką.

Wszyscy patrzymy na matkę. Nigdy o tym nie mówiła i całkiem możliwe, a wręcz prawdopodobne, że wymyśliła tę historię na poczekaniu. Zawsze zmyślała bez wahania, jeśli tylko mogła dzięki temu lepiej wypaść. Otwiera oczy i zimno wpatruje się w Debbie.

- Może jest niepełnosprawny, ale to ten sam człowiek,

który wpatrywał się w swoje szkaradne dziecko i widział w nim ósmy cud świata. To on cię poprowadzi. Debbie patrzy na nią, kraśniejac z poirytowania.

- Macie nie po kolei w głowie.
- Ale jesteśmy twoją rodziną, kochanie. Lepiej się z tym pogódź.
- To nie rodzina, tylko galeria osobliwości.
- Daj spokój, mała - mówię miękko. - To twój ojciec. Co może pójść nie tak?

I właśnie wtedy piłka baseballowa wybija szybę i wlatuje do kuchni. Portia z krzykiem pada na ziemię, Claire upuszcza kieliszek, który rozbija się na importowanej terakocie, a odłamki szyby rozpryskują się po naszykowanych na blacie potrawach. Na zewnątrz słychać histeryczne wrzaski Rudy'ego, a po chwili w wybitym oknie pojawia się spocona twarz ojca.

- Nikomu nic się nie stało? - pyta, lekko dysząc.
- Wszystko w porządku, tato - mówi roztrzęsiona Claire. Portia wstaje, otrzepuje się i po cichu wzywa Najświętszą Panią.

Russ staje w oknie obok ojca, rozgląda się nerwowo, widać, że ma poczucie winy.

- O, kurwa - mówi.

Oczy ojca zatrzymują się na piłce leżącej pośrodku sałatki z dzikiego ryżu, po czym kierują się na mnie.

- Podasz, Doug?

Wyjmuję piłkę z miski, otrzepuję ją z ryżu i rzucam ojcu. Łapie ją w rękawicę i uśmiecha się.

- Umie chłopak odbijać - mówi ojciec z zachwytem i znika w ogrodzie.

Wydaje mi się, że w normalnej rodzinie niedoszła panna młoda zaczęłaby teraz rozpaczać, że całą uroczystość trafił szlag, a matka podbiegłaby do niej, żeby ją pocieszyć i zapewnić, że wszystko będzie w porządku. Może jednak się

myle. Nie za bardzo znam się na normalnych rodzinach. Opieram się tylko na tym, co widziałem w telewizji.

- Boże święty - mówi matka, głośno wydychając powietrze i łykając wino z butelki. - On mnie wykończy. - Matka sięga do wielkiej, markowej torby, która leży obok na stołku, grzebie w niej przez chwilę, aż wreszcie znajduje opakowanie vilek. - Odpuść - mówi do Portii, która sprawdza, czy cokolwiek da się uratować. - Wyrzuć wszystko. Matka wkłada do ust żółtą pigułkę i popija haustem prosto z butelki. - Nie podamy jedzenia z odłamkami. To w końcu nie więzienie.

Tymczasem Debbie nagle robi się sztywna i konkretna. Wyciąga komórkę jak kowboj broń i odwraca się do nas tyłem.

- Cześć, Mike. To ja... Nie, kolejny dzień w wariatkowie. Słuchaj, plany się zmieniły. Ojciec spieprzył obiad... Tak. Nie, grał w baseball. Nie pytaj... Aha. Uprzedź ich... To naprawdę nie jest dobry moment. Będziemy improwizować. Zarezerwuj stolik w Surf Clubie. Tak, na wpół do ósmej. Zadzwoń, jak potwierdzisz... Dobra... Ja ciebie też. Czekam na telefon. - Trzaska klapką telefonu i odwraca się do nas, strugając waźniaczkę. - Załatwione - mówi z wymuszonym uśmiechem, przez który przebija samozadowolenie.

- W końcu za to dostajesz grubą kasiorę - mówi Claire.

- Ostatnio zatrulałam się w Surf Clubie - oznajmia matka.

- Mamo - ostrzega Debbie głosem niskim jak odległy grzmot.

Matka wzrusza ramionami.

- Tylko mówię. Przesiedziałam całą noc w toalecie. Chlustało ze mnie jak Niagara. I to z obu stron.

- Chryste, mamo! - mówię.

- Chwilami nawet jednocześnie - dopowiada matka z zadumą.

- Powinniśmy po prostu stąd zwiać. - Debbie opada na

krzesło zrezygnowana. - Pojechać do Vegas i znaleźć jakiegoś Elvisa, który udzieli nam ślubu.

- Nie martw się, mała - próbuję ją pocieszyć. - W tym tempie wszystko, co najgorsze, zdąży z nas wyjść jeszcze przed twoim ślubem.

Debbie patrzy na mnie pochmurno.

- Obawiam się, że to dopiero rozgrzewka.

W tym momencie jest mi jej niemal szkoda. Ale zaraz przypominam sobie, że ma za swoje - w końcu gziła się z facetem podczas mojej sziwy - i czuję, że uraza ożywa ponownie.

- Pomogę ojcu się przygotować - mówię, bo nagle czuję, że muszę się szybko oddalić od młodszej siostry.

- A ja tobie - mówi Claire, szczypie Debbie w policzek i idzie za mną.

- Co się dziwić, że jesteśmy tak pojebani? -mruczy do mnie pod nosem.

- Tylko nie zamawiajcie ryby - dobiega nas głos matki. -Wiem, co mówię.

Kryształowy żyrandol w przepastnej sali Surf Clubu daje tylko tyle światła, aby stworzyć odpowiednią atmosferę, zużywa akurat tyle watów, żeby diamentowe wisiorki i złote zegarki klientów błyszcząły niczym gwiazdy na wieczornym niebie. Twarze biesiadników są skąpane w miękkiej, bursztynowej poświacie rozstawionych na stołach świec, więc wszyscy wyglądają, jakby mieli idealną opaleniznę. Niskiemu pomrukowi prowadzonych ściszym głosem rozmów towarzyszą melodyjne dźwięki sztuców postukujących w porcelanową zastawę i muzyka przygrywającej w rogu orkiestry jazzowej. Przyjeżdżamy z dwudziestominutowym spóźnieniem, ponieważ tatę tak pochłonęła powtórka jednego z odcinków *Seinfelda**, że nie sposób było go przekonać, żeby włożył buty, dopóki odcinek się nie skończył.

Państwo Sandlemanowie, rodzice Mike'a, którzy przyjechali z tej okazji z West Hartford, czekają z synem przy barze. Kiedy Debbie przedstawia mnie i Russa, wszyscy stoją wokół zmieszani. Jestem jedynym członkiem rodziny, którego nie zdążyli jeszcze poznać, ponieważ nie było mnie na przyjęciu zaręczynowym kilka miesięcy wcześniej - miałem inne zobowiązania: musiałem się upić i unurzać w goryczy.

*** Słynny amerykański sitcom (pełna nazwa: *Kroniki Seinfelda*).**

- Mój starszy brat, Doug - przedstawia mnie Debbie. -Kojarzycie, ten, któremu żona zginęła w katastrofie lotniczej, jest w strasznym dole, nic tylko użala się nad sobą i za cholerę nie może wziąć się w kupę.

No, dobra. Nie tak to powiedziała, ale taki był sens.

- Bardzo nam miło - mówi pan Sandleman. Trzymał kieliszek z winem, więc ma wilgotną, zimną rękę. Jest niski i krępy, ma grube okulary i bujne wąsy - wygląda jak polityk z satyrycznego komiksu.

Pani Sandleman obejmuje mnie. Jest miękka, gruba i pachnie jak odświeżacz powietrza.

- Co miesiąc czytamy twoje felietony w Internecie -mówi. - Są poruszające.

- Dobrze napisane - dodaje pan Sandleman, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam pewności, bo przez wąsy nie widać, czy porusza ustami.

- Mnie również jest bardzo miło - odpowiadam, ale nie jestem w stanie spojrzeć im w oczy, z których litość wylewa się niczym ścieki. Zdążyłem się przekonać, że litość jest jak pierdnięcie. Własne można znieść, ale cudzego nigdy. - To Russ - mówię. - Syn mojej zmarłej żony, który najwyraźniej za wszelką cenę chce spierdolić sobie życie, a ja nie umiem mu pomóc. - Czy coś w tym rodzaju.

- Dzień dobry - wita się Russ.

- Doug - mówi Mike, z zakłopotaniem ściskając moją dłoń i klepiąc mnie po plecach. Nie rozmawialiśmy od czasu, kiedy nie pojawiłem się na przyjęciu zaręczynowym. Wszystkie negocjacje zlecił Debbie. Wielki błąd. - Dzięki, że przyszedłeś. To wiele dla nas znaczy.

- Nie ma o czym mówić - odpowiadam.

- Słuchaj, wiem, że wybraliśmy niedobry moment. Możesz mi wierzyć...

- Poważnie - przerywam mu ostrzej, niż chciałem. - Nie ma o czym mówić.

Patrzy, jakby miał coś powiedzieć, ale coś w wyrazie mojej twarzy, czego sam nie jestem świadomy, każe mu się zamknąć. Szybko zerkam w lustro za barem, żeby zapamiętać ten grymas i wykorzystać go później, ale nagle staje przede mną kelner, który ma nas zaprowadzić do stolika. Widzę tylko swoje oczy, które nie wyglądają szczególnie groźnie.

Przy stole ojciec przechodzi cudowne przeobrażenie. Siedzi na końcu, skąd sprawuje całkowitą władzę, wygląda przystojnie i elegancko w garniturze w cieniutkie prążki, srebrne włosy ma zaczesane do tyłu, przez szkło powiększające w złotej oprawie czyta listę win. Rozmawia z kelnerem wyniosłym tonem, wypytuje o roczniki, po czym zamawia dwie butelki, składa szkło i wsuwa do kieszonki na piersi - nikt by nie powiedział, że ten sam człowiek nie dalej jak godzinę temu biegał półnago po ogrodzie.

- Kochanie - zwraca się do matki, unosząc jej rękę do swoich ust. - Wyglądasz tak pięknie, jak tego dnia, kiedy cię poznałem.

- Mówisz tak, bo dobrze wiesz, że to prawda - matka uśmiecha się, ale oczy zachodzą jej łzami. Przed wylewem Stan nigdy nie okazywał uczuć publicznie; po tylu latach niezmiennej obojętności ta niepoohamowana czułość w jego głosie jest nieco krępująca.

- Pierwszy raz kochaliśmy się w piwnicy jej rodziców -ogłasza, odwracając się w stronę pani Sandleman, która oblewa się pąsem i zupełnie nie wie, co począć z takim strzępem informacji.

Russ parska śmiechem w szklanę. Claire nożem do masła naśladuje rytuał harakiri.

- Wystarczy, Stan - mówi matka, ściskając go za rękę. Ojciec odwraca się, żeby na nią spojrzeć.

- Założyłaś białą, jedwabną bluzkę i nie miałaś stanika. Puściliśmy jedną z płyt Sinatry. To była płyta twojego ojca.

Matka uśmiecha się i bierze go za rękę.

- *In the wee smali hours* - mówi, kiwając głową.

- *Thats the time you miss her most of all* - śpiewa ojciec ochryple i raz jeszcze całuje matkę w rękę.

- Uwielbia Sinatrę - mówi matka do Sandlemanów, rumieniąc się obficie.

- Zmieńmy temat - prosi Debbie. Ojciec kiwa głową.

- A zatem - mówi, zwracając się do Sandlemana - Phil, dobrze pamiętam?

- Howard.

- Niech będzie Howard. Proszę przypomnieć, czym się pan zajmuje?

- Nieruchomościami.

- Aha.

Phil to młodszy brat mojego ojca, który zginął w Wietnamie. Zawsze gdy ojciec usiłuje przypomnieć sobie imię jakiegoś mężczyzny, pierwsze, co mu przychodzi do głowy, to Phil.

Kelner przynosi wino, ojciec kosztuje i potakuje z aprobatą. Wszystkie kieliszki zostają napełnione, a wtedy wznosi toast.

- Za młodą parę - mówi.

Wszyscy podnosimy kieliszki oprócz Claire, która wpatruje się we mnie, unosząc brwi, po czym demonstracyjnie sięga po szklanekę z wodą.

- Debbie - mówi ojciec, odwracając się do niej. - Zawsze będziesz moją małą córeczką. Niezależnie od tego, jak daleko zajdziesz i ile będziesz miała lat, to się nigdy nie zmieni. A skoro zbliża się dzień twojego ślubu, to musisz wiedzieć, że jesteśmy z mamą bardzo z ciebie dumni - nie dlatego, że tyle osiągnęłaś, ale dlatego, że jesteś, jaka jesteś. Pamiętam cię w różowej piżamce w wieloryby - siadałaś mi na kolanach i śpiewałaś o małym pajączku. Pamiętam, jakby to było

wczoraj... - Głos mu zamiera, a oczy zachodzą łzami. - Są takie ranki, kiedy budzę się i czekam, aż ta dziewczynka wybiegnie ze swojego pokoju, ciągnąc za sobą pluszową żabę i przybiegnie do mnie do łóżka, żeby się przytulić. - Ojciec sięga po płócienną serwetkę i ociera twarz z łez, rozgląda się po twarzach przy stole. - Jestem tu, jestem - mówi z przekonaniem, a propos niczego.

Dociera do mnie, że Claire i Debbie płaczą, i czuję, jak do oczu napływa mi gorąca wilgoć.

- Stan - mówi matka miękko, wpatrując się w niego przez łzy.

- W porządku, Evie - odpowiada, ściskając jej dłoń, po czym odchrząkuje. - Chciałem tylko powiedzieć, że niezależnie od tego, ile będziecie mieć lat, zawsze będziecie moimi dziećmi, a ty, Debbie, będziesz zawsze moją maleńką córeczką. - Ojciec unosi kieliszek. - Za Debbie i Phila!

- Mike'a! - warczy Debbie, a ja mam ochotę rozbić jej łeb talerzem.

- A, tak - reflektuje się ojciec. - Za Debbie i Mike'a.

Dalsza część wieczoru upływa tak, jak to zwykle przebiegają podobne uroczystości. Debbie, Claire i pani Sandleman rozmawiają o kwiatkach i wstążkach, matka z zacięciem popija i czaruje pana Sandlemana kombatantkami opowieściami o teatrze, które wszyscy słyszeliśmy już milion razy, Russ przeprasza na chwilę, znika na piętnaście minut, a kiedy wraca, oczy mu błyszczą.

- Musiałeś się teraz ujarać? - pytam go szeptem. - Nie mogłeś zaczekać?

- Fizjologiczny przymus. Takie emocje ciężko znieść na trzeźwo.

- To tylko obiad rodzinny.

- Akurat. Jest tak, jakbyśmy siedzieli na stosie dynamitu i czekali, aż wybuchnie. Nie do wiary, że mnie tu przywlokłeś.

- Sam chciałeś, nie pamiętasz?

- Trzeba było mnie zbyć, tak jak zwykle.

- Nie zbywam cię.

- Gówno prawda.

- Uprzedzałem, że będzie koszmarne, ale uparłeś się, że chcesz zobaczyć Debbie.

Potakuje i odwraca głowę w jej stronę.

- Ty tego nie widzisz, bo to twoja siostra, ale niezła dupa lo mało powiedziane.

- To twoja ciotka.

- Przyszywana. A może nawet nie. Przecież mnie nie adoptowałeś. Pamiętasz? Jesteśmy w szarej strefie, bo dałeś ciała na maksa?

- Jezu, odpuściłbyś wreszcie.

- Spokojnie, kochany. Tak się ujarąłem, że nawet nie mam siły się z tobą droczyć. - Russ wzdycha przeciągle, wpatrując się w Debbie. - Gdybym miał jaja, tobym jej powiedział, co czuję.

- Nie skapowałeś, że ona bierze ślub?

Russ patrzy na Mike'a, który w rozsypanej na stole kupce soli robi wzorki czubkiem noża do steków i ze smutkiem kiwa głową.

- Ale kicha - mówi.

Tak więc Russ wpatruje się w Debbie, a ja w ojca, który cichutko przeżuwa stek, rozgląda się po twarzach krewnych i promienieje. Ten widok niemal przyprawia o ciarki - ojciec jest taki dostojny, zadbany, taki normalny. Czuję się, jakbym widział ducha, więc smutek ciąży mi na żołądku. Nigdy nie byliśmy blisko, ale po wylewie bardzo mnie polubił, więc lęsknię za nim w sposób, którego nie rozumiem, bo jak można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie miało?

Jestem tak pochłonięty obserwowaniem ojca, że nie dociera do mnie, że siedzący naprzeciwko mnie Mike dwukrotnie mnie woła.

- Doug! - krzyczy wreszcie, a wszyscy milkną.

- Co? - mówię poirytowany.

- Mówię, że chcę, żebyś był drużbą.

- Że co?

- Żebyś był drużbą.

Wcale nie chciałem się zaśmiać, ale tak wyszło.

- Nie mówisz poważnie.

- Odpuść, Doug - mówi, rozglądając się wokół nerwowo. - Nie możesz się wiecznie gniewać, więc może załatwmy to od razu. Byliśmy dobrymi kumplami, a teraz będziemy rodziną. - Wyciąga rękę nad stołem i uśmiecha się szeroko. - Co ty na to? - Kątem oka widzę, jak Debbie uważnie nam się przypatruje, i dociera do mnie, że to było ukartowane - publiczny pokaz dobrej woli, który miał zmiażdżyć mój opór.

Nie podaję mu ręki.

- Nic z tego.

Mike cofa dłoń, wygląda na zranionego, Debbie rzuca sztuczkami.

- Co z tobą jest, do jasnej cholery? - atakuje mnie.

- Nic.

- Po co przyszedłeś, skoro zachowujesz się jak kutas?

- Claire mnie zmusiła. Nie chciała jechać sama. Debbie wzdycha i zmienia ton.

- Dobra. Jesteś smutny. Masz żalobę. Rozumiem. Mogę sobie tylko wyobrazić, co czujesz. Ale czy mógłbyś choć na jeden dzień odłożyć to na bok, przestać myśleć wyłącznie o sobie i cieszyć się moim szczęściem?

- A ty odłożyłaś na bok swoje uczucia dla Mike'a, żeby ze mną oplakiwać moją żonę?

- To nie fair.

- Tu akurat masz rację.

- Luzuj - mówi Claire, patrząc na mnie.

- Nic nie poradzę na to, gdzie się poznaliśmy. To było... przeznaczenie. Nic nie dzieje się bez powodu.

- Egocentryczna suka - mówię, a Debbie odchyła głowę, jakby dostała w twarz.

- Doug! - woła Claire, ale jest już za późno. Jeśli chciała, żebym był miły, nie powinna była mnie zabierać.

- Naprawdę w to wierzysz, co? - drę się na Debbie, która wpatruje się we mnie z ustami rozdziawionymi w szoku. - Że na tym polegał ten wspaniały, boski plan?! Że Hailey zginęła, żebyście mogli pierdolić się Mikiem na górze, kiedy ja odprawiałem sziwę?!

- Douglas! - syczy matka przez stół, a do mnie dociera nagle, że w całej restauracji zapadła cisza.

- Nie o to mi chodziło - tłumaczy Debbie roztrzęsionym głosem.

- Raczej nie to chciałaś powiedzieć na głos.

- Może powinniście wyjść na zewnątrz - wtrąca się Mike.

- Może powinienesz stulić swój pierdolony pysk.

- Douglas, nie wyrażaj się! - rozkazuje matka, pstrykając palcami.

- Zachowujesz się jak dupek - szłocha Debbie.

- A ty jak mała, samolubna pizda.

- No dobra, mam dla was wieści - obwieszcza radośnie Claire. - Jestem w ciąży i rozstałam się ze Stephenem. -Wszyscy odwracają wzrok w jej stronę, a ona siedzi spokojnie i jednym kciukiem zatacza kółka wokół drugiego. - Tylko nie gratulujcie mi wszyscy naraz.

Matka łapie ojca za przedramię i wpatruje się w Claire.

- Możesz to powtórzyć? - prosi, trzymając rękę na piersiach.

- Którą część?

- Całość.

- Jestem w ciąży i się rozwodzę.

- Ale jazda - mówi Russ i najwyraźniej przez marihuanę nagle wpada w śmiech, śmieje się coraz głośniej, wreszcie,

histerycznie, cały się trzęsie, ma szeroko otwarte usta, łzy ściekają mu po twarzy.

- Russ - mówię, szturchając go łokciem - przestań!

Ale on zaczyna się śmiać jeszcze głośniejsze, jak w amoku wali ręką w stół.

- Ale jazda! - wrzeszczy na cały głos i w kolejnym paroksyzmie rechotu zaczyna wymachiwać rękami nad głową. Przez chwilę siedzimy wszyscy w ciszy, oniemiała, bezradnie obserwując Russa, czekając, aż przestanie, ale nagle zaczyna śmiać się ojciec - głośno i szczerze - po chwili dołącza do nich Claire, potem ja. Śmiech rozchodzi się wokół stołu jak fala, aż wreszcie wszyscy zanosimy się nim szaleńczo, a Mike z rodzicami patrzy na nas, zastanawiając się, co też, kurwa, jest w tym śmiesznego. Nawet gdybym był w stanie coś powiedzieć, nie wydusiłbym słowa, bo nie ma w tym nic ani odrobinę śmiesznego, wszystko jest potwornie smutne, powiedziałbym im więc tylko: witajcie w rodzinie.

Przy deserze sytuacja jest na pozór opanowana: matka wcina wilki jak cukierki, pan Sandleman zanudza mojego ojca gadką o federalnych stopach procentowych, Russ siedzi cicho i w skupieniu smaruje masłem resztki bułek i paluszków chlebowych, Mike cichaczem obmacuje Debbie pod stołem.

- Zawsze musisz być w centrum uwagi, co, Claire? - pyta Debbie gorzko. - Powinnam była się spodziewać, że coś na dzisiaj wymyślisz.

- Masz rację, mała. Pieprzę swoje życie tylko po to, żeby ci zabrać twoje pięć minut.

- Życie to akurat pieprzysz sobie od dawna. Ale musiałaś ogłosić to dzisiaj, żeby nikt, nie daj Bóg, na dziesięć minut o tobie nie zapomniał.

- Nic nie dzieje się bez powodu, prawda?

- Wal się.

- Deborah, nie wyrażaj się - mówi matka bezwiednie.

Próbuje pstryknąć, ale palce odmawiają jej posłuszeństwa. Zapiła vilki białym winem i uciekła w narkotyczny trans, w którym nie czuje bólu.

- Chłopak czy dziewczynka? - pani Sandleman śmiało podejmuje wątek.

- Słucham? - pyta Claire.

- Dziecko.

- Nie mam pojęcia - kręci głową Claire.

- Właśnie - mówi ponuro Debbie. - Niech się wszyscy zajmą Claire, bo inaczej Bóg jeden wie, na co się porwie. Może zmieni płeć.

- Luzuj, maleńka.

- Zamknij się, Mike.

- Sinatra! - wykrzykuje ojciec, zrywając się na równe nogi. Rzeczywiście orkiestra zaczyna grać znany kawałek. -Zatańczmy - mówi ojciec, wyciągając do matki rękę.

- Oj, nie - matka odpycha jego dłoń. - Nie utrzymam się na nogach.

- Debbie? - pyta ojciec, patrząc na nią.

- Nie teraz, tato.

- Bardzo cię proszę.

- Nikt nie tańczy.

- Nieprawda - odpowiada ojciec. Mija dwa stoliki i zaczyna podrygiwać wzdłuż okien wychodzących na zatokę Long Island, wykonuje obrót, w takt stawia kroki. Słońce zachodzi, niebo przecina ostatnia różowa kreska.

- Jezu - Debbie odsuwa krzesło i wstaje. Podbiega do ojca i próbuje zaciągnąć go do stołu, ale on obejmuje ją i pomrukując melodię, zaczyna z nią tańczyć. Ona najpierw się opiera, potem przestaje, jej ciało staje się bezwładne, kiedy obejmuje ojca za szyję i kładzie mu głowę na ramieniu. Zaczyna płakać. Nie płacze cicho - to głęboki, bolesny szloch, który przeszywa jej ciało. Ojciec tuli ją, powstrzymuje jej drżenie, masuje jej kark i przyciska usta do jej głowy. Trwają

tak przez długi czas; piosenka Sinatry dawno już przebrzmiała, a oni kołyszą się delikatnie w przód i w tył, niebo ciemnieje, a zatoka Long Island chowa się w mroku.

Matka znika po obiedzie. Znajduję ją na plaży, stoi bez butów na falochronie i patrzy na ciemny ocean, jej czarna suknia łoskocze na wietrze i oblepiają, włosy bez spinek rozwiewa wiatr. Nie twierdzę, że matka przybiera podobne pozy wyłącznie po to, żeby osiągnąć teatralny efekt, ale tylko w filmach ludzie tak stoją, wpatrzeni w widnokrąg, zatopieni w myślach do czasu, aż ktoś do nich dołączy i rozpocznie głęboką rozmowę. W rzeczywistości nasze najgłębsze myśli pojawiają się w chwilach wykradzonych codzienności - kiedy jemy, prowadzimy samochód, sramy, stoimy w kolejce. Niełatwo pokazać to w filmie, więc jakiś nieznany reżyser wymyślił technikę pod tytułem „wpatrywanie się w horyzont”, żeby oddać głębię myśli. Matka, która dawno już nie odróżnia prawdziwego życia od aktorstwa, jest ponadto pod wpływem wilek i alkoholu, a to znaczy, że w tej chwili jej więź z rzeczywistością jest prawdopodobnie jeszcze słabsza niż zwykle.

- Stale przychodziliśmy na tę plażę, kiedy byliście mali -mówi matka, nie odrywając wzroku od ciemnej zatoki. - Pamiętasz?

- Pewnie.

- Uwielbiałam tu przychodzić. - Wzdycha. - Wszyscy troje kochaliście wodę. To była praktycznie jedyna kwestia, w której byliście zgodni. Siadałam na ręczniku, patrzyłam na trzy podskakujące główki i przynajmniej wtedy wiedziałam, że robię to, co do mnie należy, a wy jesteście Szczęśliwi. Potem ty zacząłeś przynosić walkmana, leżałeś ze słuchawkami na uszach, pochłonięty własnymi problemami. Potem Claire urosły piersi i odkryła bikini, więc znikała z jakimiś koszmarnymi chłopakami, Deborah zostawała sama, ty drażniłeś ją

dotąd, aż zaczynała płakać, po czym wstawałeś, żeby sobie dokądś pójść, co kończyło się tak, że się na ciebie darłam. Mniej więcej wtedy przestałam lubić plażę.

Stoję cicho, jak aktor za kulisami, czekam na swoją kolej.

- Za ostry dla niej jesteś, nie sądzisz?

- Raczej nie - odpowiadam, stając obok niej na falochronie.

Matka kiwa głową, neony restauracji oświetlają jej rysy na niebiesko.

- Mike to dobry chłopak. Pewnie, że jak na prawnika jest trochę gamoniowaty, a rękę trzeba mu pewnie będzie chirurgicznie odjąć od tyłka twojej siostry, ale kochają, a co ważniejsze, ona kocha jego. Widać to w jej oczach.

- Jest jej własnością.

- Możesz poluzować standardy? Ta miłość wcale nie jest przez to mniej prawdziwa. Ona uwielbia dominować, a ty jesteś rozgoryczony, więc nimi gardzisz. Nie wszyscy muszą iść tą samą drogą.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Nie mnie. Tu chodzi o co innego - odwraca się, żeby obdarzyć mnie surowym spojrzeniem. - Popuść trochę. To jej czas. Jak dobrze pójdzie, wyjdzie za mąż ten jeden, jedyny raz. Nie psuj jej święta. W końcu to nie na nią jesteś zły.

- Nie? A na kogo?

- Na Hailey, oczywiście - mówi, spoglądając na ocean. - Ja też jestem na nią wściekła, że tak cię zostawiła. Ale to stara sprawa, nie chcę o tym mówić.

- Ja też nie.

Pod nami fale rozbijają się ze złością o skały i rozbryzgują wokoło. Czuję na twarzy maleńkie kropelki chłodnej mgiełki, które kłują mnie jak igielki.

- Jakkolwiek haniebnie postąpiła wobec ciebie Debbie, zrobiła to w imię miłości, i akurat ty powinieneś to zrozumieć.

- W imię miłości własnej - poprawiam.
- Daj spokój, Douglas. A są inne rodzaje?
- Coś ci powiem...

- Nie, to ja ci coś powiem. Wysłuchaj matki. Może jestem szurnięta, a teraz jeszcze wstawiona, ale żyję na tym świecie dłużej niż ty i wiem więcej. Deborah bywa uciążliwa, ale ma to w genach i nic na to nie poradzi. Pamiętaj, że niełatwo jej było dorastać przy tobie i Claire. Jak mieliście dobry dzień, po prostu ją ignorowaliście, jak mieliście gorszy - potrafiliście być okrutni.

- Przestań. Nie byliśmy tacy okropni.

Matka unosi swoją cieniutką, niemal niewidoczną brew.

- Byliście straszni. I dalej jesteście. Jest was troje, ale ona zawsze była z boku, mogła co najwyżej się przyglądać. Wy mieliście swoje żarciki i potajemne spojrzenia. Oddałaby prawą rękę za waszą akceptację. Nadał tak jest. Może to moja wina, może powinnam była was zmusić, żebyście choć trochę się zbliżyli. Ona zawsze chciała tylko jednego: żebyście, ty i Claire, ją kochali.

Rzadko się zdarza, żeby pod wpływem kilku czyichś słów nagle zobaczyć siebie w zupełnie innym świetle. Matka potrafi jeszcze odegrać poruszające przedstawienie.

- Nigdy tak o tym nie myślałem - mówię, czując się jak dupek.

- Pewnie, że nie. Byliście z Claire za bardzo pochłonięci własnymi sprawami, żeby zauważyć cudze. To też genetyczne - mówi ze smutnym uśmiechem. - Nieokiełznany narcyzm to właściwie wasze prawo urodzenia.

Słyszę z oddali, jak na parkingu woła mnie Russ.

- Szukają nas - mówię.

Matka kiwa głową, chwyta mnie za rękę, którą jej podaje, żeby pomóc jej zejść. Niesie buty w rękę, idziemy plażą w stronę parkingu. Widzę ojca i Claire wirujących w świetle neonów jak Fred i Ginger.

- Ojciec był dziś niesamowity, co? - mówię. Matka potakuje i bierze mnie pod rękę.

- Powiem ci, co będzie dalej. Wrócimy do domu, a on będzie chciał się kochać w nieskończoność, potem będziemy leżeli przytuleni, on będzie opowiadał o waszym dzieciństwie albo o tym, jak zaczęliśmy chodzić na randki. Będę go słuchać, dopóki dam radę, przylgnę do niego, będę chłonać każdą chwilę i marzyć o tym, żebyśmy tak mogli trwać wiecznie, ale w końcu zasnę, a on będzie mówił dalej. Kiedy się rano obudzę, on będzie sikał na klomb albo grał w baseball w samych majtkach, albo budował z kryształów mojej babki szklaną wieżę w dużym pokoju, albo Bóg wie co jeszcze. Schowam się pod kołdrę, rozplacę i będę się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś zobaczę go w lepszym stanie. - Matka odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, ma szeroko otwarte, mądre oczy, przykładła zimną dłoń do mojego policzka. - Ty straciłeś żonę i wierz mi, że z tego powodu pęka mi serce. Ale ja tracę męża codziennie, tracę go stale na nowo. I nie mogę sobie pozwolić na żałobę.

- Jezu, mamo - głos mi się załamuje, ale matka już idzie dalej. To jej ulubiona technika. Lubi przystanąć, a potem znów iść. Postój, ruch.

- Chodź, Douglas - mówi radośnie, ciągnąc mnie za rękę. - Życie jest do dupy, to wiadomo na pewno. Ale są i dobre strony - przynajmniej jedno z nas dziś wieczorem sobie pociupcia.

Na parkingu ojciec podchodzi do matki i okrywa jej zmarznięte ramiona marynarką. Żegnają się z Sandlemanami, którzy nadal wyglądają na porażonych odstawionym przez nas widowiskiem i pewnie nie mogą się doczekać, żeby wsiąść do samochodu i o tym pogadać. Odjeżdżają, a my przytulamy się, wymieniamy uściski dłoni, żegnamy się i ktoś, kto nas nie zna, wzięłyby w tej chwili naszą rodzinę za zupełnie normalną.

Jak rozmawiać z wdowcem

Doug Parker

Są trzy rzeczy, które ludzie mówią bez wahania, trzy rzeczy, których wolałoby się nigdy nie słyszeć, puste frazesy, które wywołują skręt kiszek i gwałtowny napływ krwi do uszu. Nawet jeśli zdążyliśmy się zahartować, to i tak, słysząc je, usilnie tłumimy przemożną chęć odszczeknięcia się wulgaryzmem i rzucenia czymś, co można rozbić, albo przywalenia w te wykrzywione litością twarze, żeby poczuć, jak pęka pięść, i zobaczyć, jak karmazyn tryska im z nosa niczym gejzer.

Przykro mi.

Wiem, wiem, to uniwersalny frazes, ale problem polega na tym, że bezwarunkowy odruch na czyjeś „przykro mi” to odpowiedź w stylu „już dobrze” albo „nic się nie stało”. Programują nas od przedszkola, od pierwszego razu, kiedy jakiś zasmarkany gnojek rozwali naszą budowlę z klocków, żeby przebaczać. I chociaż wcale nie jest dobrze, chociaż gorzej być nie może, uruchamiamy socjolingwistyczny odruch i przekonujemy, że jest dobrze. To nie koniec, bo teraz role się odwracają i to my pocieszamy, zamiast słuchać słów pokrzepienia, co w sumie nie jest złe, bo mamy dość ludzi nieudolnie próbujących nas pocieszyć, jesteśmy w końcu dorośli, sami się pokrzepimy w zaciszu prywatności, chlejąc na umór i wydzierając się na telewizor, waląc w ścianę lub płacząc pod prysznicem,

żeby woda zmywała łzy, gdy tylko się pojawią. Ale pod żadnym pozorem nie powinno być tak, że człowiek stoi i usiłuje pocieszać innych. Właśnie straciłeś żonę, więc wydawałoby się, że możesz bezpiecznie powiedzieć, że masz swoje problemy. Po kilku razach uczysz się odpowiadać „dziękuję”, a potem czujesz się śmiesznie. Dziękuję za to, że jest ci przykro. Co to, kurwa, ma znaczyć? To po prostu koronny dowód braku znaczenia czegoś, co przeobraziło się w bezcelowe życie. *Jak s/ę miewasz?*

I w tym wypadku pierwszym odruchem jest kłamstwo. Usta chcą powiedzieć „dobrze”, spodziewają się, że powiesz „dobrze”, z całych sił pragną, żebyś powiedział „dobrze” - może z jakąś rezygnacją, ze smutnym wzruszeniem ramionami, ale jednak „dobrze”. Rozmówca wyraził rutynową troskę, a „dobrze” jest jak kwitek, który mu się należy. Ale tobie wcale nie jest dobrze, jesteś totalnie rozpierdolony, upijasz się przed lunchem i gadasz do siebie, wyjesz nad zdjęciami, marnujesz czas, gapiąc się przed siebie, katujesz się nieskończonym wachlarzem scenariuszy pod tytułem „co by było gdyby”, jesteś zagubiony, zdruzgotany, wściekły albo w dowolnej chwili czujesz to wszystko naraz. Chcesz z tym skończyć, ale wtedy musiałbyś dać jej odejść, a nie chcesz dać jej odejść, więc nie możesz z tym skończyć. A może kończysz - tak troszkę - a potem czujesz żal, że tracisz ją na nowo, a potem masz wyrzuty sumienia, dlatego że próbujesz skończyć z żalem, a potem wkurzasz się, że czujesz się winny, choć nie powinienes, a potem masz kolejny wyrzut, bo się wkurzasz na swoją zmarłą żonę. Czy to wszystko zawiera się w słowie „dobrze”? Powiedzieć, że jest dobrze, to zdyskredytować wszystko, przez co przechodzisz. „Dobrze” to zniewaga twojej zmarłej żony, oznaka słabej miłości. Ale nikt nie chce słyszeć ohydnej prawdy, a nawet gdyby ktoś taki się znalazł, to niezręcznie ci dzielić się żalem w ten sposób, więc raz jeszcze powtarzasz „dobrze” i oddychasz głęboko, dopóki nie minie chęć popełnienia krwawego, rytualnego mordy.

Mogę coś dla ciebie zrobić?

Skoro pytasz - cofnij czas i zrób coś, żeby moja żona nie wsiadła do tego pieprzonego samolotu. Tym rzeczywiście byś mi pomógł. Będę nieskończenie wdzięczny. A tak w ogóle, to jak chciałeś mi pomóc? Zabrać mnie na obiad? Straciłem żonę, a nie kuchenkę mikrofalową.

No i przede wszystkim daruj sobie empatię. Nie rób ze swojej tragedii potajemnego uścisku członków bractwa. Moje nieszczęście nie szuka towarzysza. Nie chcę słyszeć, że twój ojciec zginął w wypadku samochodowym, matka miała atak serca, a siostra powoli umiera na białaczkę. Mój smutek bije wszystkie inne, nie mam ochoty nurzać się w twoim żalu i nie chcę, żebyś ty nurzał się w moim.

Wiem, że chcesz dobrze, ale przez to wcale nie jest mi łatwiej ciebie słuchać. Chcesz okazać przyjaźń i wsparcie? Powiem ci, jak to zrobić - zostaw mnie w spokoju. Nie nawiązuj do tego bezpośrednio. Myślisz pewnie, że ciepłe słowo o mojej żonie, jakieś wspomnienie ulży mi w bólu, ale wierz mi na słowo, że tak nie jest. Jeśli nie umiesz udawać, że mnie nie widzisz, pamiętaj, że krótkie powitanie to wszystko, co jestem w stanie znieść. Jeśli musisz mi jakoś pokazać, że wiesz o mojej tragedii, to kiwnij ponuro głową, ściągnij usta, zmarszcz czoło -to wystarczy. Poza tym trzymaj się raczej lekkich tematów. Spytaj o godzinę, a ja zerknę na zegarek. Zaproś mnie do kina. Odmówię, ale wyszedłeś z propozycją i to będzie ta prosta wymiana, która wystarczy, żeby nie chciałem cię oskalpować. Może jeśli takich wymian uezbiera się więcej, jeśli nawiążemy zwykły, luźny kontakt, jeśli poczuję, że niczego ode mnie nie chcesz, to po jakimś czasie będę w stanie spojrzeć ci w oczy, może w swoim tempie zacznę dopuszczać do siebie świat.

A potem, kto wie? Może któregoś dnia złapiesz mnie w lepszej chwili i ja się zgodzę na to kino, bo wyrwę się z domu i przez dwie godziny nie będę musiał rozmawiać. Po seansie pogadamy o filmie. Tym wspólnym wyjściem niczego nie naprawisz, nie pomożesz mi pogodzić się ze stratą, ale im prędzej przestaniesz próbować, tym lepiej dla nas obu.

Zdrowienie to sprawa intymna i szczerze mówiąc, wcale nie chcę, żebyś w nim uczestniczył. Niemniej podarujesz mi krótki odpoczynek od mrocznego, żalostnego więzienia mojego umysłu i ten dar, cenny sam w sobie, to najlepsze, co możesz mi zaoferować.

I nie muszę chyba dodawać, że jeśli zabierzesz mnie na komedię romantyczną, to wpakuję ci kulę w łeb, a chwilę później zrobię to sobie.

15

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 27 września 2006

Temat: Się dzieje

Jestem po rozmowach z Simon & Schuster, Doubleday i River-head. Wszyscy są zainteresowani. Porównam oferty, jak tylko złożysz oficjalną propozycję. Może nawet dojdzie do licytacji! Dawaj, Doug, do dzieła! Co do cholery masz innego do roboty?

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com

Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Data: środa, 27 września 2006

Temat: Nie, dziękuję

Wybacz, Kyle. Nie jestem gotów. D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com

Do: Doug.Parker@mmag.com

Data: środa, 27 września 2006

Temat: Dostałeś karty, więc graj

Do kurwy nędzy, Doug! Licytacja! Pamiętasz, jak przez całe lata polowaliśmy na zlecenia? Za taką okazję oddałbyś lewe jądro!

K.

Od: Doug.Parker@mmag.com
Do: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Data: środa, 27 września 2006
Temat: To było kiedyś

Teraz jest inaczej. Błagam, daj mi spokój. D.

Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Do: Doug.Parker@mmag.com
Data: środa, 27 września 2006
Temat: Strategia

Dobra, grasz cnotkę. Niech ci będzie. Tylko nie zapominaj, że po jakimś czasie musisz ulec. Wkrótce trzeba ustalić warunki. K.

Od: Administrator systemu
Od: Kyle.Evans@EvansLitAgents.com
Data: środa, 27 września 2006
Temat: Problem z dostarczeniem twojej wiadomości

Twoja wiadomość nie została dostarczona. Odbiorca zablokował twój adres mejlowy (Kyle.Evans@EvansLitAgents.com).

Późnym rankiem Claire budzi mnie z przyjemnego snu. Nic specjalnego - jechaliśmy gdzieś z Hailey samochodem, liście za oknami rozmazywały się w pomarańczową smugę, grało radio. W moich snach zawsze jest jesień. Hailey coś mówiła, ale chociaż słyszałem ją we śnie, nie mogę sobie przypomnieć ani jednego słowa, ani tonu jej głosu. Leżę w łóżku, czuję, jak ogarnia mnie pustka, pojawia się znajomy ciężar w brzuchu, umysł jest jeszcze częściowo pogrążony w mroku. Zawsze tak mam, kiedy się budzę - przez kilka sekund czuję się sobą, czuję się taki, jaki byłem kiedyś, a potem przytomnieję i czuję pustkę, ciemną i kleistą jak ropa naftowa. Zamykam oczy i próbuję się zmusić, żeby znów zasnąć, żeby wrócić do Hailey, ale świadomość jest jak elektryczność - szerzy się po całym ciele z prędkością światła i nie sposób jej wyłączyć.

- No już - mówi Claire. - Otwieraj oczy. Przekręcam się, a ona siedzi w nogach łóżka po turecku,

jak za dawnych lat. Ma na sobie markowy dres w kolorze krzykliwego szmaragdu, od którego aż bolą mnie oczy.

- Która godzina? - pytam.

- Dziesiąta trzydzieści trzy. Zrobiłam ci śniadanie, ale w końcu sama je wrębałam. Wybacz.

- Nie szkodzi - odpowiadam. - Nie jem śniadań.

- To najważniejszy posiłek - mówi z uśmiechem. Zamykam oczy i jęcę.

- Daj mi jeszcze chwilę, co?

- Nic z tego. Wstawaj! - Ściąga ze mnie kołdrę.

- No nie - wzdycham. - Musimy ustalić jakieś reguły.

- Akurat będę ich przestrzegać.

Siadam półprzytomny, opieram się o zagłówek.

- Czego chcesz?

- Przede wszystkim schowaj żołnierzyka.

- Że co? A tak. Sama mnie odkryłaś - tłumaczę, poprawiając bokserki.

- Racja - odpowiada, narzucając na mnie kołdrę.

- Gotowy?

- Na co?

Uśmiecha się szeroko, jak gospodyni talk-show.

- Na pierwszy dzień reszty twojego życia! - Patrzy na innie wyczekująco.

- Coś ty znowu wymyśliła? - pytam.

- Otóż mam pewne przemyślenia - mówi, znacząco głaszcząc się po brzuchu. - W najbliższym czasie dzięki mnie przyjdzie na świat zupełnie nowy człowiek. I to prawie bez udziału mojej świadomości. Skoro więc w ciągu dziewięciu miesięcy mogę stworzyć nowe życie, i to zupełnie bezwiednie, to mogę w tym samym czasie odbudować i twoje, za to całkiem świadomie.

Przyglądam się jej.

- Myślisz, że to takie proste?

Oczy Claire są szeroko otwarte, nieustępliwe.

- Jeśli chcesz, żeby takie było.

- Sam nie wiem, czego chcę.

- Dlatego tak dobrze mieć siostrę bliźniaczkę, która zna cię lepiej niż ty sam. Ty nie wiesz, więc ja się dowiem. Gdybyś potrzebował nerki albo wątroby, to lepszego dawcy byś nie znalazł, bo w środku jesteśmy tacy sami. Idąc tym to-

rem: oddam ci trochę serca, aż twoje zaczniesz bić samodzielnie.

- A dokładnie?

- Masz mi całkiem zaufać i na wszystko się zgadzać.

- Ta, jasne.

- Mówię poważnie. Bez przerwy oplakujesz Hailey, więc nie masz czasu myśleć o czymkolwiek innym. Rozsądek ci podpowiada, że czas wrócić do żywych. Zrób coś mądrego i przerzuć część roboty na kogoś zaufanego.

- A ty co, zaczniesz mi organizować randki w ciemno? Klęcząc, Claire nachyla się, żeby mi się przyjrzeć.

- Będziesz robił to wszystko, co lubił robić tamten Doug.

- Już nim nie jestem.

- Nikim nie jesteś.

Wpatrujemy się w siebie przez dłuższą chwilę. Claire jak zwykle wygrywa.

- A co takiego miałbym robić?

- Zaczniemy od dwóch rzeczy. Pierwsza jest najtrudniejsza.

- To znaczy?

Claire siada mi na nogach, wgniata mnie w łóżko, kładzie mi ręce na ramionach, nachyla twarz tuż nad moją.

- Musisz mi powiedzieć, że tego chcesz.

- Czego?

- Że chcesz znów żyć, że chcesz rzadziej być smutny, że jesteś gotów zrobić krok do przodu, tylko potrzebujesz pomocy. Że chcesz przynajmniej zakładać, że możesz znaleźć szczęście.

- Pewnie, że chcę.

- Więc to powiedz.

- Dlaczego?

- Bo muszę to usłyszeć.

- Claire - odwracam głowę, ale ona łapie mnie za brodę i zmusza, żebym spojrzał jej w oczy.

- Żadnych takich. Po prostu to powiedz.

- Dobra - odpowiadam. - Chcę znów żyć. Chcę być szczęśliwy, przynajmniej czasami. Nie wiem, czy jestem gotów zrobić kolejny krok, ale chcę być gotów. I... - głos zasycha mi w gardle, ale zmuszam się, żeby skończyć: - I nie wiem, jak się za to zabrać.

Claire przejeżdża małym palcem po mojej twarzy - ociera Izę, której nawet nie czułem, a potem całuje koniuszek wilgotnego palca.

- W porządku - mówi z szatańskim uśmiechem. - Może być.

- A ta druga rzecz?

- Co?

- Mówiłaś, że są dwie.

- A, tak. Druga to łatwizna.

- To znaczy?

- Naucz się mówić „tak”.

- Co „tak”?

- Wszystko.

- Wszystko?

- Właśnie - odpowiada, wstając z łóżka. - Przez ostatni rok odmawiałeś wszystkim i wszystkiemu, i co z tego miałeś?

- Nie odmówiłem Laney Potter.

- I dzięki temu ją bzyknałeś. Wyobraź sobie tylko, co by było, gdybyś zgadzał się częściej.

- Tyle przeżyć? Mógłbym nie wydolić.

- Przekonamy się. Nowa zasada: powiedz „tak”.

- Myślałem, że masz zasady gdzieś.

- Nie moje własne. A teraz przestań się ociagać i powiedz „tak”.

- Mam powierzyć życie komuś, kto swoje własne spierdolił w tak spektakularny sposób?

- I tu się mylisz - mówi z przekonaniem. - Właśnie naprawiam to, co spieprzyłam. I choć dla niewprawnego oka te

dwa procesy niczym się nie różnią, to zaręczam, że w finale są zupełnie inne.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby Stephen podzielał twoje zdanie.

- Co mam ci powiedzieć? - Claire wzrusza ramionami. - Nie zrobisz omletu, jak nie stłuczysz paru jajek. Przestań wreszcie zmieniać temat, o mnie możemy pogadać później. Wchodzisz w to?

Myślę o wczorajszej kolacji, o ojcu - uśmiechniętym, zamyślonym, radosnym, w otoczeniu swoich nieszczęśliwych, porąbanych dzieci. Myślę o Debbie, która łkała mu na ramieniu, o matce, która wodziła za nim oczami, kiedy tańczył. A potem myślę o Hailey, która całowała mnie powoli na diabelskim młynie, kiedy zmrok otulał nas niczym ciepły koc.

- Wchodzę - odpowiadam.

- No to git - mówi Claire z tajemniczym uśmiechem. - Zaczynamy.

- Od czego?

- Ubierz się i rusz tyłek do liceum Radford Township.

- Po cholere?

- Dzwonili godzinę temu. Russ się z kimś pobił. Zawiesili go.

- Szlag. Nie mogłaś powiedzieć wcześniej?

- Mogłam, ale zaczęłam od najważniejszego.

- Dlaczego nie wezwali Jima?

- Słuchaj - mówi poirytowana Claire. - Zaczniemy jeszcze raz. Dzwonili do ciebie, bo Russ został zawieszony. Chcą, żebyś po niego przyjechał. Pojedziesz? - Wpatruje się we mnie groźnie.

- Tak - odpowiadam.

Claire nachyla się i całuje mnie w policzek.

- Dobra odpowiedź - mówi, idąc w stronę drzwi. - I co, tak trudno było?

Russ ostrożnie zdejmuje z prawej ręki papierowy ręcznik, mokry i zakrwawiony. Odślania zdarte, krwawiące kłykcie. I lewe oko ma półprzymknięte, a półcień opuchlizny w kolorze śliwki ciągnie się od kącika gałki aż po kość policzkową. Lewą stronę twarzy pokrywa mozaika zadrapań i skaleczeń.

- Jestem pod wrażeniem - mówię. - Jak wyglądał ten drugi?

- Jak olbrzym, który przyparł mi klatę kolanami i spuszczał mi bęcki. Kiwam głową.

- Chcesz o tym pogadać?

- To tylko kretyńska bójka. Nie musisz się bawić w psychologa.

Zajmujemy dwa z czterech połączonych krzeseł, które stoją w korytarzu przed gabinetem szkolnej psycholog.

- I co, mam z nią pogadać?

- Czeka na ciebie - mówi Russ obojętnie.

- W sumie to mi ulżyło. Myślałem, że mnie wezwą do dyrektora.

- Śmierć matki to ekspresowa przepustka do wariatkowa.

- Kapuję.

Mijają nas trzy ładniutkie panienki - mają krótkie, opięte

spódniczki i obcisłe koszulki, nie przestają rozmawiać i chichotać. Obaj oglądamy się za nimi, kiedy idą korytarzem.

- Nie miałem w ogólniaku takich pańienek - wzdycham.

- Ja też nie - mówi Russ ponuro i wbija wzrok w podłogę.

Patrzę na niego. Jest posiniaczony i pobity, trwa w milczącej żałobie, ale, w przeciwieństwie do mnie, życie codziennie zmusza go, by stawił światu czoło, by pragnął nieosiągalnych dziewczyn i walczył o swoje w bezlitosnych szkolnych murach. Pod koniec dnia nikt na niego nie czeka. Nagle czuję się jak samolubny, użalający się nad sobą palant.

- Nie gadamy zbyt często, co? Russ podnosi wzrok.

- Raczej nie.

- To pewnie moja wina.

- Pewnie tak - wzrusza ramionami i podnosi zakrwawioną rękę, żeby z bliska obejrzeć ranę. - Jimbo i Angie przenoszą się na Florydę.

- Co?

Zmarnowany kiwa głową.

- Dowiedziałem się wczoraj wieczorem. Wiesz, to w końcu „słoneczny stan”.

- Szlag. To fatalnie. Kiedy?

- Po świętach.

Nie mogę tego pojąć.

- A co takiego jest do cholery na Florydzie?

- Nie wiem. Praca albo coś. Usłyszałem „Floryda”, a potem nic już do mnie nie docierało.

- Jedziesz z nimi?

- A mam wybór? - pyta, wpatrując się we mnie. - Przecież nie mam się gdzie podziąć.

Wzdycham, chowam twarz w dłoniach.

- Russ. To nie jest takie proste.

- Dla mnie jest.

- Słuchaj - mówię i czuję, że ta sytuacja całkiem mnie przerasta. - To twój ojciec, twój jedyny prawny opiekun. Nie mogę mu mówić, co ma robić.

- Patrz, to jest nas dwóch.

Tu trzeba poważnej rozmowy, pytań, zapewnień, ale niech mnie szlag, jeśli wiem, jak się do tego zabrać.

- Czekaj, pójde i wpłacę za ciebie kaucję, czy co tam mam zrobić, a potem pójdziemy coś zjeść i pogadamy, dobra?

- Tu nie ma o czym gadać.

- To zjemy w milczeniu - odpowiadam, wstając. - Nie martw się. Przywykłem.

- Doug - mówi Russ, kiedy otwieram drzwi do gabinetu.

- Tak.

- Możesz z nim pogadać? - Jego zdrowe oko jest szeroko otwarte, przekrwione i, słowo daję, w tej chwili czuję oszałamiający przypływ czułości dla tego rozżalonego, porąbanego dzieciaka, a nagły wstrząs w piersiach podpowiada mi, że mam jeszcze kawałki serca, które mogą popekać na mniejsze.

- Dobra - odpowiadam, myśląc z rezygnacją, że jak zawsze, kiedy chodzi o Jima, nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Szkolna psycholog, pani Hayes, jest młodsza, niż się spodziewałem, ma proste, czarne włosy i mleczną skórę.

- Dzień dobry, panie Parker - mówi na powitanie, ściskając mi dłoń. - Dziękuję, że pan przyjechał. Jestem Brooke Hayes.

Jej włosy podskakują, kiedy siada, odsłaniając całą konstelację kolczyków, kólek i sztyftów; pani Hayes zdecydowanie nie przypomina typowego pracownika placówki oświatowej.

- Pani jest szkolnym psychologiem? - pytam.

- Często słyszę to pytanie - odpowiada. Ma spokojny, miękki głos, z zachrypniętą nutą jak u piosenkarki rockowej. Sprawia wrażenie, jakby zapowiadała kolejny szlagier i miała za chwilę zacząć balladę o straconej miłości.

- Pytam, bo jest pani dość młoda.

Uśmiech rozszerza się na jej twarzy z prędkością pożaru na łące.

- Dziękuję. Mam pełne uprawnienia. Pan też jest dość młody jak na ojczyzna Russa. Ile ma pan lat, trzydzieści?

- Dwadzieścia dziewięć.

- A ja dwadzieścia siedem. Ktoś najwyraźniej uznał, że łatwiej mi będzie nawiązać z uczniami kontakt.

- No i?

- Z niektórymi się udaje.

Siada na zgiętej nodze i wskazuje na stojące przed nią krzesło.

- No więc - mówię, siadając - o co chodzi?

- Z samego rana Russ zdążył zadrzeć z połową drużyny futbolowej. Jak widać, spuścili mu łomot.

- Zmówili się? - pytam, czując, jak wściekłość ścisną mi brzuch niczym rozgrzana obręcz.

- Podobno ktoś mu przygadał, jemu puściło, a reszta chciała ich tylko rozdzielić.

- Rany. Co mu powiedział?

- Nikt nie chce puścić pary z ust.

- Któryś poważniej oberwał?

- Nie, to była bójka jakich wiele, tylko tak się dla Russa fatalnie składa, że szkoła wprowadza zerową tolerancję dla przemocy. Zgodnie z przepisami musi zostać zawieszony na trzy dni.

- Pani Hayes...

- Mówmy sobie po imieniu. W końcu oboje jesteśmy przed trzydziestką.

- W porządku - odpowiadam, nieco zmieszany jej swobodą. - Wiesz, że nie jestem jego prawnym opiekunem. Mieszka z ojcem.

- Wiem - mówi powoli, przygryzając z namysłem wargę i oceniając mnie wzrokiem. - Ostatnim razem wezwałam Jima.

- Myślałem, że to pierwsza taka sprawa. Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- Akurat pod tym względem Russ jest niezawodny. W każdym razie Jim poczęstował mnie bełkotem o tym, jak to dzieciaki muszą same załatwiać swoje sprawy, a on wychował syna tak, żeby nie dawał się gnojkom.

- Nie on go wychował, kropka.

Brooke kiwa głową, wpatrując się we mnie bacznie.

- A potem spytał, o której kończę pracę.

- Chryste.

- No właśnie. Dlatego uznałam, że tym razem warto spróbować czegoś innego. Russ mówi o tobie z szacunkiem.

- Niemożliwe. Uśmiecha się i wznosi ręce.

- No dobra, czytam między wierszami. Z takimi dzieciakami inaczej nie sposób. Nie mówi za wiele, ale z tych strzępów informacji wiem, że cię lubi. Poza tym - przepraszam, że to mówię - czytuję twoje felietony w „M”... - Jej głos zamiera. - Zresztą, to nieważne.

- Ale co? - pytam.

- Nie chcę przekroczyć granic.

- Jakoś nie wyglądasz mi na kogoś, kto zwykle ich przestrzega.

- Wrażliwy i z intuicją - mówi z uśmiechem aprobaty. -Dobra, chciałam powiedzieć, że te artykuły pisze ktoś bystry i przygnębiony, ale też potwornie wściekły.

- Wściekły - powtarzam. - A niby na co?

- Bo ja wiem? Na los, bo pozwolił, żeby to cię spotkało, albo na Boga, jeśli jesteś wierzący. Na żonę, która miała czelność zniknąć. Na samego siebie, bo temu nie zapobiegłeś.

- Robisz mi psychoanalizę na podstawie felietonów?

- Wystarczy, że piszesz. Sieczesz na oślepa, oskarżasz świat. To zupełnie normalne.

- Ulżyło mi. Możemy przejść do Russa?

- Właśnie o nim mówię - odpowiada, ignorując mój wrogi ton. - Faza złości po stracie ma to do siebie, że często podświadomie odpychamy wszystkich i wszystko, co kojarzy się ze zmarłym. Cała tragedia polega na tym, że obaj przechodzicie przez to samo. On jest tak samo smutny, wściekły, zdezorientowany i samotny jak ty, a do tego jest nastolatkiem, a to znaczy, że jego lepsze dni to burza zamiast zwykłego huraganu. Musi się komuś wygadać, znaleźć kogoś, kto pomoże mu przez to przejść, a nikt nie zrozumie go lepiej niż ty.

- Twierdzisz, że go odpycham? - pytam wkurzony. - Gównu o mnie wiesz.

- Racja - mówi, wychylając się z fotela. - Ale wiem, że ojciec mu nie pomoże, a przede mną się nie otworzy. To dobry dzieciak - może trochę skryty, ale bystry i wrażliwy. Jeśli taki chłopak zaczyna rozrabiać i wdawać się w bójkę, to usiłuje zwrócić na siebie uwagę. I na pewno nie chodzi mu o uwagę Jima.

W oknie za nią widzę na parkingu grupę nastolatków. Śmieją się, flirtują, gonią, łapią, całują, obmacują - oddałbym wszystko, żeby choć przez chwilę być jednym z nich, żeby raz jeszcze poczuć swoją przyszłość, świetlaną aż po horyzont.

- Doug - mówi po chwili, a do mnie dociera, że na chwilę zupełnie się wyłączyłem.

- Co?

- Jesteś wściekły.

- Powtarzasz to od jakiegoś czasu.

- Na mnie.

- Nie - odpowiadam łagodnie. - Pewnie masz rację. Dałem ciała. Nie zająłem się nim. Chciałem, ale nie dałem rady.

- To nie twoja wina - mówi. - Byłeś w żałobie. Ale nie jest za późno. Wyciągnij rękę. Pokaż mu, że jesteś.

- Przenoszą się na Florydę.

Jej oczy rozszerzają się, a szczeka opada, zdziwione usta układają się w idealne „o”.

- Co takiego?

- To w końcu „słoneczny stan” - mówię kretyńsko.

- Spotykam się z nim co tydzień. Nie wspomniał nawet słowem.

- Dopiero się dowiedział.

- To wiadomo już, skąd ta bójka - mówi Brooke z rezygnacją, zapadając się w fotelu. - Chryste, nikt poniżej osiemdziesiątki nie przynosi się na Florydę! To właściwie niepisane prawo stanowe.

- A jednak się przeprowadzają.

- Gdybyś mnie spytał, jak nieodwracalnie spieprzyć temu chłopakowi życie, to wiesz, co bym powiedziała?

- Co?

- Zabrać mu jego miejsce, przyjaciół, pamięć o matce i wywieźć do innego stanu razem z tatusem.

- Coś mi mówiło, że tak powiesz.

- No i co teraz?

- Nic nie mogę zrobić.

- Coś mi mówiło, że tak powiesz.

- Widzisz - mówię, wstając. - Jestem całkiem przewidywalny.

Brooke także wstaje.

- Może wkrótce sam siebie zaskoczysz.

- Może.

- Doug - mówi z wahaniem, wychodząc zza biurka. - Nie ty wynalazłeś smutek. Psychiatra mi to kiedyś powiedział.

- Serio? Mówił ci o mnie?

Śmiech wydobywa się wprost z jej trzewi, jest głośny, dźwięczny, niehamowany.

- Jesteśmy zaborczy wobec swojego żalu, niemal z niego dumni. Chcemy wierzyć, że nasz żal jest jedyny w swoim ro-

dzaju. Ale tak nie jest. To taki sam ból, jak każdy inny. Ból jest jak rekin - od początku istnienia nie musiał ewoluować. Wiesz czemu?

- Czemu?

- Bo osiągnął doskonałą postać. - Uśmiecha się ze współczuciem, a ja dostrzegam w cieniu jej oka łagodny blask, który wywołuje we mnie czułość. Mam wrażenie, że widzę małą dziewczynkę, która wciąż wierzy w bajki o wrózkach i księżniczkach.

- Czemu ci to powiedział?

- Słucham?

- Co takiego się stało?

- Byłabym raczej marnym zawodowcem, gdybym omawiała z tobą moje życie prywatne, nie sądzisz? - mówi z uśmiechem.

- Więc jednak przestrzegasz pewnych reguł.

- Tych, które mi odpowiadają - mówi, a nasze oczy się spotykają. - Może ci powiem w innych okolicznościach. Takich, które nie narażą na szwank mojego profesjonalizmu.

Tę ostatnią uwagę można zinterpretować tylko na kilka sposobów, ale tak dawno wypadłem z damsko-męskiej gry, że nie podejmuję próby, choć głos Claire w mojej głowie wymyśla mi od trzęsidup.

- Dobra - mówię, wyciągając rękę. - Dziękuję za rozmowę, seans czy co tam.

- Nie ma za co.

Klamka zacina się, kiedy usiłuję ją przekręcić.

- Trzeba pociągnąć w górę - mówi Brooke i przeciska się obok mnie, żeby otworzyć drzwi, a wtedy czuję jej zapach -przyjemną mieszankę cytrusowej woni włosów wysuszonych suszarką, gumy do żucia i papierosów - i nagle czuję jakąś nieokreśloną tęsknotę. A przecież wcale nie usiłuję jej wachać.

Na mój widok Russ podnosi głowę.

- I jak? - pyta.

- Jako tako - odpowiadam, siadając obok niego.

- Pytam, jak poszło.

- Nie tak, jak się spodziewałem.

- Wiem. Warto mieć etykietę pojeba, żeby co tydzień się z nią widywać.

- Nie jesteś pojebem, tylko najinteligentniejszym nastolatkiem, jakiego znam.

- Raczej jedynym.

- Więc i tak ten tytuł ci się należy.

- Wszystko jedno - mówi, wzruszając ramionami. - Zawiesili mnie?

- Tak.

- Super. Fundują mi urlop.

- Ciekawe tylko, na czyj koszt.

Russ odgarnia włosy z twarzy i przesuwa palcami po spuchniętym oku.

- Nie widzisz, jak wyglądam? Już zapłaciłem. Wstaje, podnosi rękę nad głowę i rozciąga się.

- Spadamy.

- Dokąd?

- Nie wiem, aleja prowadzę.

Niebo spowijają burzowe chmury, gęste, w kolorze popiołu. Na szybę spadają pierwsze krople deszczu. Russ poprawia siedzenie i lusterka.

- Popatrz w lusterka, zanim wyjedziesz.

- Popatrzyłem.

- Nie włączyłeś kierunkowskazu.

- Nikt tego nie robi.

- Ale egzamin byś oblał. Ręce na kierownicy.

- Lepiej idzie mi jedną.

- A mnie się lepiej siedzi obok, jak trzymasz obiema. Uważaj!

Obok wysuniętej maski mojego samochodu przejeżdża van, wściekle trąbiąc. Russ jak zwykle pokazuje kierowcy palec.

- Widziałem go.

- Jasne.

- Mam wjechać na autostradę?

- Tak, ale najpierw zatrzymaj się na skrzyżowaniu. Masz czerwone.

Russ mocno naciska hamulec, zatrzymujemy się gwałtownie, wyrzuca nas do przodu, w fotelach utrzymują nas pasy.

- Ładna, prawda? - pyta Russ.

- Kto?

- Pani Hayes.

- Zależy, co kto lubi.

- Wszyscy takie lubią.

- Nie zdążyłem się przyjrzeć, bo skupiałem się na rozmowie o tym, jak ci gość skopał tyłek. O co poszło?

- Wyśmiał mój tatuaż.

- Co powiedział?

- Nie dosłuchałem.

- Ale i tak mu przyłożyłeś.

- Zasłużył.

Mamy zielone światło, Russ raptownie naciska pedał gazu. Lekko podrzuca mnie na siedzeniu.

- Spokojnie.

Deszcz pada coraz mocniej, krople bębnią w szyby. Russ włącza wycieraczki i kieruje się w stronę Sprain Brook Parkway.

- Jeździłeś już w deszczu? - pytam.

- Co się martwisz - odpowiada, włączając się do ruchu i mocno przyspieszając.

- Uważaj na prędkość.

- Ty uważaj. Ja patrzę na drogę. - Zjeżdża na lewy pas i utrzymuje prędkość sześćdziesięciu mil na godzinę.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Przed nami środkowym pasem jedzie ciężarówka, spod kół chlustają wściekle strugi wody. Russ przyspiesza, chce ją wyminąć, ale ciężarówka najeżdża na nasz pas.

- Spadaj - warczy Russ, naciskając klakson.

- Zwolnij - mówię. - Nie wyprzedzisz go.

- Gówna prawda.

Zbliżamy się do zakrętu. Russ przyspiesza, jedzie dosłownie kilka cali od ciężarówki, która hałaśliwie podryguje zbyt blisko mojego okna. Mgła spod kół przysłania szyby niczym koc.

- Russ! - wydzieram się.

- Zamknij się! - krzyczy.

Opony ślizgają się po czarnej nawierzchni, wyrzucenie zakrętu spycha nas tuż obok ciężarówki, której błotniki śmigają jak baty. Nasze krzyki zagłusza klakson - kierowca trąbi, kiedy znosi nas zbyt blisko podwozia jego samochodu. Wtem, o włos unikając zderzenia, Russ wciska gaz do dechy - wyprzedzamy ciężarówkę, która trąbi i oślepia nas długimi.

- Chryste, Russ! - wrzeszczę, bo nie mogę dojść do siebie.

- Mało brakowało - przyznaje. Ma oczy jak spodki. - Ale przynajmniej mamy pewność, że nie chcesz umrzeć.

- Cholernie śmieszne.

Russ włącza prawy kierunkowskaz i zmienia pas, kierując się w stronę zjazdu.

Dokąd jedziemy? - pytam, choć dobrze znam odpowiedź.

Russ patrzy na mnie z uśmiechem. - Powiemy mamie radosne wieści.

Zdażyłem się przekonać, że przesiadywanie na cmentarzu nie jest dla mnie. Za bardzo pochłania mnie chorobliwość otoczenia. W tygodniach po śmierci Hailey próbowałem się przyzwyczaić. Przychodziłem, siadałem na trawie obok grobu i podejmowałem daremne próby wygłaszania monologu, ale nie potrafiłem przekonać samego siebie, że ktokolwiek mnie słucha, a nawet gdybym potrafił, to i tak gadanie do grobu nigdy nie wydawało mi się sensowne. Jeśli jest życie po śmierci, to zmarli powinni nas słyszeć z dowolnego miejsca. Więc o co chodzi z cmentarzami? Czy do rozmowy ze zmarłym trzeba mieć zasięg, jak w komórce, a jak się człowiek zbyt oddali, to kontakt się urywa? Gdybym to ja był duchem, ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę, byłoby siedzenie nad własnym grobem i oglądanie rozkładu ciała. Ja nawet w lustrze nie lubię się oglądać, i to w moje lepsze dni.

Moje wizyty na cmentarzu nieuchronnie kończyły się więc tak, że wpatrywałem się w trawę, wyobrażałem sobie trumnę sześć stóp pod ziemią - lakierowane wieko, które przed pogrzebem wypolerowano tak, że lśniło jak maska ca-dillaca, pokrywała teraz ziemia. Nie byłem w stanie powstrzymać się od wyobrażania sobie zawartości, więc zamiast duchowo obcować z Hailey, byłem pochłonięty ponurą wizją szczątków jej ciała. Nie wiem, co pochowaliśmy, ale biorąc pod uwagę siłę uderzenia i to, co nastąpiło później, nie mogło być to nic więcej niż marne resztki - okruchy kości, zwęglone części ciała i włosy tworzące jakiś koszmarny kolaż, coś jak makabryczny rekwizyt z filmu grozy w żadnym

razie nieprzypominający człowieka. Jeśli moje przeżycia czegoś mnie nauczyły, to tego, że kremacja jest najlepszym rozwiązaniem. To metoda czysta, skuteczna i - co najważniejsze -nie pozostawia niczego wyobraźni. Właściwie to cmentarze można by zamienić w lasy i place zabaw.

Stoimy z Russem w deszczu, nabożnie, pośród szarobiałych nagrobków, które jak okiem sięgnąć wystają z ziemi niczym spiczaste zęby. Wpatrujemy się zawzięcie w napis na płycie, jakbyśmy szukali poprawek naniesionych od czasu naszej ostatniej wizyty.

- Nie do wiary, że to już rok - mówi Russ.

- Wiem.

- Czasem wydaje mi się, że minął tydzień, a czasem, że całe wieki, i w ogóle nie mogę sobie przypomnieć, jak to było, kiedy żyła.

- Często tu przyjeżdżasz? - pytam.

- Jak mam się z kim zabrać.

- Nigdy mnie nie prosiłeś.

Russ kiwa głową, deszcz skleił mu włosy.

- Nie chciałem cię dołować.

- Nie no, jasne, zwykle jestem przecież cały w skowronkach.

- Rozmawiasz z nią czasem?

- W myślach. Cały dzień. Odwraca się do mnie.

- Ale czy do niej mówisz? Odgarniam mokre kosmyki z oczu.

- Raczej nie. Nie.

- Ale nie będzie ci przeszkadzało, jak z nią pogadam.

- Skąd.

Russ podchodzi do grobu, zdejmując liście z niskiego żywopłotu, którym obsadzony jest grób, potem klęka i opiera głowę o kamień, zamyka oczy. Robi to bez swojego zwykłego skrępowania, a ja wiem, że nie będę w stanie znieść jego

słów, więc cofam się kilka kroków i odwracam się. Patrzę na kondukt żałobny po drugiej stronie cmentarza, na procesję czerwonych i czarnych parasolek podskakujących niemal beztrzesko pośród grobów za trumną, którą żałobnicy niosą przez geometryczny krajobraz połyskujących nagrobków.

Miałem żonę. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.

Jeszcze przez chwilę obserwuję pogrzeb, aż nagle słyszę za sobą odgłos przypominający zgrzytanie - to Russ szłocha gwałtownie, tuląc nagrobek, z twarzą wykrzywioną w udręce, kołysze się w tę i z powrotem, jak w objęciach niewidzialnego wiatru.

- Russ - mówię, podchodząc. - Już dobrze.

Oczywiście, że nie jest dobrze i on doskonale o tym wie, rozpaczliwie wbija palce w nagrobek, usiłuje poczuć coś poza zimnym, mokrym granitem. Schylam się, niepewny, jak się zachować, ale gdy tylko dotykam jego ramienia, łapie mnie, ściąga na kolana, na mokrą trawę, chowa twarz w zgięciu mojego łokcia, kurczowo ściska mi ramię i drząc, przeciągle szłocha. Moje ciało trzęsie się razem z nim. Na jego szyi przez zlepione włosy prześwituje kometa Hailey - lśni na jego przemoczonej skórze i wpatruje się we mnie z wyrzutem. Wiem już, że niezależnie od tego, czy jest życie po śmierci, nadszedł czas, żebym pogadał z Jimem.

Pierwszym niepokojącym sygnałem były włosy łonowe w koszu na śmieci.

Owego ranka Hailey stała naga w łazience - właśnie miała wejść pod prysznic, kiedy nagle dostrzegła w koszu kulkę włosów. Wydała z siebie krótki okrzyk przerażenia, bo wzięła ją za mysz, ale nawet wtedy leżąca na opakowaniu po mydle kupka nie drgnęła. Hailey zajrzała do środka - nie zdążyła się jeszcze obudzić i usiłowała pojąć, co takiego widzi. Najpierw myślała, że to furby - pluszowa zabawka, która kilka lat wcześniej była bożonarodzeniowym hitem. Może się popsowała, więc Russ ją wyrzucił. Schyliła się, żeby popatrzeć z bliska i dopiero wtedy dotarło do niej, że to nic innego, jak włosy łonowe, a dokładniej włosy łonowe Jima. Zdziwiło ją samo wyobrażenie nagiego Jima golącego się nad koszem. Wpatrywała się w ten ciemny, dziwny kopczyk i dostrzegła w nim rudawy odcień. Była żoną Jima od dziesięciu lat, ale nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Czyżby wobec tego była marną żoną? Czy inne kobiety dostrzegały takie rzeczy? Podniosła się, nieco poruszona. Właściwie to dlaczego, po tylu latach, Jim nagle się tam ogolił? W myślach pojawiła się przed nią lista odpowiedzi, jak w standaryzowanym teście.

- A. Owłosienie było zbyt bujne i zaczęło mu przeszkadzać.
- B. W niewyjaśniony sposób zaraził się wszami łonowymi.
- C. Chciał, żeby jego penis wydawał się większy.
- D. Żadna z powyższych opcji.

Hailey poczuła skurcz żołądka. Była całkiem pewna, że A można odrzucić - Jim nie był przesadnie owłosiony - a odpowiedzi B, C i D wskazywały na podobny, niepokojący scenariusz, więc Hailey wyszła z łazienki, wzięła *telefon* i zadzwoniła do swojej przyjaciółki Sally.

- O Boże - wysapała Sally, która właśnie ćwiczyła na stairmasterze.
- Co znaczy „o Boże”?
- Ma romans.
- Nie sądzę - odpowiedziała Hailey.
- A ma małego?
- Słucham?!
- Potem będę przeproszać - odpaliła Sally. - Nie dzwonisz przecież, żeby wymienić uprzejmości.
- Nie - powiedziała Hailey po chwili. - Raczej normalnego.
- No to powiedz mi, czemu szczęśliwie żonatemu facetowi nagle zależy na tym, żeby jego interes wydawał się większy?
- Nie wiem.
- Albo grywa w pornosach, a to możemy raczej wykluczyć, albo chce zrobić na kimś wrażenie. Na tobie, kotku, już nie musi. Widziałam program Oprah o zdradach. Nagła zmiana nawyków pielęgnacyjnych to sygnał ostrzegawczy.

Hailey zmarszczyła brwi. Jeśli Sally powołuje się na Oprah, to nie ma sensu z nią gadać.

- Powodów może być milion.

- Może - przytaknęła Sally głosem stężalym z wysiłku. - Ale wiesz co, Hailey?

- Co? Sally urwała.

- Nic.

- No co? - nalegała Hailey. Usłyszała przez telefon, jak stairmaster się wyłącza. Sally zeszła z niego i ciężko sapała.

- Bo ja wiem - powiedziała w końcu. - W końcu już raz lo zrobił.

- Rany boskie, to było jeszcze przed ślubem.

- Tylko mówię.

- To nie mów - powiedziała Hailey gniewnie, a oczy zaszyły jej łzami. - To był przypadek, jednorazowy incydent z, była dziewczyną, do której jeszcze coś czuł. Mamy to dawno za sobą. Jesteśmy prawie dziesięć lat po ślubie, wątpliwości trzeba chyba rozstrzygać na jego korzyść.

- Pewnie na to liczy.

- Ale z ciebie zołza! - wydarła się Hailey.

- Słuchaj, żabko. - Sally westchnęła. - Gdybyś chciała zapewnień, że wszystko jest w porządku, to zadzwoniłabyś do Laney. Ale zadzwoniłaś do mnie, a sama wiesz, że ze mną nie tędy droga. Zresztą to nie ze mną powinnaś rozmawiać. Zastanów się, czemu od razu nie spytałaś Jima.

Hailey zadzwoniła więc do Jima, a on powiedział, że miał jakiś straszny świąd i tyle. Tylko że wcześniej o tym nie wspomniał, a zawsze narzekał na najmniejszą przypadłość - wrastający paznokieć, naciągnięty mięsień, uczulenie. W łazienkowym rozgardiaszu nie było żadnych przeciwgrzybiczych maści ani pudrów. Hailey zamknęła sedes i usiadła, trzymając w ręku telefon niczym broń, i przesiadła tak cały ranek, naga, zziębnięta. Wpatrywała się w brązowe włosy w koszu na śmieci przez całą wieczność.

Wszystko to Hailey opowiedziała mi po naszym pierwszym seksie, który wypadł znacznie lepiej, niż można się było

spodziewać, biorąc pod uwagę jej skrepowanie z powodu trzydziestosześcioletniego ciała i moje niemałe obawy o to, jak wypadnę. W końcu miałem być jak ogier - sprawny, krewki i gotów pierdolić się całą noc. Taka presja może mocno namieszać w głowie, a w końcu doprowadzić do rozmowy w rodzaju „każdemu może się zdarzyć/nieprawda, mnie nigdy”.

Widywaliśmy się wtedy od miesiąca - tak często, że nasz związek biegł już własnym rytmem. Prowadziliśmy długie, pełne zwierzeń rozmowy telefoniczne, które z upływem godzin przeobrażały się w szeptaninę; były kwiaty i czułe mejle w pracy, i obmacywanie w nieskończoność w samochodzie przed powrotem do domu. W dni, w które się umawialiśmy, Hailey przyjeżdżała do pracy samochodem, rzekomo dlatego, że nie chciała późno wracać metrem, a tymczasem zaparkowane obok hydrantu przeciwpożarowego przed moim budynkiem auto stało się doskonałym miejscem dla naszych przedłużających się pożegnań, a do tego znacznie przyjemniejszym niż klatka schodowa - zimna, śmierdząca stopami i zepsutym mlekiem. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tyle się z kimś całowałem. Do tej pory wydawało mi się, że pocałunki, które w ciągu dziesięciu minut nie przeobrażały się w grę wstępną bez ubrań, po prostu stawały się nudne, bo donikąd nie prowadziły. Tymczasem z Hailey całowaliśmy się całymi godzinami, aż nabrzmiwały i pękały nam usta, drętwiały języki, bolały szczęki - wpadałem potem do swojego mieszkania, żeby obłożyć obolałe jądra lodem, czując, jak jej smak cudownie wypełnia mi wyschnięte gardło, a jej zapach - który wdychałem tak mocno - zasłania mi umysł lawendowym obłokiem. Wydawało się to szczeniackie - co to jest, żeby facet w moim wieku nie mógł dobić do drugiej bazy - ale było w tym coś wyjątkowo podniecającego. Oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później wylądujemy w łóżku, ale umawiałem się w końcu z samotną matką, więc czułem szczególną odpowiedzialność i zanim dojdzie do

seksu, chciałem być pewien swojego zaangażowania. Poza tym Hailey była piękną kobietą i bywała z facetami, którzy rutynowo zaliczają piękne kobiety, więc - szczerze mówiąc - obawiałem się, że mogę przy nich kiepsko wypaść.

Tak czy inaczej wiadomo było, że chcica weźmie gorę, więc wkrótce wylądowaliśmy nadzy i spoceni w moim łóżku, ydzie wreszcie mogliśmy dać upust nabrzmiałemu w ciągu miesiąca pożądaniu - to była zupełnie dzika, jedyna w swoim rodzaju noc, podczas której nasyciliśmy się seksem aż po czubki palców. Kiedy wreszcie skończyliśmy, leżeliśmy obok siebie bez ruchu, dysząc ciężko na skotłowanym łóżku, jak dwaj ranni żołnierze na polu bitwy, a nasze ciała powoli stygły i wysychały z potu.

- O Boże - powiedziała cicho Hailey. W przytłumionym świetle sypialni widziałem jej pełne niedowierzania oczy.

- Kto by pomyślał - przytaknąłem.

- Miałam pewne podejrzenia - powiedziała, odwracając głowę, żeby zlizać mi pot z twarzy.

Przyciągnąłem ją, a ona lekko odwróciła się w moją stronę, objęła mnie udem i położyła głowę na moich piersiach.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedziała, a kiedy pocałowałem ją w głowę, poczułem, że oczy nie wiedzieć czemu zachodzą mi łzami. Wiedziałem, że płacz po seksie me zawsze dobrze się kojarzy, zacisnąłem więc powieki w nadziei, że Hailey nie podniesie wzroku. Domyślała się, ale zamiast o cokolwiek pytać, przycisnęła usta do moich piersi i rozchyliła palce na linii włosów wzdłuż mojego brzucha. Po chwili zapytała: - Wszystko w porządku?

- Jestem trochę bardziej zakochany, niż myślałem - odpowiedziałem, czym zaskoczyłem nas oboje. Najpierw łzy, teraz gadka o miłości. Niemal czułem, jak testosteron ulatnia mi się porami skóry.

Pokiwała głową i raz jeszcze pocałowała mnie w pierś w taki sposób, że zadrzałem.

- Tylko się nie przestrasz.

- Boję się raczej, że ty się przestraszysz. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Po tym, co zafundował mi Jim, musiałbyś się bardzo starać, żeby mnie wystraszyć.

- Opowiesz?

Podciągnęła się, żeby wtulić głowę w zagłębienie mojej szyi.

- Cała historia zaczyna się od włosów łonowych w koszu na śmieci - zaczęła miękko, jak Alistair Cooke.

- Czyli klasyka - odparłem, a ona wesoło trąciła mnie łokciem i oboje się zaśmialiśmy. I było super.

Na powitanie psy obwąchują sobie tyłki. Kobiety lustrują jedna drugą, żeby się przekonać, która jest ładniejsza. W wypadku mężczyzn najważniejsze jest pytanie, kto komu sprząłby skórę, a kiedy Jim wpadł, żeby mnie sobie obejrzeć, wkrótce po tym, jak zamieszkałem z Hailey, żaden z nas nie tniał co do tego wątpliwości. Jim jest wielki - tak wielki, że poczułem się maleńki i struchlały. Tak się jakoś stało, że opisując go, Hailey nie wspomniała o jego masie, o brodzie super-bohatera, o masywnym, pofałdowanym karku jak u antycznego zapaśnika, o imponującym, niedźwiedziowatym ciele ani o paluchach wielkich jak kiełbasy, które zakleszczyły się na moich, kiedy wymieniliśmy uścisk dłoni. Grube, nabrziałe żyły wiją się po jego przedramieniu i zbiegają na wybrzuszonym bicepsie, jak wiejskie drogi na mapie, z których każda prowadzi do supermarketu. Moja pierwsza myśl była taka, że na siłę odpowiada się siłą, ale do tego trzeba jakąś siłą dysponować, więc poddałem się, ręka mi sflaczała i odmówiła udziału w konkursie na uścisk macho, ale potem pomyślałem, że mogę wyjść na ciotę, więc spróbowałem z powrotem napiąć dłoni i nie ściskając zbyt mocno, okazać pewność i nie ulec jego sile. *Summa summarum*, uścisk dłoni spierdoliłem. Nigdy o tym nie wspomnieliśmy, ale ja wiedziałem, Jim wiedział, i tylko to się liczyło. Wkrótce miałem się przekonać, że

w kontaktach z byłym mężem mojej żony liczyło się tylko to, co niewypowiedziane.

- Jak leci? - bąknął Jim, kiwając głową z samozadowoleniem, oglądając mnie od góry do dołu. Głównie patrzył z góry. *Najchętniej wytarłbym twoją gębą podłogę, zasrańcu.*

- Całkiem, całkiem - odpowiedziałem. *Może i wygrateś uścisk dłoni, ale to ja sypiam z twoją byłą żoną. I co ty na to. kupo mięcha?*

- Wprowadziłeś się? *Do mojego, kurwa, domu?*

- Na to wygląda. *Żal ci dupę ściska, co?*

- Może wyremontujesz to i owo? *Nie wiedziałbyś, co to narzędzie elektryczne, nawet gdybym ci je wetknął w ten mizerny tyłek.*

- Żaden ze mnie majsterkowicz. *Może jakbyś co jakiś czas płacił alimenty, to Hailey miałaby kasę na remont. Nierzetelny fiut.*

- To dla ciebie pewnie spora zmiana - zamieszkać z babką i wyrośniętym dzieciakiem. *To mój dzieciak, kutasie. Wara ci od niego.*

- Nie jest źle. *To niewielka cena za sypianie z twoją byłą żoną. A, wspominałem, że sypiam z twoją byłą żoną? O, tak. Często. Ciągłe. Stale. Pieprzymy się bez przerwy, wszystko inne robię w międzyczasie.*

- To wspaniały dzieciak. *Spróbuj się, kurwa, do niego zbliżyć.*

- Wiem. *To na pewno nie twoja zasługa, palancie z wygolonymi jajcami.*

- Podobno jesteś pisarzem. *Zasrany pedzio. Co piszesz?*

- Głównie felietony. *Zasrany analfabeta.*

- Aha. *Nie dość, że ciota, to jeszcze bez grosza.* Staliśmy jak w dwóch narożnikach, wykrzywialiśmy gęby

w uśmiechu jak dwaj porąbani macho. Gdybyśmy mieli rogi, byłyby zwarte; gdybyśmy chodzili do liceum, dorwałby mnie w stołówce, przewrócił i skopał po twarzy.

Obok nas przechodzą dwie długowłose dziewczyny w ob-

cisłych biodrówkach, z gołymi brzuchami. Kiedy mijają bar, lim natychmiast wykręca szyję, żeby obejrzeć je od tyłu. Knajpa jest zatłoczona. Jim przesunął stolik i zajął miejsce pod ścianą - podczas rozmowy będzie obserwował paradę łyłeczków. Zadzwoiłem do niego z propozycją, że podjadę do niego do pracy, ale wyszedł wcześniej i rzucił pomysł spo-łkania w Clover, w którym - jak zdążyłem się zorientować -regularnie przesiaduje po robocie. Nie wiem, czy uznał, że dzięki temu spotkanie przebiegnie w lepszej atmosferze, czy leż lubi podpatrywać studentki, które stanowią chyba osiemdziesiąt procent klienteli, ale pamiętając, że czasem nie da rady bez wspomagacza - a tym razem bez podwójnej dawki -na wszelki wypadek przyjechałem wcześniej i zanim się pojawił, zdążyłem obalić podwójnego jacka danielsa z coca-colą. No więc siedzę sobie, leciuteńko wstawiony, popijam z nim piwo, a on strzela oczami do pańienek, stukając palcami w stół w rytm piosenki Gwen Stefani. Jakiś czas go nie widziałem, a jestem w tej wczesnej fazie pijaństwa, która wyostrza zmysły, w której wszystko widać z niezwykłą ostrością, więc przeprowadzam szybki wizualny rekonesans. Ma spodnie w kolorze khaki i polo z krótkim rękawem - koszulka równomiernie opina jego potężne bicepsy i wielki brzuch, które - wydawałoby się - nie powinny iść w parze. Włosy, niegdyś ciemne i gęste, zaczynają siwieć na skroniach i przerzedziły się na czole, skóra pod oczami jest szara i pomarszczona jak pomarańcza. Rumiana cera sflaczała i stała się cias-towata, mięknie jego kwadratowa szczęka herosa. Nadal wygląda zdrowo i przystojnie, jak były futbolista, który dopiero zaczyna się sypać.

Jim odrywa wzrok od dziewcząt i obserwuje mnie bacznie, jak akwizytor, który rozważa dobór odpowiedniej techniki sprzedaży.

- Jakoś nigdy nie złapaliśmy kontaktu - mówi.

- Tak się złożyło.

- Jak o tym pomyśleć, to właściwie powód był tylko jeden.

- No, ciekawe. *Bo jesteś kolosalnym dupkiem?* Jim kiwa głową i pociąga łyk piwa.

- Hailey - mówi. - Sprawa od początku była śliska. Twoja obecna żona, moja była. Musiała ci o mnie naopowiadać, więc byłeś uprzedzony.

- Jak ci się zrobi lepiej, to ci powiem, że i tak bym cię pewnie nie polubił.

Jim studiuje moją twarz, dobiera kaliber uszczypliwości, po czym wpada w lekki chichot.

- Nieźle. *Gnojek.*

Zawsze tak jest, kiedy zostajemy z Jimem zmuszeni do uprzejmego obcowania. Nienawidzi mnie, bo bierze do siebie to, że Hailey mnie kochała, a ja biorę do siebie to, że ją zdradził, choć stało się to na długo, zanim w jej życiu pojawiłem się ja. Chronologia powinna anulować, a przynajmniej złagodzić naszą instynktowną wrogość, ale obaj jesteśmy samcami, więc na zdrowy rozum to nie wchodzi w grę. Takie przypisano nam role i o ile nie jest jasne, czemu nie potrafimy ich zmienić, o tyle zupełnie jasne jest to, że Jim ledwie się powstrzymuje przed obiciem mi pyska. Gdybyśmy żyli w idealnym świecie, wypadki potoczyłyby się tak: Jim wstaje, wywraca dzielący nas stolik i sięga mi do gardła. Jest ode mnie większy i silniejszy, i z pewnością lepiej zaprawiony w bijatykach, ale ja za to się nie boję i jestem szybki jak błyskawica, więc robię unik przed jego niezdarnym wymachem, a potem nękam go krótkimi, szybkimi ciosami, zbiera się tłumek, patrzy, jak Jim coraz obficie krwawi, jak ze śmiertelną precyzją walę go raz za razem, jak opadają mu powieki, dziąsła spływają krwią, jak rozgląda się oszołomiony, a wtedy ja podchodzę z uniesionymi ramionami, atakuję niczym urodzony bokser, ostatnim sierpowym zwalam go z nóg. Potem

przepraszam śliczną barmankę, która wpatruje się we mnie z szacunkiem i podaje mi zawinięty w ręcznik lód, a ja siadam na stolku i w milczeniu schładzam pokrwawione kłykcie. Gapie podpierają Jima, tłuką go po twarzy, aż odzyskuje przytomność.

- Ile widzisz palców? - pyta jakiś sanitariusz w cywilu.

- Czwartek - odpowiada Jim i wywraca oczami.

Ale nie żyjemy w świecie idealnym, a jeśli nie wierzycie, to dowód A i dowód B siedzą przy lepkiem stoliku pokrytym nawarstwionymi plamami po rozlanym piwie. Obaj musimy skrywać naturalny antagonizm i panować nad rękami, podczas gdy agresja w środku narasta, wiruje szaleńczo i nie znajduje ujścia.

- Russ spał wczoraj u ciebie? - pyta z rezygnacją.

- Tak.

- Tak myślałem. - Jim wypija haustem kieliszek whisky i zapija piwem. - Nawet gdybym go zaryglował w pokoju, i tak znalazłby sposób, żeby się wydostać.

Mam wrażenie, że Jim jest bardziej tym zdumiony niż zasmucony, więc się nie odzywam.

- Mówił ci o Boca?

- Wspominał - odpowiadam i pociągam łyk piwa.

- Nie powiem, żeby się ucieszył.

- To na pewno.

Jim ponuro kiwa głową.

- Brat Angie założył tam biznes, produkuje okiennice przeciwhuraganowe. Po tym, co się stało w Nowym Orleanie, nie nadąża z zamówieniami.

- Znasz się na tym?

- A na czym tu się znać? - Wzrusza ramionami. Pewnie ma rację. Poza tym Jim od dawna żyje z nieszczęść

innych. Jest adwokacina od wypadków, plugawcem, którego praktyka sprowadza się do pozwów o odszkodowanie z tytułu obrażeń odniesionych w wypadkach, do których namawia

przedstawicielei licznej populacji imigrantów w New Radford. Przez lata wypracował sobie niszę, rozdając wizytówki całej rzeszy pracowników codziennie dojeżdżających do New Radford: opiekunkom do dzieci, sprzątaczkom, ogrodnikom i budowlańcom. Ma kontakty we wszystkich okolicznych izbach przyjęć i zwykle zjawia się z Lucią - tłumaczką na wezwanie kiedy pacjenci są jeszcze w trakcie badań. Bierze procent od pomyślnie załatwionej sprawy; zwykle zawiera ugody z firmami ubezpieczeniowymi, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy rozstrzygnięcie ma zapaść przed sądem, przekazuje sprawę lepiej wykwalifikowanym adwokatom, oczywiście za odpowiednią dolę. Jim nie uczestniczy w rozprawach. W ekosystemie prawniczej społeczności Jim Klein jest bagienną szumowiną. Jeśli przerzuci się na zarabianie na potencjalnym nieszczęściu zamiast na faktycznym, to i tak robi krok do przodu.

- Russ ciężko to zniesie - mówię.

- A ja myślę, że na dłuższą metę tak będzie dla niego lepiej.

Obok nas pojawia się śliczna dziewczyna w krótkich spodenkach i topie, ma wspaniałe nogi i niebywale lśniąca skórę, uśmiecha się przepraszająco, przeciskając się obok naszego stolika, a wtedy obaj się za nią oglądamy. Jim odwraca się do mnie, łapie mnie na tym, że patrzę, i mówi: „Taką dupkę to by można w nieskończoność”. Ale nie dam się wciągnąć w gadki o dupach. Dobra, obejrzałem się, przyznaję, a tyłek miała rzeczywiście zajebisty, naprawdę pierwsza klasa, ale w odróżnieniu od Jima ja nie jestem żonaty i jestem znacznie bliżej górnej granicy wiekowej mężczyzn, którymi ona może się interesować, a to znaczy, że to ja mam prawo się za nią oglądać, ale jeśli zareaguję na komentarz Jima, który zresztą właśnie się oblizuje, to przystanę na komitywę erotomanów gawędziarzy, więc mówię:

- Myślisz, że po tym wszystkim, co przeszedł w ostatnim

roku, dobrze mu zrobi przeprowadzka, nowa szkoła i wyrwanie z kręgu znajomych?

Jim marszczy czoło i podnosi kufel do światła, jakby szukał w nim podpowiedzi, po czym bierze kolejny haust.

- Wpadł w złe towarzystwo. Psycholog mówi, że się opuszcza w nauce i wagaruje.

- W złe towarzystwo może wpaść wszędzie.

- No właśnie - mówi Jim, odwracając się, żeby obejrzeć kolejną przechodzącą grupkę dziewcząt. - Więc co za różnica?

- On cierpi, jest nadal w żałobie. Trzeba czasu, żeby doszedł do siebie. Floryda będzie dla niego tylko kolejnym powodem do gniewu. Nie możecie się z Angie trochę wstrzymać? Za kilka lat Russ pójdzie na studia, wtedy możecie wyjechać.

- Już i tak przełożyliśmy wyjazd. Mieliśmy jechać w zeszłym roku. Wszystko było gotowe. Ale wtedy zginęła Hailey...

- To się rzeczywiście fatalnie złożyło. - Mocno trzymam kufel, żałując, że nie jestem typem faceta, który rozwali go Jimowi na łbie. Pewnie w odwecie zatłukłby mnie na śmierć swoimi potężnymi łapskami, a potem jeszcze pozwał mojego trupa do sądu. Zastrani prawnicy.

- Dobra, źle to zabrzmiało. - Jim unosi te potężne łapy w przepaszającym geście. - Chodziło mi tylko o to, że po śmierci Hailey przejąłem nad nim opiekę... Dla mnie i dla Angie to była naprawdę trudna zmiana.

- A jemu matka zginęła w katastrofie. Gdzie to się mieści na twojej skali trudnych zmian?

Jim spuszcza głowę, żeby pociągnąć duży łyk, a kiedy znów ją podnosi, na czubku nosa ma kroplę piany.

- Daruj sobie kazania - mówi. - Hailey buntowała go przeciwko mnie przez całe lata, dobrze o tym wiesz. Myślisz, że to łatwe - zabrać do swojego domu, żony i syna chłopaka,

który zije do ciebie nienawiścią? Jedno małżeństwo już spierdoliłem i drugi raz tego nie zrobię.

- Więc Russ się nie liczy.

- Liczy. Ale Angie też. - Pociąga kolejny duży łyk. - To nie ja jestem ten zły.

- Nie. Jesteś, kurwa, bohaterem.

Jim uderza kuflem o stół, zaciśnięta na uchu kufla pięść jest biała, za to twarz kraśnieje gniewem tak potężnym, że topnieją pod nim pozory uprzejmości, w które dotąd ją przyoblekał.

- Słuchaj, gnoju - mówi niskim głosem, w którym pobrzmiwa groźba.

- Opuuszczam ci, bo masz trudny okres, ale zacznasz mi działać na nerwy. Znosiłem smuty Hailey, ale nie takiego palanta jak ty. Kocham Russa, ale czy ci się to podoba, czy nie, mam żonę i drugiego syna i muszę o nich myśleć, a Russ przynosi do domu mnóstwo kłopotów, które wcale nie są im potrzebne. Gównu wiesz o moim życiu, za krótko się znamy i nie ma bata, żebyś tu siedział i mnie oceniał. Nie jesteś członkiem tej rodziny, tylko odpryskiem, który kręci się w pobliżu, bo jeszcze nie wie, co ze sobą, kurwa, począć.

Wpatrujemy się w siebie nad stołem, czysta nienawiść miota się w jego oczach jak zwierzę w klatce. Przez dwa lata mieszkałem z kobietą, którą kochał, z dzieckiem, które spłodził, w domu, który kupił. Sprzedał tę rodzinę za seks, a potem seks wymienił na inną rodzinę, której - jak czasem mi się wydaje - za bardzo nie lubi. Dopóki Hailey żyła, Jim miał w sobie dość buty, żeby wierzyć, że jedyną przeszkodą w powrocie do jego poprzedniego, lepszego życia był facet, który jakimś cudem go wyrugował. To nie są moje domysły; wiem to z długich, pijackich wiadomości, jakie nagrywał czasami na sekretarce w środku nocy. Szlochał, błagając Hailey, żeby oddzwoniła.

- Wcale cię nie oceniam.

- Pieprzysz.

- Tu nie chodzi o ciebie i o mnie - tłumaczę. - Zastanawiam się, co jest najlepsze dla Russa.

Jim wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę.

- Skoro uważasz, że to takie proste, to dlaczego ty go nie weźmiesz?

- Słucham?

- Niech zamieszka z tobą. I po kłopotcie. - Jim wzrusza ramionami.

- To nie mój dzieciak.

- Ale mógłby nim być. - Jim rozpiiera się na siedzeniu i opróżnia kufel, po czym natychmiast dolewa kolejną porcję. - Jak myślisz, czego chciałaby Hailey?

- Tu nie o to chodzi.

- Nie?

- To nie jest równanie. Sam powiedziałeś, że jestem tylko odpryskiem.

- A ty, że mówimy o tym, co jest najlepsze dla Russa - mówi Jim z kołtuńskim uśmiechem. - Wygląda na to, że obaj robimy z gęby cholewę.

- Na rany Boga, to twój syn! Nie możesz, ot tak, go oddać! Jim zapada się w krzesło, splata ręce nad głową i pręży bicepsy przed panienkami.

- Angie jest nieszczęśliwa. Russ też - mówi. - Moja w tym głowa, żeby obojgu było dobrze, a widzę to tak, że jest tylko jeden sposób i że to ty nim jesteś. Zdaję sobie sprawę, że tylko utwierdzę wszystkich w przekonaniu, że do dupy ze mnie ojciec, ale w końcu od dobrego wrażenia ważniejsze jest to, co jest dobre dla syna. Nie mam racji?

- Uważasz, że oddanie syna to szlachetny uczynek?

- Wcale go nie oddaję. Zwracam mu wolność.

Patrzę na spoconego Jima, przekonanego, że jest górą, myślę o Hailey, o tym, jakie wielkie robiły się jej oczy, kiedy mówiła o Russie, o tym, jak surowo oceniała siebie w roli

matki. Myślę o Russie, który wypłakiwał się w granitowy rui grobek, o tym, jak leży w swoim wilgotnym, piwnicznym po koju, słuchając, jak Jim pierdoli się z Angie. Myślę o swojej samotności, która toczy moje wnętrze niczym rak. Słyszę w głowie głos Claire, ale jestem prawie pewien, że to mój własny głos dobiega z mojego wnętrza i mówi: Tak.

- Co tak?

Nowa zasada: powiedz „tak”.

- Może ze mną zamieszkać. Wezmę go.

Jeśli Jim jest zdziwiony, nie daje tego po sobie poznać. Mówi „okay” i wyciąga nad stołem rękę, jakby właśnie sprzedał mi samochód, a z przyczyn zupełnie mi nieznanych ja odwzajemniam uścisk i uśmiecham się jak kretyn.

- Może do nas przyjechać na święta.

- Na pewno się ucieszy.

- Super - mówi Jim, wstając. - Będzie u nas do stycznia, potem wyjeżdżamy. Może jak do niego dotrze, że nie musi jechać, uspokoi się, wyluzuje, lepiej pozna Angie i młodszego brata.

- Niezły plan - mówię.

- W porządku. - Jim sięga, żeby poklepać mnie po ramieniu. - Dobra rozmowa.

I już go nie ma, przebija się przez tłum, żeby popędzić do domu i podzielić się z Angie radosną nowiną, za którą żona zapewne odpłaci mu dodatkowym numerkiem.

A ja siedzę jeszcze przez dłuższy czas, wpatruję się przed siebie, nieświadomy otaczającego mnie tłumu, muskam językiem gładkie usta kufla. Leci jakiś stary kawałek Billy'ego Joela, a ja znów mam piętnaście lat i właśnie rozbiłem skradzionego merca. Rozcinam sobie język, czuję krew w gardle, kręci mi się w głowie, w zwolnionym tempie widzę nadbiegających gliniarzy i jak zwykle zastanawiam się, jak to jest, że zawsze w coś takiego się wpakuję.

Długo po tym, jak kolejna epoka lodowcowa pogrzebie le. cywilizację, archeolodzy poprowadzą wykopaliska na miejscu centrum New Radford, a ich pierwszym znaleziskiem będzie gigantyczny kubek z włókna szklanego z napisem „Starbucks coffee”, który unosił się nad aleją handlową na Broadwayu jak balon podczas parady z okazji Dnia Dziękczynienia. Kubek zdecydowanie góruje nad krajobrazem, wyższa od niego jest tylko wieża zegarowa nad szkołą podstawową dwie mile dalej. Studiując rozplanowanie ulic -koncentryczne kręgi wokół Broadwayu - archeolodzy dojdą pewnie do wniosku, że Starbucks był naszą świątynią, a kawa naszym bogiem. Nieważne, jaką kawę się pije - z mlekiem, karmelem, bitą śmietaną, pianką mleczną - każda niszczy śluzówkę żołądka jak kwas, zasmradza oddech i odziera połączenia nerwowe z warstwy ochronnej, pozostawiając je nagie i bezbronne. Badania nie wykazały jeszcze, że starbucks wywołuje raka, ale tylko patrzeć, jak posypią się pozwy. Głowę daję.

Problem z centrum New Radford polega na tym, że niby jest, a jakby go nie było. Zarząd miasta z maniakalną determinacją dąży do zachowania rustykalnego charakteru okolicy, więc najbliższa dzielnica biznesowa z prawdziwego zdarzenia znajduje się trzy i pół mili dalej, tam gdzie Broadway przechodzi w South Broadway, a New Radford - w zwykły,

stary Radford. Przy Broadwayu w Radford jest tylko jedna ułca handlowa; mieszczą się tam restauracja Antonelli's Pizza, tanie sklepy, kilka zaskakująco przeciętnych knajpek, papierniczy, sąsiadujące dwie konkurencyjne agencje pośrednictwa w handlu nieruchomościami, salon fryzjerski Riwiera, studio paznokci Różowe Płatki i lodziarnia U mamusi. Za rogiem, na Roaring Creek Road, jest sklepik Super Stop i wypożyczalnia filmów Blockbuster. Garstka inwestorów usiłowała odkupić parking przy Super Stopie i wybudować tam centrum handlowe, ale rada do spraw zagospodarowania przestrzennego natychmiast udaremniła to przedsięwzięcie, podobnie jak nie zgodziła się na postawienie tam sklepów IKEA i Bed Bath & Beyond ani na rozbudowę miejscowej synagogi. Na wszystkich względnie zamożnych przedmieściach priorytetem jest zachowanie obecnego stanu rzeczy, a nie rozwój.

Niemal nie sposób wybrać się więc do centrum New Radford i nie natknąć się na kogoś, kogo znamy. Dokądkolwiek się idzie, trzeba przejść obok Starbucksa i jak w banku ktoś znajomy będzie albo właśnie tam wchodził, albo stamtąd wychodził. Przed śmiercią Hailey nigdy się nad tym nie zastanawiałem; potem każdy kurs po mydło czy żyletki stawał się morderczym torem przeszkód naszpikowanym cudzą litością i fascynacją; nagle wszyscy przyjaciele i sąsiedzi koniecznie chcieli się ze mną przywitać, objąć mnie albo spytać, jak się miewam. Niektórzy zwalniali, jadąc samochodem, żeby mnie komuś pokazać, albo wpatrywali się we mnie na parkingu, jak w zepsutą ciężarówkę na poboczu autostrady.

Tymczasem jest ranek, a Claire wymarzyła sobie venti mocha latte na chudym mleku czy co tam innego, więc jedziemy. Na szczęście większość okolicznych mieszkańców jest już w pracy, a kawiarnię okupują teraz głównie kobiety -są albo w drodze do fitness clubów albo z nich wracają; całe hordy młodych matek siedzą i popijają kawę, ich mamine strngi wystają z biodrówek i markowych dresów, kiedy na-

chylają się do swoich raczkujących pociech. Kiwam głową do kilkorga osób, które znam z widzenia, wszyscy uśmiechają się i odpowiadają kiwnięciem, i chyba natychmiast odwracają wzrok - nie jestem pewien, bo ich w tym uprzedzam.

- Co ja tutaj robię - mruczę do Claire przez zaciśnięte zęby. - Nawet nie piję kawy.

- Jesteś jak wegetarianin w restauracji serwującej steki.

- Raczej jak ateista w kościele.

- Dobrze - przyznaje Claire. - Znacznie lepszy podtekst.

- Dzięki.

Nagle zjawia się Mandy Seaver, jedna z wielu miejscowych gospodyń, które zabrały się za handel nieruchomościami; ma ładną buzię, jest okrągłutka, była razem z Hailey w Komitecie Rodzicielskim, a w czwartki przywoziła mi lasagne, sałatę i nieludzko wielkie porcje ciasta nasączonego koktajlem Harvey Wallbanger. Ta sama Mandy, która ze łzami wyznała Hailey, że po cesarskim cięciu mąż przestał jej dotykać, i która na pogrzebie zawodziła tak głośno, jakby to ona straciła żonę.

- Doug! - wydziera się na całą kawiarnię, po czym wywołuje niewielkie poruszenie, przedzierając się hałaśliwie w moją stronę. Łapie mnie za łokcie, ale potem najwyraźniej dociera do niej, że jak już się kogoś za nie złapie, to nie bardzo wiadomo, co z nimi zrobić, więc puszcza i zmieszana cofa ręce. - Jak to dobrze cię widzieć poza domem.

- Cześć, Mandy.

- Dobrze wyglądasz - mówi, a jej oczy marszczą się od troski.

- Wygląda fatalnie - mówi Claire i odwraca się w stronę baru, żeby zamówić coś, co brzmi jak sześć różnych napojów, a okazuje się po prostu kawą.

Mandy przygląda się Claire z niezadowoleniem, lustruje ją od góry do dołu i pewnie zastanawia się, co też nas łączy. Czasem zapominam, jak inne kobiety reagują na Claire - jest

ołsniewająca i zdecydowanie zbyt seksowna jak na przedmieścia.

- Luzuj - mówi Claire. - Gdybym nie była jego siostrą, nie miałby co do mnie startować.

- O - mówi Mandy, a ja na przekór sobie wkurzam się, widząc malujący się na jej twarzy wyraz ulgi. - Rzeczywiście jesteście podobni.

- Lepiej nie mów tego na głos.

- Claire, Mandy. Mandy, Claire - przedstawiam je sobie.

- Bardzo mi miło - mówi Mandy, ściskając dłoń Claire. - Mieszkaśz niedaleko?

- W Greenwich - odpowiada Claire. - Wpadłam na trochę, żeby go zebrać do kupy.

- To miło.

- No dobra - mówię, usiłując odsunąć Claire łokciem. - Wystarczy.

- W końcu minął już rok - mówi Claire, bez trudu wpychając się przede mnie.

- Naprawdę? - pyta Mandy zaskoczona. - Boże, wydawało mi się, że krócej. Cały czas mam numer Hailey na szybkim wybieraniu.

Wtem, ni stąd, ni zowąd, oczy zachodzą mi łzami. Licytacja na żal z kimś, kto poniósł stratę, zawsze wydawała mi się w złym guście. To jak popisywanie się nowym lexusem przed kimś, kto jeździ ferrari. Konie mechaniczne? A co ty o tym wiesz?

- Właściwie - mówi Claire z dezaprobatą, zwracając się do Mandy - to ponad rok. Najwyższy czas, żeby Doug wrócił do żywych. Nie sądzisz? - Claire jest jedyną osobą, jaką znam, która autentycznie potrafi zmusić innych, żeby ją polubili.

- Chyba tak. Jeśli jest gotów - mówi Mandy niepewnie, obawiając się zaprotestować.

- Claire jest gotowa - mówię krzywo.

- Jeszcze nie ma trzydziestki - tłumaczy Claire. - I co? Ma do końca życia być sam?

- Jasne, że nie - przytakuje Mandy.

- Pewnie słyszałaś, że ci, co mają za sobą szczęśliwe małżeństwo, szybciej zawierają nowe związki.

- Racja - odpowiada Mandy, kiwając głową jak gumowy piesek za szybą samochodu.

- A skoro o tym mowa - Claire przechodzi do rzeczy - Znasz tu jakieś samotne babki?

Mandy uśmiecha się szeroko, radośnie ulegając Claire.

- Robię w nieruchomościach. Wiem, gdzie mieszka każda rozwódka.

- Mandy! - wykrzykuje Claire wesoło, biorąc ją pod rękę. - Widzę, że się dogadamy.

I właśnie wtedy wpada lekko zdyszany Mike.

- Cześć, Doug. - Podchodzi i ściska mi dłoń. - Przepraszam za spóźnienie. Z samego rana musiałem złożyć pełnomocnictwo.

- Że co? - pytam po chwili, w ciągu której usiłuję dojść, o co chodzi. Odwracam się do Claire, która puszcza do mnie oko.

- Powiedz „tak”. - Claire częstuje mnie najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

- Czekaj - mówi Mike. - Mówiła, że chcesz się spotkać.

- Kłamała. Jak to ona.

- Fakt - mówi Claire z szerokim uśmiechem, prowadząc Mandy do wolnego stolika. - Tak już mam.

Mike kiwa głową, widać, że mu niezręcznie.

- Skoro już tu jesteśmy, to może napijemy się kawy? -mówi.

- Nie pijam kawy.

- Chryste, Doug - mówi, kręcąc głową z rezygnacją. -Mogę powtarzać „przepraszam” w nieskończoność, ale w końcu zrobi się z tego pusty frazes.

Powoli wydycham powietrze i kiwam głową. - Niech będzie woda.

Mike uśmiecha się. To nie uśmiech triumfu, tylko zadowolenia. Szybko odwraca wzrok, zanim atmosfera stężeje, a ja nagle czuję do niego przyływ ciepłych uczuć.

Ślub z Hailey i przeprowadzka do New Radford oznaczały, że moi nowi znajomi byli zupełnie inni od kumpli z Manhattanu - młodszych, samotnych, lubiących wypić i zaszaleć. Znajomi Hailey byli mężami i ojcami, albo w kwiecie wieku, albo zapadający się w falach wieku średniego. Wszyscy płynęli z obcym mi prądem hipoteki jednej i drugiej, małżeństwa pierwszego i drugiego, dzieci, alimentów, romansów, czesnego, prywatnych nauczycieli i nieskończonej listy funkcji społecznych. Całe to życie musieli upchnąć w kilka godzin podczas weekendu, kiedy akurat nie harowali jak woły, żeby za to wszystko zapłacić. Do tej pory wydawało mi się, że ludzie, którzy mieszkają w wytwornych domach na przedmieściach, stoją finansowo lepiej ode mnie i dopiero kiedy do nich dołączyłem, przekonałem się, że ich życie jest niczym innym, jak bardziej wymyślnym i złożonym sposobem klepania biedy.

Olbrzymi kredyt hipoteczny, kredyt z udziałem własnym na remont kuchni i łazienek, dwie albo trzy miesięczne raty za luksusowe auta - zanim się człowiek obejrzy, już wydał sto kawałków na podatek, a nie zdążył jeszcze zjeść kromki chleba przy własnym stole. Przekleństwo klasy średniej? Akurat. Sami są sobie winni, sami poddają się hollywoodzkiej wizji ich własnego życia. Wiodą subtelną egzystencję ostrożnie zbudowaną na fundamentach potężnego długu; jedna omyłka w rachubie, dodatkowy zakup, nietrafiona inwestycja czy nieprzewidziany wydatek mogą wszystko obrócić wniwecz. Z czasem zrozumiałem, że sielankowe ulice New Radford są złudzeniem podsycanym odpowiedzialnością za podtrzymywanie tej iluzji, nic więc dziwnego, że nawet naj-

zdrowsi faceci nie wytrzymywali tempa - łysieli, tyli, bledli, opadały im powieki, gorzkniał dowcip. O ile niektórzy byli inteligentni, życiowi i naprawdę dawali się lubić - mogłem spędzić z nimi wieczór, wychylając kilka kieliszków za dużo i naprawiając świat - o tyle napędzali mi nie lada strachu, bo teraz byłem teoretycznie jednym z nich, chociaż w wersji ułomnej, i zaczynałem się obawiać, że w przyszłości mogę wcale od nich nie odstawać. A ja nie chciałem być gruby, łysy i zadłużony w imię niemieckiego auta i ogrzewania podłogowego. Największym dowodem mojej miłości dla Hailey było to, że nie dałem drapaka do bezpiecznego świata mojego dawnego życia i młodszych kumpli.

Zapisałem się do klubu i zacząłem grać w racquetball z Mikiem Sandlemanem, którego - wyobraźcie sobie - poznałem na bar miewie. Jest tylko kilka lat ode mnie starszy, w dobrej formie i przede wszystkim kuma mój sarkazm. Napraliśmy się w barze, a potem naśmiewaliśmy się ze staruszków usiłujących tańczyć Electric Slide. Mike jest prawnikiem, ale ma w sobie jakiś rys nieporządku i nieodpowiedzialności, więc wyczułem w nim pokrewną duszę, a ponieważ był wtedy wolny, mógł strzelać oczami do młodszych kobiet i flirtować z kelnerkami, nie wywołując niesmaku. W jego towarzystwie czułem się na swój wiek, a choć nie sądziłem, że to gra rolę w przyjaźni, to jednak gra. Nadal spotykałem się z mężami przyjaciółek Hailey i nawet udawało mi się znaleźć przyjemność gdzieś między gadkami o giełdzie, otepiającymi opisami najlepszych szkockich na świecie, pól golfowych i hoteli w tropikach, ale kiedy chciałem zobaczyć film akcji albo science fiction, na który Hailey nie chciała się wybrać, albo kiedy chciałem się upić i mamrotać egzystencjalne bzdury, które na bani wydają się tak ważne, waliłem jak w dym do Mike'a. Po śmierci Hailey to właśnie on i Claire byli przy mnie; Mike kontaktował się z liniami lotniczymi, załatwiał sprawy związane z pogrzebem i chronił

mnie przed resztą znajomych. Dowiedział, że jest dobrym, lojalnym przyjacielem, i w normalnych okolicznościach byłbym uradowany, że mam takiego szwagra.

Ale okoliczności już od jakiegoś czasu nie były normalne. Właściwie to były pojebane do granic możliwości. Wtem przychodzi mi do głowy myśl, że „powrót do żywych” nie może się ograniczać do oczekiwania, aż Claire narai mi pannę, z którą i tak się nie umówię. Że wiem już, jak powiedzieć „tak” i nie zdradzić Hailey. Może kiedyś w przyszłości znów będę chciał mieć kumpla, z którym wyskoczę do kina, zamiast chodzić sam, jak teraz. Co prawda Mike będzie wtedy mężem Debbie, a ona będzie go trzymać pod pantoflem i nie pozwoli mu pójść. Ale teoretycznie taka możliwość istnieje.

No więc siadamy. Mike pije kawę - na chudym mleku, bezkofeinową, co za różnica - a ja popijam wodę za dwa i pół dolca. Mężczyźni nie chowają wobec siebie urazy zbyt długo właśnie dlatego, że fatalnie idą im pojednania. Nie przepraszamy się ze szczerego serca, nie padamy sobie w objęcia jak kobiety, nie śmiejemy się i nie wypłakujemy drugiemu w ramię, aż ulotnią się resztki wrogości i zadry. Siadamy, kiwamy głowami, unikamy swojego wzroku, nie wzruszamy ramionami, nie wykrztuszamy niczego w stylu „zapomnijmy o sprawie” czy „nie ma o czym mówić”, nie rzucamy żadnych innych pustych frazesów, które pozwoliłyby nie mówić wprost o zranionych uczuciach czy gniewie. Większość facetów równie szybko znalazłaby nowego kumpla, jak siliła się na niezręczne zabiegi w celu naprawienia starej przyjaźni. Tylko że Mike będzie członkiem rodziny, czeka nas mnóstwo wspólnych obiadów i świąt, więc nie mamy wyjścia. Przynajmniej jedno nas łączy: pragnienie, żeby ta rozmowa skończyła się, zanim się zacznie, i o ile spotkanie wypada niezręcznie, to przynajmniej nie trwa zbyt długo i po dziesięciu minutach zgadzam się - na przekór wszystkim podszeptom intuicji - żeby zostać świadkiem. Za kilka dni będzie wieczór

kawalerski, a po nim przymiarka fraków. Jego młodszy brat Max zadzwoni i poda mi szczegóły.

Mike musi wracać do pracy, żegna się więc, serdecznie ściskając mi dłonie i szturchając w ramię, a ja podchodzę do Claire, która przepytuje Mandy i notuje coś na serwetce.

- Ile dzieci?

- Dwoje.

- Ile waży?

- Nie wiem.

- Strzelaj.

Mandy na chwilę zamyka oczy.

- Jakies sto trzydzieści pięć funtów. Może sto czterdzieści.

- A ile ma wzrostu?

- Pięć stóp i trzy cale.

- O, matko, ona szuka faceta?! Najpierw niech znajdzie wczasy dla grubasów! Następna.

- Skończyłaś? - pytam.

- Nie. Idź sobie. - Odwraca się do Mandy. - A ta tancerka?

- Instruktorka aerobiku.

- Wszystko jedno.

Starbucks zapelniał się ludźmi, czuję, jak narasta we mnie lęk, który po chwili osiąga temperaturę wrzenia. Nadal nie mogę znieść tłumów - znajomych twarzy, które kiwają i uśmiechają się, celują we mnie dobrymi chęciami i współczuciem jak rzutkami. Nie chcę litości. Nie chcę po raz kolejny wystawiać swojego bólu na pokaz. Ale też nie chcę sprawiać wrażenia, że wszystko jest super - byłaby to ujma dla pamięci Hailey, bagatelizowanie tego, kim dla mnie była - więc właściwie nie ma dla mnie dobrej roli. Czuję zbliżający się atak klaustrofobii i paniki, najchętniej wystrzeliłbym taśmę naboju i zniknął jak czarodziej w obłoku gęstego dymu. Zastanawiam się, skąd się bierze takie taśmy, i obiecuję sobie, że poszukam ich w Internecie. To sprzęt w sam raz dla żałobników.

- Muszę wyjść - mówię do Claire.
- To idź. Mandy na pewno podrzuci mnie do domu.
- Oczywiście - mówi Mandy, która jak urzeczona, jak żona ze Stepford, wpatruje się w swoją nową najlepszą przyjaciółkę.

Uciekam ze Starbucksa jak wampir przed porankiem, pędzę na złamanie karku do mojej trumny ukrytej w mrocznej piwnicy - a konkretnie do najbliższego kina.

Siedząc w ciemnej sali kinowej w dzień roboczy przed południem, ma się wrażenie, jakby się było na wagarach. Morze pustych miejsc przypomina, że wszyscy normalni, odpowiedzialni ludzie są gdzie indziej, zajmują się czymś normalnym i odpowiedzialnym, a to siłą rzeczy oznacza, że sami jesteśmy albo nienormalni, albo nieodpowiedzialni. Zwykle na przedpołudniowych seansach widuje się tylko przygodnych staruszków. Przygarbione kobiety, uczesane tak, jakby nosiły kaski, w pomarszczonych cielistych podkolanówkach i ortopedycznych trepkach z zadartymi czubkami, pojawiają się w parach lub najwyżej we trzy; uginają się pod ciężarem szeleszczących toreb pełnych puszek z napojami i przekąsek kupionych w sklepie pod domem, żeby nie marnować emerytury na słodyczne sprzedawane w kinie po zawyżonych cenach; samotni mężczyźni snują się na pałkowatych nogach, na siedzeniu obok kładą swoje wysłużone kurtki, a na kolanach stawiają wielkie kubelki prażonej kukurydzy - są tak zniedołężniali i ponurzy, że człowiek zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem sam też nie sprawia takiego wrażenia. Dopóki żyła Hailey, wymykałem się czasem samotnie do kina w ciągu dnia, a po jej śmierci wręcz się od tego uzależniłem - nabawiłem się cotygodniowej, przemożnej ochoty na kojące, klimatyzowane, kinowe zapomnienie.

Dziś wybrałem film akcji: ktoś wykrada broń nuklearną, rozgoryczony komandos, okryty hańbą za niejasne zbrodnie, odzyskuje dobre imię, goli brodę i tworzy elitarną jednostkę, która ma wyśledzić terrorystów i uniemożliwić im wysadzenie Chicago. Przyszedłem ciut wcześniej, sala jest prawie pusta, tylko jedna kobieta siedzi pośrodku w tylnym rzędzie. Idąc na miejsce, spostrzegam, że to Brooke Hayes, psycholog Russa, a ona zauważa mnie, zanim mogę się wycofać.

- O, Boże - mówi zdenerwowana. - Doug.

- Cześć, Brooke.

Oboje tuszujemy zakłopotanie uśmiechem. Samotne wyjście do kina ma sens tylko wśród nieznajomych. Natknąć się na osobę, którą się zna choćby przelotnie, to jak zostać obnażonym, jak spotkać kumpla w poczekalni psychiatry. I co ja mam teraz zrobić? Usiąść obok? Przecież tak jak ja chce posiedzieć w ciemności, oderwać się. Ale jeśli usiądę gdzie indziej, może się obrazić albo wziąć mnie za gburę, a wtedy oboje zmarnujemy sobie seans, wiedząc, że to drugie siedzi w tej samej sali. Straciliśmy anonimowość - z takiej sytuacji nie ma dobrego wyjścia.

- Ale obciach - rumieni się Brooke.

- Wiem - odpowiadam. - Jakoś przeżyjemy.

- Nakryłeś mnie na tym, że sama chodzę do kina. Czyli na tym, że jestem żałosna.

- Tak? To co powiesz o mnie? Jestem tu co tydzień.

- Serio?

- Z laską od słodyczy jestem po imieniu.

- A jak się nazywa?

- Carmen.

- Zmyślasz.

- Pewnie, że tak. Ale wygląda jak Carmen. - Zaczynam przebierać nogami. - Powinnaś chyba być w szkole i zajmować się trudną młodzieżą.

- Dzisiaj to ja jestem trudną młodzieżą - mówi serdecznie, kładąc nogi na siedzeniu przed sobą. Spodnie od dresu podciągają się, odsłaniając gładkie, blade łydki. Hailey też miała ładne łydki. A ja, odkąd pamiętam,

leciałem na nogi. -Tylko mnie nie wydaj.

- Dochowam tajemnicy.

- Dzięki. Tylko że wcale ci jej nie zdradziłam.

- A zdradzisz?

- To zależy. Usiądziesz wreszcie? Denerwuję się, jak tak stoisz.

- Myślałem, że chcesz być sama.

- Chciałam - maleńkie połyskujące plamki na jej oczach mienia się w przyciemnionym świetle, kiedy poklepuje siedzenie obok siebie. - Ale teraz już nie chcę. - Nagle spogląda na mnie, gwałtownie posmutniała. - Chyba że ty chcesz być sam. W końcu po to przyszedłeś. Nie ma sprawy, zrozumieć.

- Chciałem - odpowiadam, idąc w jej ślady. - Ale już nie chcę.

Z bliska Brooke wydaje się mniejsza, niemal drobniutka, ma nieskazitelną cerę, wielkie, wyraziste oczy. Czuję drzenie w piersiach, z obawy, że palnę jakąś głupotę.

Brooke wskazuje na mój kubełek popcornu.

- Z masłem? - pyta.

- Aha.

- Super.

Siedzimy w miękkiej, ciężkiej ciszy typowej dla wielkich, pustych przestrzeni. Na ekranie pojawiają się reklamy i nazwiska gwiazd filmowych.

- No więc - mówi Brooke, wcinając popcorn.

- No więc.

- No więc, jak byłeś u mnie w szkole, myślałam, że się ze mną umówisz.

Nie zapluwam się piciem, chociaż usta mam pełne; nawet

się nie krztuszę, jak to się zdarza na filmach, ale z całą pewnością jest to chwila, w której wyplucie napoju byłoby uzasadnione.

- Serio? - pytam. - Sorki.

- Nie powinnam była tego mówić - mówi zmartwiona. Zawsze to robię. Wypalam, co myślę, jakby szok stanowił jakąś wartość i usprawiedliwiał to, co mówię. Przepraszam. Nie musisz odpowiadać.

- Przecież o nic nie pytałaś.

- Faktycznie - kiwa głową z namysłem, sięga po kolejną, garść popcornu. - Dokończ zdanie - mówi po chwili. - Kiedy cię poznałem...

- Słucham?

- To hasło wywoławcze. Uczę tak dzieciaki, jak mówić o uczuciach. Przy pytaniach się poddają. Łatwiej im dokończyć zdanie.

- Traktujesz mnie jak porąbanego dzieciaka?

- A nie powinnam? - pyta Brooke z uśmiechem, wpatrując się w ekran.

- Niech ci będzie. Jakie było pytanie?

- Nie pytanie, tylko początek zdania.

- Jak zwał, tak zwał. Możesz jeszcze raz?

- Kiedy cię poznałem...

- Kiedy cię poznałem, chciałem się z tobą umówić.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

- To trochę skomplikowane.

- Wszyscy tak mówią, chociaż to nieprawda.

- Pewnie masz rację.

- No więc - mówi z uśmiechem. - Dokończ zdanie. Nic umówiłem się z tobą, bo...

Wygląda na to, że Brooke albo nie ma oporów w mówieniu, albo ma niewielkie. Ostatnio i ja ich nie mam, więc ta wymiana przypomina boks bez rękawic.

- Bo pierwsze kroki z kobietami nigdy mi nie wychodziły - odpowiadam. - Najlepiej się sprawdzam jako odbiorca,

gdybyś pojawiła się u mnie w pracy i zaczęła płakać - do tego byłbym w sam raz. Ale nagabywanie zawsze przychodziło mi opornie. Wszystko jedno, co powiem, żeby przełamać lody i się z tobą umówić - chodzi o to, że jeśli dobrze pójdzie, to wylądujemy w łóżku. Więc w zasadzie z sympatycznego gościa, który nie ma żadnych planów, zamieniam się w odrażającego palanta, który chce cię przelecieć, jeszcze zanim cię pozna.

- Chyba coś przekombinowałeś.

- Jak zwykle - przytakuję. - A smutna ironia polega na tym, że myślałem, że to już przeszłość. Że mam za sobą całe to łamanie lodów i że wreszcie zasłużyłem na życie bez takich zagrań. Więc się wkurwiam na zmarłą żonę, bo nie wywiązała się z umowy i zostawiła mnie samego. A potem mam poczucie winy, bo przecież nie zginęła naumyślnie.

- No dobra - mówi Brooke. - Nadal jesteś skołowany po śmierci żony. To zrozumiałe. Wręcz typowe. Ale szczerze mówiąc, to wcale nie jest skomplikowane.

- Dopiero się rozgrzewam. Do tego dochodzi cała ta ku-rewska myślowa o tym, że śmierć Hailey otworzyła wielkie szanse.

- Jak to?

- Moja młodsza siostra wychodzi za faceta, którego poznała u mnie na sziwie. A skoro tak, to męża, dzieci i właściwie całą swoją przyszłość zawdzięcza Hailey, która była na tyle uprzejma, żeby zginąć - a ja nie mogę się z tym pogodzić. Felietony wyrabiają mi nazwisko, otwierają drzwi. Kiedyś próbowałem wydawać książki, ale nikt ich nie chciał, a teraz wydawcy sami za mną biegną. Moje marzenia zawodowe zaczynają się spełniać, a to wszystko z powodu śmierci Hailey. Jestem sławny, bo jestem smutny. Do tego dochodzi odszkodowanie od przewoźnika. Jeszcze mi za mój smutek zapłacą. Będę bogaty, będę odnosił sukcesy, ale gdybym

mógł cofnąć czas i ją ocalić, nie dać jej wsiąść do tego samolotu, nie wahałbym się ani chwili.

- To przecież jasne - mówi Brooke.

- No i przyjdzie taki dzień, kiedy znów się zakocham, prawda? Zaczę z kimś od nowa. Kupimy wielki, stary dom za moje nowe pieniądze, będziemy mieli dzieci, ja będę zawodowym pisarzem, może nawet wydam kilka książek. Będę miał to wspaniałe życie tylko dlatego, że Hailey zginęła w katastrofie. Nie wiem kiedy, ale przyjdzie taki czas, że przekroczę pewną granicę i być może uznam, że gdybym mógł cofnąć czas, to wcale bym jej nie ratował, bo gdyby nie jej śmierć, to nie miałbym kochającej rodziny i nowego życia. Sama myśl o tym, że mogę zmienić się w kogoś, kto nie chciałby j ej uratować...

Chcę mówić dalej, ale nagle tracę głos i choć usta jeszcze przez chwilę się ruszają, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, a do tego czuję, kurwa, jak mi lecą łzy. Brooke kiwa głową i kładzie mi rękę na ramieniu.

- Wyłożyłeś się na związkach przyczynowych.

- Mam na tym punkcie obsesję - odpowiadam, wycierając wilgotną twarz ręką. - Sorry, zwykle na filmach płaczę dużo później.

Brooke delikatnie ściska moje ramię; patrzy przed siebie, kiedy ja usiłuję wziąć się w garść.

- Wiesz co? W sumie jest w tym sens. Spójrz na to tak: tym sposobem ona zawsze będzie z tobą. Dopilnuje, żeby po jej śmierci tobie dobrze się wiodło. Masz emocjonalne ubezpieczenie na życie.

- Emocjonalne ubezpieczenie na życie - powtarzam, usiłując to przetrwać. - Tego uczą na psychologii?

- Nie, wymyśliłam na poczekaniu - mówi z uśmiechem. Objawiałam ci swój pokręcony geniusz.

- Niezłe - odpowiadam. - Muszę to przemyśleć. Dzięki.

- Nie ma sprawy - po przyjacielsku poklepuje moje ra-

mię i zabiera rękę, a ja nadal czuję ciepło w miejscu, którego dotykała.

- Chyba miałaś rację.

- Z tym, że to trochę skomplikowane?

- Nie - odpowiada z ciepłym uśmiechem. - Że jesteś świetnym odbiorcą.

Kiwam głową.

- No, a ty? Też masz swoją smutną opowieść?

- A dlaczego miałyby być smutna?

- Zrobiłaś kilka aluzji. I masz smutne oczy.

- Narzeczony mówił, że piękne.

- Narzeczony.

- Aha.

- I co z nim?

- To trochę skomplikowane.

- Przestań. Dokończ zdanie. Miałam kiedyś narzeczonego, ale...

Ale wtedy światła gasną i zaczyna się film. W półmroku ekranu widzę jej radosny, triumfalny uśmiech.

- Ale to nie czas - mówi. - Nie rozmawiam na filmie. Spytasz w przyszłym tygodniu.

- A skąd wiesz, że się zobaczymy?

- Powiedzmy, że to przeczucie - mówi Brooke, wyjmując z kubelka jedno ziarenko.

I tak siedzimy w pustym kinie, w przedpołudnie, w dzień roboczy, a nasze łokcie leciutko dotykają się na oparciu -dwoje zagubionych we własnych troskach ludzi, którzy chwilowo uciekli przed światem, nurza się w migoczącym blasku ekranu i przygląda, jak Nicolas Cage ocala świat.

Dojeżdżam do domu i kogóż to widzę na ganku" Stephen Ives najwyraźniej usiłuje sforsować wejście. Cofa się do schodów, rozpędza i wali w drzwi barkiem. Sądząc po sapaniu i plamach na eleganckiej koszuli, robi to już od jakiegoś czasu.

- Claire! - drze się. - Porozmawiaj ze mną!

- Wracaj do siebie - woła Claire z okna na piętrze Krzywdę sobie zrobisz.

Spoglądam w górę i w oknie dawnego pokoju Russa widzę Claire i Russa siedzących wygodnie na murowanym parapecie.

- Cześć, Doug - mówi Russ z uśmiechem. Popija cole i najwyraźniej świetnie się bawi.

Claire macha ręką ze znużeniem i unosi brew, nadając twarzy wyraz skruchy.

- Nie chce sobie pójść.

Odwracam się do Stephena, który teraz usiłuje otworzyć drzwi z kopa jak gliniarz, ale gliniarze nie noszą szykownych butów za trzysta dolców, które co prawda zostawiają na moich drzwiach ohydne ślady w kształcie półksiężyca, ale bynajmniej nie są dobrym sprzętem do tego typu zadań.

- Cześć, Stephen - mówię. - Widzę, że u ciebie wszystko jak najlepiej.

Tylko się w to nie mieszaj, ostrzegam - warczy Stephen, marszcząc się groźnie, po czym wymierza w drzwi kolejnego kopa.

Nie powiem, zwykle nieskalany Stephen, który na co dzień wygląda jak żywa reklama Hugo Bossa i poci się wyłącznie w pikowanej koszulce do tenisa lub w saunie country klubu, stanowi teraz niezły widok. Spocone, zlepione żelem włosy sterczą nad czołem jak kolce - Stephen wygląda jak lilvis, nie Elvis-grubas z Vegas, tylko Elvis-chudzielec, tuż po tym, jak w stołówce spuścił łomot awanturnikom, którzy kazali mu śpiewać do szafy grającej.

- Zrobisz sobie krzywdę - mówię.

- Raczej tobie, jak wejdiesz na ganek.

- Stephen, to mój dom.

Odwraca się do mnie, szczeka drży mu z furii, w rozszerzonych oczach tętni szął.

- No i?

No i nic, bo Stephen nie potrzebuje żadnej szczególnej wymówki, żeby mi przyłożyć. Nienawidzi mnie praktycznie od dnia, kiedy mnie poznał, i to wcale nie dlatego, że wylałem na niego kubek pomyj, wznosząc weselny toast. Kiedy spiknęli się z Claire, załatwił mi pracę u siebie w firmie; powinienem był go uprzedzić, że to się źle skończy. Po kilku miesiącach dałem ciała - przespałem się z jedną z jego asystentek do spraw administracyjnych. Okazało się, że chciał ją zwolnić, ale po tym, jak ją bzyknąłem, obawiał się komplikacji prawnych, choć nie miał podobnych obaw, kiedy zwalniał mnie. Zwykle w podobny sposób potrafiłem wszystko spierdolić. I jakoś nie widziałem w tym nic wielkiego. Teraz widzę, ale nie latam za ludźmi i nie przepraszam za to, co było pięć lat temu. Zresztą nawet gdybym przepraszał, to i tak mam na zawsze obciążone konto, przynajmniej zdaniem Stephena. On podał mi rękę, a ja na nią nasrałem. Niedługo potem upiłem się przy obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia

i przywaliłem mu w twarz. Rozdzielili nas, zanim zdążył nu oddać, a nic nie wkurza faceta tak, jak nieoddanie ciosu frajc rowi. Tak więc ja jestem mu winien przeprosiny, a on mnie pranie po pysku, a to zupełnie nie są okoliczności, które sprzyjają serdecznej rozmowie. Zatrzymuję się więc przed schodami na ganek i mówię:

- A weź się zabij na tych drzwiach. - Po czym Stephen raz jeszcze rozpęda się i wali w nie, wydzierając się na Claire.

- Spierdalaj, Stephen. Mówię poważnie - wrzeszczy Claire.

- Chcę tylko pogadać! - odkrzykuje.

- Trzeba było zadzwonić!

- Nie odbierasz!

- To zaczekaj, aż będę gotowa. Nie jestem twoją pracownicą, nie możesz się ze mną umówić, jak na spotkanie biznesowe.

- Zejdź i otwórz te zasrane drzwi.

Uderza raz jeszcze i tym razem słyszę jęknięcie drewna, słabiutki odgłos przepowiadający pęknięcie, ale wtem pod Stephenem uginają się nogi pada na kolana, wydając z siebie jęk udręki i chwytając się za bark.

- Nic mu nie jest? - pyta Claire.

- Bywało lepiej - odpowiadam. - Może zejdziesz i z nim pogadasz?

- Nie wtrącaj się.

- A, tak. Sorry.

Stephen z trudem się podnosi, ściska obite ramię i chwiejnym krokiem wychyla się spod zadaszenia. Słaniając się, mija mnie i schodzi na trawnik, żeby zobaczyć Claire. Jego oczy są pełne rozpacz.

- Proszę cię, Claire - mówi ochryple. - Nie rób tego.

- Muszę - odpowiada Claire łagodnie.

- Kocham cię.

- Nieprawda. Kochasz mnie mieć. Równie dobrze mógłbyś zamienić mnie na inną. Jedź do domu.

- Masz kogoś? O to chodzi?

- Sam tego chciałeś. Zaraz zacznę czymś rzucać - mówi (Claire, wznosząc ręce z irytacją, po czym znika w pokoju.

- O to chodzi? Ma romans? - pyta mnie Stephen.

- Bynajmniej - odpowiadam, kręcąc głową.

W górnym kąciku oka rejestruję jakąś ciemną chmurę i nagle obaj odskakujemy - między nami z ciężkim dudnieniem ląduje na ziemi para rolek.

- Chryste, Claire!

- Nie, Stephen - krzyczy Claire z góry. - Nie ma nikogo innego. Żeby mieć kogoś innego, to najpierw w ogóle trzeba kogoś mieć. A ja nie mam nikogo i dlatego odchodzę.

- Co to za nonsens! - wydziera się Stephen, podchodząc do okna.

Claire przepędza go, rzucając kijem baseballowym Louisville Slugger, usłużnie podanym przez Russa. Kij ląduje na rączce, na trawniku zostaje dołek wielkości pięści.

- Kurwa! - wrzeszczy Stephen, rzucając się pod mur. - Uspokoisz się wreszcie?!

- Wracaj do domu, bo zadzwonię po policję, słowo daję. Podejrzewam, że co najmniej jeden z sąsiadów, którzy

sterczą na gankach i obserwują całe to widowisko z rosnącą konsternacją, zdążył ją wyprzedzić. W tym sąsiedztwie podobne incydenty raczej się nie zdarzają.

Tymczasem Stephen niezrozumiale mamrocze coś pod nosem, odpycha się od ściany i znów staje pod oknem.

- Kocham cię, Claire - krzyczy. - Może nie jestem najbardziej rozrywkowym facetem na świecie, ale zawsze byłem dla ciebie dobry. Robiłem, co mogłem, żebyś była szczęśliwa. Nie zmuszę cię, żebyś ze mną była, ale po sześciu latach zasłużyłem chyba na wyjaśnienie. Możesz rzucać, czym chcesz. - Pada na kolana jak zamroczony zapaśnik w końcowej rundzie i wpatruje się w Claire, dysząc ciężko, a po jego brudnej, spoconej twarzy płyną łzy. - Nie ruszę się, dopóki

nie zejdziesz i ze mną nie porozmawiasz. Nie mam już siły na uniki.

Następuje chwila martwej ciszy, Claire spogląda na niego z góry, po czym wyrzuca przez okno biurowy fotelik na kółkach. Na szczęście Stephen znajduje się na jeszcze jeden unik. Ja odskakuję w lewo, a on wydaje z siebie skowyt i obraca się w prawo; krzesło ląduje z ciężkim, metalowym brzdękiem dokładnie tam, gdzie przed chwilą klęczał, części rozpryskują się we wszystkie strony jak szrapnel. Króliki czmychają co tchu, a ja zastanawiam się, czemu wcześniej nie wpadłem na to, żeby przypuścić na niego atak z powietrza. Stephen pada na plecy, wydaje z siebie przeciągły jęk, a tymczasem Claire zaczyna szlochać i znika w pokoju.

Podnoszę się i podchodzę do Stephena, który nadal leży na plecach i wpatruje się w niebo w katatonicznym otepieniu, jakby był na haju, a chmury jawiły mu się jako postacie z kreskówki i były panienki. Schyliłam się po kółko od fotela, siadam na trawie obok Stephena i leniwie obracam w rękę łożysko.

- Przepraszam za drzwi - mówi Stephen po chwili.

- Nie ma o czym mówić. Miałeś swoje powody. To ja przepraszam za siostrę. Nie spodziewałem się tego. Serio.

- To naprawdę koniec, prawda?

- Na to wygląda.

Odwraca głowę i wbija we mnie wzrok. Usta drżą mu z emocji.

- Czemu?-pyta.

Pocieram chłodnym, metalowym kółkiem o dłoń i wzdycham przeciągle.

- Bo to Claire - tłumaczę. - I takie coś jest do Claire podobne.

Stephen namyśla się przez chwilę, po czym znów wpatruje się w niebo, kiwając głową.

- Ja ją naprawdę kocham, wiesz?

- Wiem.

Powoli wstaje, jęcząc z wysiłku. Jego prawa ręka zwisa bezwładnie, jakby spalił mu się w środku jakiś obwód. Powłócząc nogami, idzie w stronę czarnego porsche zaparkowanego przy krawężniku.

- Dasz radę zmieniać biegi? - pytam. Przystaje i odwraca się.

- Nie.

- Odwieźć cię?

- Jeśli możesz.

Nie umiem prowadzić samochodu z ręczną skrzynią biegów, więc jedziemy moim saabem. Stephen przyśle kogoś po swój wóz. Jak ma się tyle kasy, co on, zawsze znajdzie się ktoś usłużny. Siedzi obok z zamkniętymi oczami i głową opartą o szybę; z jego zaciśniętych ust wydobywa się niski, rytmiczny pomruk, jakby śpiewał w duecie z silnikiem. Ulice ustępują alejom, a potem autostradzie i wkrótce mkniemy w milczeniu na północ w kierunku połączonych lasów Greenwich, w tę popołudniową porę, kiedy samotność jest najbardziej dotkliwa, tuż przed zapadnięciem mroku. Stephen nie zapiął pasa, a ja nie przypominam mu, żeby to zrobił. W razie wypadku wolałby najpewniej wylecieć przez przednią szybę, a ja dobrze znam to uczucie, właściwie to jestem jednym z jego ojców założycieli. Widząc Stephena w tym stanie -bezwładnego, przybitego - niespodziewanie czuję ukłucie empatii. Poślubił kobietę, którą kochał, był dla niej dobry i potrafił być dla niej dobry, a jednak ją stracił. Niepojęta niesprawiedliwość - to też znam. Jedyny błąd Stephena polegał na fałszywym założeniu, że Claire będzie go kochać. Ale trudno mu się dziwić, skoro Claire popełniła ten sam błąd.

- Czuję się, jakbym umierał - mówi ochrypłym głosem, kiedy mijam bramę i wjeżdżam na podjazd do jego rezydencji w stylu śródziemnomorskim. Stephen jest zamożny, przystojny, wysportowany i nagle uzmysławiam sobie, że być może

po raz pierwszy dostał kosza. Ma łzy w oczach, ale choć współczuję mu z głębi serca, jestem ostatnią osobą, z którą chciałby o tym porozmawiać. Później będzie żałował, że widziałem go w takim stanie, a ponieważ nie da się tego cofnąć, znienawidzi mnie jeszcze bardziej.

- Wiesz co - mówię, ustawiając tryb parkowania. - Teraz myślisz, że to jakiś koszmar, ale to zwykły szok. Odejdźcie Claire, dziecko - nie sposób tego naraz ogarnąć. Trzeba czasu.

Stephen powoli obraca się na siedzeniu w moją stronę i wbija we mnie wzrok.

- Jakie dziecko?

Powoli kiwam głową, pochylam się, kładę łeb na kierownicy i raz za razem powtarzam w myślach: O kurwa.

Później, kiedy dzień powoli zamiera, stoimy z Russiem przed domem i rzucaemy do siebie piłkę baseballową w topniejącym świetle dnia, gdy tymczasem Claire wydziera się przez telefon na Stephena, który wydzwania mniej więcej co godzina, domagając się rozmowy. Sąsiedztwo wypełniają stłumione dźwięki przedmiejskiego wieczoru: cykanie świerszczy, melodyjny brzęk psich obroży, stłumione brzdąkanie klimatyzatorów i rezonujące klapsy skórzanej piłki baseballowej, która uderza o kieszenie wytartych rękawic. To moja zaklęta godzina, ta część dnia, w której dopada mnie doszczętna daremność wszystkiego, więc zwykle o tej porze siedzę na ganku, po trzech czy czterech łykach jacka danielsa.

Potrzebują czasu, żeby to wszystko przemyśleć! Odcieleśniony głos Claire, pół płaczący, pół krzyczący, wylatuje przez okno i mknie po trawie w naszą stronę.

- Cienko to widzę - mówi Russ, rzucając piłkę. Piłka ląduje w mojej rękawicy z rezonującym trzaskiem.

- Bo jest cienko - unoszę rękę i odrzucam mu piłkę. Rzucam trochę za mocno, ale Russ wyciąga się i z łatwością łapie.

- Są jeszcze w ogóle tacy, co się nie rozwodzą? Rzut... Trzask.

- Bo ja wiem. - Rzut... Trzask. - To chyba jakaś epi demia.

Przestań negocjować! To nie średniowiecze! Małżeństwa się nie negocjuje!

- Myślisz, że tobie i mamie by wyszło? Rzut... Trzask.

- Chciałbym w to wierzyć. Dobrze się zapowiadało.

- Fakt. Tylko że byliście jeszcze na etapie miesiąca miodowego.

Rzut... Trzask.

- Nie było idealnie - mówię po chwili przerwy. - Zdarzały nam się kłótnie. Matka była porządna, ja jestem niechluj. Czasami krępowało ją, że jest ode mnie starsza, a ja nie zawsze ją uspokajałem. Bywało i tak, że się z nią o to droczyłem.

- Czemu?

- Bo jestem dupkiem. - Wzruszam ramionami. - Nic wiem. Chyba cieszyła mnie myśl, że ktoś taki jak ona martwi się, że może mnie stracić.

Rzut... Trzask.

- Musiała się ostro wkurzać.

- Raczej smutniała. Rzut... Trzask.

- Kto wie, jak by się wszystko potoczyło - mówi Russ. *Myślisz, że ja się dobrze bawię? Ze obudziłam się któregoś*

ranka i uznałam, że to idealny dzień, żeby spierdolić Stephenowi życie?!

- Chyba mieliśmy szansę - mówię, rzucając piłkę. - Matka miała za sobą jedno małżeństwo - wiedziała, jakie czekają nas pułapki. Gdyby coś miało pójść nie tak, to tylko z jednego powodu - pewnie ja bym nawalił.

Rzut... Trzask.

- A jakie były na to szanse, to nie wiadomo, co? - pyta Russ z uśmiechem.

- Właśnie - odpowiadam, nagle czując przygnębienie.

Nie mówię Russowi o tym, że czasem przypomina mi się, ink wpatrywałem się w Hailey i bezwstydnie rozważałem, jak lo będzie, kiedy ona skończy pięćdziesiąt lat, a ja trzydzieści dziewięć, zastanawiałem się, czy wytrzymam ze starszą kobietą, kiedy ona faktycznie się zestarzeje. Nie mówię mu, że nawet teraz miewam posępne poczucie ulgi na myśl, że już niczego nie będę miał szansy spierdolić, że Hailey zginęła, zanim zdążyłem rozwalić nasz związek, że czasem nie mieści mi się w głowie, że mógłbym tego nie zrobić. Rozpieprzanie wszystkiego naokoło to w końcu moja specjalność. Nie mówię mu, że do dziś usilnie staram się zapomnieć, jak czasem na mnie patrzyła - jakby widziała mnie po raz pierwszy i zastanawiała się, jakim cudem oceniła mnie tak wysoko. Nie mówię mu, że w takich chwilach było dla mnie jasne, że kiedyś mnie zostawi. Pewnych myśli nigdy nie wolno wypowiadać na głos, nawet w samotności. To grzechy umysłu - można je usunąć z rejestru i liczyć na rozgrzeszenie.

Jedyne, co mogę w tej chwili zrobić, to powstrzymać żal, który nadciąga jak ulewa, i zachęcająco stuknąć w rękawicę. Russ uśmiecha się, puszcza wysoką, krótką piłkę i przez moment słychać tylko cykanie ożywionych świerszczy, trzask rękawic i sporadyczne okrzyki Claire. Przyjemnie jest tak odbijać - właśnie dociera do mnie, skąd wziął się banał o tym, jak ojciec spędza czas z synem, grając w piłkę. Jesteśmy razem, gra nas pochłania, stoimy w dostatecznej odległości, żeby rozmawiać o sprawach intymnych bez poczucia nadmiernego obnażenia. Pewnych rzeczy nie jesteśmy w stanie wypowiedzieć na głos, a wtedy wykonujemy rzut, słyszymy przyjemny trzask rękawicy i wiemy, że wiadomość została dostarczona.

Odkładam słuchawkę! Nie! Odkładam! - Dzięki, że pogadałeś z Jimem - mówi Russ. - Lepiej mi, odkąd wiem, że tu wrócę.

- Nie ma za co.
- Właściwie to po raz pierwszy czuję się jako tako od czasu... no
wiesz.

- Cieszę się.
- Chyba znów jesteś moim ojczymem.
- Chyba tak.
- Ijakiztym?

Przez chwilę się zastanawiam.

- Dobrze - odpowiadam.
- To super. Rzut... Trzask.

Laney Potter każe mi mówić o jej waginie. „Powiedz, że uwielbiasz moją wilgotną cipkę”. Naprawdę tak mówi, wsuwając mi język w ucho, kiedy nadzy tarzamy się w łóżku w pokoju gościnnym. Co do gadania podczas seksu, z waginą zawsze miałem problem. Nie nazwę jej waginą, a każde inne słowo brzmi wulgarnie albo szczeniacko, przez co mam wrażenie, że gram w kiepskim pornosie. Dlatego nigdy nie nazywam jej wprost, tylko mówię ogródkami, podobnie jak ogródkami zwracałem się do teściowej. „Mamo” nie wchodziło w grę, ale „Charlotte” było tak żałośnie oficjalne, że zwykle kiwałem głową i mówiłem „wiesz co”, na przykład „wiesz co, napiłbym się wody”. I oto teraz myślę o swojej byłej teściowej, uprawiając seks, a ponieważ nic skuteczniej nie likwiduje wzwołu, próbuję pozbyć się tej myśli i skupić na tym, co tu i teraz, jednak nie przychodzi mi to łatwo, odkąd Laney czuje się przy mnie na tyle swobodnie, że wygaduje sprośności podczas seksu. Jak dla mnie, to czuje się aż nadto swobodnie.

A Laney lubi gadać. O, tak! - jęczy. Albo: tak za tobą tęskniłam! Albo: o, matko, ale ci stanął! Albo: Daj mi go! A kiedy zaczyna kołować na pasie startowym do orgazmu, paplanina zamienia się w szczegółowy scenariusz, uzupełniony barwnymi didaskaliami. - O, Boże, to już zaraz. Jeszcze

nie, jeszcze nie. Ooooooh! Jak mi dobrze! O, matko! O, mai ko! Cipkę mam tak mokrą, że ze mnie cieknie. Tak, tak! Nie przestawaj! Błagam, nie przestawaj! Trzymaj tak palce, o, matko, tak! Mam orgazm! Mam orgazm! Mam orgazm!

Uprawianie seksu pod dyktando partnerki to dla mnie coś nowego, a skutek jest taki, że mnie to od niej oddala i zastanawiam się, czy to naprawdę ja leżę między jej nogami, bo jeśli tak, to czemu mi o tym wszystkim opowiada? Czemu nic może po prostu mruczeć, jęczeć i wyć jak normalny dorosły człowiek?

Po orgazmie obejmuje mnie nogami, ściska mój tyłek i ciągnie mnie zębami za skórę szyi.

- Mmmmm - mruczy, liżąc mi brodę jak loda w waflu. Stęskniłam się za tobą.

- Ja też - odpowiadam.

Uśmiecha się i podnosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć.

- Kłamiesz - mówi - ale to miło z twojej strony. - Całuje mnie w nos i odwraca, leżymy teraz na boku twarzą w twarz. - Wiem, że ci z tym dziwnie. Cokolwiek między nami jest, to każde co innego z tego czerpie. Jesteś pięknym mężczyzną i nieziemskim kochankiem. Nie chcę, żebyś myślał, że musisz mnie okłamywać. Jestem dużą dziewczynką i naprawdę postaram się w tobie nie zakochać, okay?

- Okay - odpowiadam, całując ją w powiekę.

- Ale na razie - mówi - nie mogę się tobą nasycić. Ani przestać o tym myśleć.

- Ja też cię pragnę - mówię.

Nachyla się do przodu, żeby pocałować mnie w usta.

- W to akurat nie wątpię.

Przez krótką chwilę leżymy w ciszy i wtem zaskakują nas oboje, mówiąc:

- Myślałem o tym, żeby zacząć spotykać się z kobietami.

- O - mówi Laney z nieskrywaną konsternacją. - Jesteś gotowy?

- Nie jestem pewien - odpowiadam. - Sam nie wiem, na co jestem gotowy.

Laney oblizuje palce, przesuwa dłoń w stronę mojego krocza i chwytam mnie wilgotną pięścią.

- Na to na pewno jesteś. - Podnosi się i całując mnie po brzuchu, schodzi coraz niżej. - Wiesz, co mówią?

- Nie - odpowiadam, przewracając się na plecy. - Co mówią?

Jej głos dobiega przytłumiony spod narzuty, czuję jej piersi na swoich udach, drżenie jej ust, od którego dosłownie wystrzela wzwód.

- Nie kupuj krowy, skoro możesz dać się wydoić za darmo. - Mówiąc to, bierze się ostro do roboty. Zamykam oczy, poddając się gorącej wilgoci jej ust, a Laney robi, co może, żeby połknąć mnie całego.

Kiedy później wchodzimy na górę, zastajemy w kuchni Claire i Russa, w milczeniu zajadających klopsa Laney prosto z brytfanki.

- Cześć - mówię zażenowany. - Nie wiedziałem, że jesteście.

- Siedzieliśmy cicho - odpowiada Russ. - W odróżnieniu od niektórych.

- Jestem Claire. - Moja siostra siedzi na krześle i macha ręką. - Jego popieprzona bliźniaczka. Na pewno ci o mnie mówił.

- Bardzo mi miło - mówi Laney, zalewając się obfitym rumieńcem w sposób typowy dla rudzielców. Wygląda, jakby za chwilę miała się cała zająć żywym ogniem. - Cześć, Russ.

- Dzień dobry, pani Potter - odpowiada Russ. - Świetny klops.

- Cieszę się.

- Zostaniesz na obiad? - pyta Claire.

- Nie - odpowiada Laney głośniejszym głosem, niż najwyraźniej zamierzała. - Lepiej już pójdę. Muszę... iść. Ale dzięki.

- Nie ma sprawy. Dziękuję, że tak się troszczysz o moje go brata - mówi Claire bez śladu ironii.

- To nic takiego. - Laney praktycznie wybiega z kuchni.

- Przykro mi, że tak wyszło - mówię przy drzwiach.

- Jeszcze się trzęsę.

- Jakby bańka prysła, co?

Laney szybko mnie przytula i przykłada usta do mojego ucha.

- Wydmucham następną - szepcze. Wychodzi z domu i biegnie przez trawnik, jakby goniły ją wściekłe psy.

W kuchni czeka na mnie nakrycie. Claire i Russ dalej jedzą w ciszy klopsa.

- No dobra - mówię. - Już poszła.

Oboje jedzą i udają brak zainteresowania, wreszcie Claire mierzy we mnie widelcem.

- Miarka się przebrała - mówi. - Od dzisiaj śpię u Russa. Nagle oboje przestają udawać i zaśmiewają się do łez. W końcu ich śmiech mnie zaraza.

- Russ - mówię po chwili. - Głupio mi, że musiałeś to widzieć.

- Na szczęście nie widziałem - odpowiada, wycierając oczy. - Tylko trochę słyszałem.

- Jeszcze mi uszy krwawią - wypala Claire.

- Nie chcę, żebyś źle to zrozumiał.

- Rozumiem to tak, że posuwasz panią Potter, którą zawsze uważałem za najbardziej seksowną babkę w New Radford. W czym się pomyliłem?

- We wszystkim - odpowiadam ze znużeniem, opadając na krzesło. - To wszystko nie tak.

- Jak ci tak z tym źle, to wyślij ją do mnie. Też mam żalobę, ale przeleciałbym ją bez mrugnięcia okiem.

- Jeśli pieprzy się tak, jak gotuje, to sama się z nią prześpię - mówi Claire, podsuwając mi talerz. - Genialny klops.

- Zapracowałeś na niego - mówi Russ i oboje ogarnia kolejny paroksyzm śmiechu.

- Wiesz co - mówi Claire po chwili. - Od czasu do czasu można bzyknąć kogoś od czapy, ale oboje z Russem sądzimy, że czas rozejrzeć się za jakąś bardziej właściwą partnerką.

- Ciebie też w to wmieszała? - pytam Russa.

- Mądrze gada - odpowiada Russ z półśmieszkiem, krojąc sobie kolejny kawałek klopsa.

- Z mojego rozległego wywiadu wynika, że najlepsza będzie Sabrina Barclay. Znasz ją? - pyta Claire.

- Nie.

- Fajnie. Zaliczysz randkę w ciemno.

- Nic z tego.

- Nie masz wyjścia, Dougie. Powierzyłeś mi swój los. Powiedz „tak”.

- A ten twój rozległy wywiad nie ograniczył się przypadkiem do jednej rozmowy z Mandy Seaver?

- Pośredniczy w nieruchomościach. Ma oko do szczegółów.

- A wiadomo, czy ta Sabrina się ze mną umówi?

- Nie masz byłej żony ani dzieci. Przeżyłeś tragedię - ukształtował cię boski traf, a nie gówniany rozwód. Masz włosy. Jesteś młody, szczupły i smutny. Wierz mi - mówi Claire, żując kawałek chleba. - Jesteś piękny.

- Młody, szczupły i smutny - powtarzam za nią. - Kto by pomyślał.

- Poza tym już z nią rozmawiałam.

- Umówiłaś mnie?

- Załatwiam sprawy, Dougie - mówi Claire, sięgając po kawałek klopsa.

- Claire.

- Daruj sobie. Tu nie ma minusów. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że ci się nie spodoba i po szybkiej kolacji odstawisz ją do domu. W najlepszym razie przelecisz pannę,

która nie jest mężatką, a wszyscy zgodzimy się chyba, że byłby to krok we właściwym kierunku, prawda?

- Co o niej wiesz? - mówię, wzdychając.

- Jest instruktorką aerobiku, ma ciało jak babka z rozkładówki, a do tego jeszcze niezłą kasiorę po rozwodzie.

- Czyli nie wiesz nic.

- Doug, to tylko randka. Drzemki, popijanie i gapienie się w sufit wypełniają ci kalendarz po brzegi, ale te parę godzin chyba wykroisz. Poza tym wypaplałeś Stephenowi, że jestem w ciąży, przez co nie będę miała ani chwili spokoju, więc jesteś mi coś winien.

- I tak by się dowiedział, nie sądzisz?

- I tak pójdziesz na randkę. Wzdycham i spoglądam na Russa.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko?

Russ przez chwilę żuje w zadumie, po czym ze zdecydowaniem kładzie dłoń na stole.

- Uratowałeś mnie przed Jimbem. Cokolwiek zrobisz, dla mnie i tak jesteś święty.

- Mówię poważnie. Chcę wiedzieć, co myślisz o tym, żebym zaczął spotykać się z kobietami.

Russ zapada się w oparcie i patrzy na mnie, lekko się czerwieniąc.

- Matka była wyjątkowa. Nieprędko znajdziesz kogoś, kto chociaż trochę ci ją zastąpi, a skoro tak, to im prędzej zaczniesz szukać, tym lepiej.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Russ kiwa głową.

- No dobra - mówię do Claire. - Kiedy?

- Piątek wieczór.

- Niech będzie.

- Za Sabrinę Barclay. - Claire uśmiecha się i unosi szklanekę, żeby wznieść toast. - Oby miała otwarty umysł, serce i nogi, a do tego słabość do smutnych chudzielców.

Russ unosi puszkę z coca-colą i uśmiecha się.

- Za Sabrinę Barclay - powtarza.

- Za Sabrinę Barclay - powtarzam i ja, unosząc szklankę i stukając się z nimi. I tak pijemy za Sabrinę Barclay, jedząc klops Laney Potter, a ja przez cały czas myślę o Brooke I layes. To kłębowski kobiet albo oznacza, że jestem zupełnie niegotowy na normalne życie, albo też, że bardziej gotowy już nie będę.

„...no i wtedy przysięgam sobie, że to już koniec z randkami w ciemno, ale twoja siostra ma dar przekonywania, wiesz? Taka siostra to skarb. Jak ja bym chciała, żeby o mnie ktoś się tak troszczył. Prawda jest taka, że jak ktoś chce ułożyć sobie życie po rozwodzie, to musi mieć otwarty umysł i wychodzić do ludzi. Próbowałam szukać w Internecie, ale to zawracanie głowy. Ślęczysz przy komputerze i usiłujesz od-cedzić oszołomów. Już myślisz, że trafił się ktoś, z kim warto się umówić, a tu się okazuje, że gość dał zdjęcie sprzed dziesięciu lat, zanim wyłysiał i wrzucił trzydzieści funtów, albo że mieszka u matki w piwnicy, albo że jest żonaty i szuka kogoś na boku - nie uwierzyłbyś, ilu żonatych facetów buszuje na czatach. Czemu nie dzwonią do agencji? Zaraz, do czego to ja zmierzałam? A, tak - że trzeba mieć otwarty umysł, korzystać z okazji i poznawać wartościowych ludzi, bo świat jest pełen oszołomów. - Tak, tak, już można. Poproszę danie dnia, ale żeby łosoś był pieczony i bez sosu. A zamiast puree warzywa na parze. Ograniczam węglowodany. Dziękuję. -W każdym razie, twoja siostra mówiła, że od śmierci żony z nikim się nie umawiałeś. Mogę mówić o twojej żonie? Przepraszam, obiecałam sobie, że nie będę, ale nie mogę znieść, jak umawiam się z gościem, a on w kółko tylko o swojej byłej. To z miejsca robi się nudne, nie? To znaczy

każdy ma swoją wersję, każdy chce cię przekonać, że rozwód nie był z jego winy, że się źle dobrali i takie tam. Sama jestem po rozwodzie i tyle przeszłam, że wiem, że wina zwykle jest po obu stronach, więc jak ktoś mi wmawia, że to nie jego wina, to i tak mu nie wierzę, więc niech sobie daruje. Może to i nie on zdradzał, ale małżeństwo można zniszczyć na wiele sposobów, niekoniecznie zdradzając, prawda? Czasami tak po prostu bywa, a jeśli ktoś się uczy na własnych błędach, to mam gdzieś, czy uważa, że wina była po jego stronie, czy nie. Nie obchodzi mnie ani przeszłość, ani przyszłość. Obchodzi mnie tylko to, co tu i teraz, to, kim ktoś jest dzisiaj, i o co mu w danej chwili chodzi, rozumiesz? Nie zdradziłam Gary'ego, chociaż Bóg jeden wie, ile razy mogłam. Jak się pracuje w fitness clubie i chodzi w obcisłych ubraniach, to okazji jest mnóstwo. Gary też mnie nie zdradził, przynajmniej sam tak twierdzi i tej wersji się trzyma, chociaż moim zdaniem związał się z inną babką cholernie szybko. Wszyscy moi znajomi mówią, że to się zaczęło jeszcze przed naszym rozwodem, ale wiesz co? Jestem ponad to. Jeśli tak było, tym lepiej dla niego. Między nami i tak skończyło się dużo wcześniej. Chyba po tym, jak urodził się Jason - teraz ma siedem lat... Co? Wiem. Nikt nie chce wierzyć, że urodziłam dziecko. To pewnie dzięki przysiadam albo zwyczajnie mam to w genach. Matka była bardzo szczupła, a ja mam ciało po niej, z tym że ja mam piersi - Bogu dzięki. Matka była płaska jak deska. Zaraz, o czym to ja mówiłam? A tak - jak urodził się Jason, nasze drogi z Garym się rozeszły. Oboje chcieliśmy czego innego. On chciał mieć gromadkę dzieci, siedzieć w domu i spokojnie się zestarzeć, a ja chciałam znów żyć. - Cudownie. Dziękuję bardzo. Wygląda wspaniale. Dressing balsamiczny jest bez tłuszczu? Świetnie. - O czym to ja mówiłam? Gadam za dużo. Pomówmy o tobie. Uwielbiam twoje felietony. Zawsze podziwiałam ludzi, którzy potrafią pisać. Mnie przerastają nawet liściki z podziękowaniami po urodzinach

Jasona. Zawsze chciałeś zostać pisarzem?... A mogę spytać, czym się zajmowała twoja żona? Szlag! Znów palnęłam. Obiecałam sobie, że jeśli ty nic nie powiesz, to sama nie zacznę. W końcu nie ma nic gorszego niż rozmowa o byłych małżonkach na pierwszej randce. Może to dlatego, że nigdy wcześniej nie umówiłam się z wdowcem. To zupełnie inna dynamika. Nie masz tego całego bagażu, jaki ciągną za sobą rozwodnicy, rozumiesz?... Nie no, pewnie, to też jakiś bagaż. W końcu kto go nie ma? Ale ty jesteś inny - byłeś żonaty, a jednak nie ziejesz złością i nienawiścią... Serio? Na kogo? Na Boga?... Ojej! Naprawdę? Chyba nie znam żadnych ateistów. Ale po twoich przejściach to zrozumiałe... W sumie to i ja mam wątpliwości, tak jak wszyscy, ale to po prostu niemożliwe, żeby Bóg w jakiejś tam formie nie istniał, inaczej to wszystko nie ma sensu. Muszę wierzyć albo życie zmieni się w chaos. Co do zorganizowanej religii, to zwolenniczką raczej nie jestem, chociaż chodziłam do szkoły katolickiej, ale tylko dlatego, że rodzice uznali, że tam jest przyzwoity poziom. W zasadzie jest mi wszystko jedno: Jezus, Bóg, Allah, Budda - co za różnica? Ktoś na pewno wszechświatem zawiaduje, i tyle. Jeśli nie, to jakie życie ma sens?... Może rzeczywiście nie wszystko dzieje się bez powodu, ale ja tam wolę myśleć, że tak. Rety. Religia, eks-małżonkowie - łamiemy reguły pierwszej randki, co? Mam tylko nadzieję, że nie robię z siebie kretynki. Nie no, nie jestem kretynką, tylko wcale nie jest łatwo siedzieć z kimś, kogo w ogóle się nie zna, rozumiesz?... Dzięki. A ty jesteś dużo przystojniejszy, niż myślałam, chociaż w sumie po tylu moich nieudanych randkach już na starcie miałeś plusa. Powiedz, naprawdę jestem pierwszą dziewczyną, z którą się umówiłeś po śmierci żony? Poważnie? O, Boże. Teraz dopiero czuję presję! Żartuję, żartuję. Ale mam jakieś poczucie odpowiedzialności - w końcu to ode mnie zależy, żeby to było dla ciebie pozytywne doświadczenie. Nie zapomina się pierwszej randki, co nie?

Pierwszy raz po rozwodzie umówiłam się z takim jednym Charliem. Poznałam go w klubie. Totalna porażka. Cały wieczór opowiadał mi ze szczegółami historię swojego życia seksualnego, od pierwszej masturbacji po pannę, którą zaliczył tydzień wcześniej, a potem był w szoku, że nie chciałam się z nim przespać. A teraz ja jestem twoja pierwsza. Ciekawe co kiedyś o mnie powiesz... Co? Ha, ha! Naprawdę jesteś zabawny, wiesz? - Ja dziękuję za deser, ale ty się nie krępuj. To był naprawdę uroczy wieczór, bardzo ci dziękuję.

O rany, uwielbiam tę piosenkę, można głośniej? Uwielbiam Beyonce. Po lewej, na Blackstone. Tutaj. To znaczy «jedź tutaj», a nie «skreć tutaj». Dzięki. Wiem - jak na dwie osoby trochę za duży, ale tak się do niego przywiązałam. Poza tym, jak go sprzedam, to połowę kasy sprzątnie Gary, a nie ma bata - nie dołożę grosza do mercedesa jego nowej narzeczonej... Wejdiesz na chwilę? Jason spędza weekend z Garym... Muszę ci coś powiedzieć, Doug. Lubię cię. Jesteś uroczy

i przystojny i wiem, że masz wielkie serce. Naprawdę mi się podobasz i coś mi mówi, że byłoby nam razem dobrze. Wiem, że dla ciebie to nowy początek i nie chcę, żebyś myślał że liczę na jakieś zobowiązanie z twojej strony. Nie jestem jakaś puszczalska, która łąduje w łóżku z byle facetem, co postawił jej kolację. Bez uczucia to ja nie umiem, a z tobą czuję więź. Jak nie masz ochoty - spoko, zrozumiem, chciałam tylko przedłużyć wieczór. Bez zobowiązań, serio. Jeśli mamy zostać tylko przyjaciółmi, niech tak będzie. Tak poza wszystkim to ja jestem bardzo seksualna i namiętna, i podobno świetna w łóżka - to w końcu bardzo ważne... Na pewno? W porządku, rozumiem. Nie, nie szkodzi. W końcu po to Pan Bóg wynalazł wibratory, nie? Żartowałam! Naprawdę, to tylko żart. Mam nadzieję, że nie wzięłaś mnie za puszczalską, bo wcale taka nie jestem. Po prostu rzadko się spotyka porządnych facetów, a jak się taki trafi, to nie bawię się w gierki... Okay. W porządku. Naprawdę rozumiem. Mogę cię

pocałować?... Mmmm. Na pewno nie zmienisz zdania? Dobra. Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy. Zadzwonisz? Chętnie to powtórzę... Ja też. Okay. Dobrej nocy. Zaczekasz, aż wejdem do środka? Nienawidzę wracać do pustego domu. Dzięki. Dobra, to na razie. Daj jeszcze buziaka... Mmmm. O Boże, masz cudowne usta. Dobra. Lecę. Pozdrów siostrę...".

W New Radford mieszczą się jedne z najlepszych szkół publicznych w kraju. Mamy hojnie finansowane biblioteki, piękne parki, czyste ulice, sztandarową jednostkę policji i doskonałe sklepy. Nie mamy natomiast w pobliżu ani jednego porządnego klubu ze striptizem. Ktoś próbował otworzyć taki przybytek kilka lat temu, ale nic nie wstrząsa sypialnianą społecznością wyższej klasy średniej tak, jak widmo cycków i tyłeczków. Miejscowi prawnicy zaoferowali swoje usługi *pro bono* i złożyli wszystkie niezbędne pisma, co bogatsi finansiści wsparli opozycję, korowód minivanów pikietował na miejscu niedoszłej siedziby, a lokalne stowarzyszenia rodzinne i instytucje religijne zjednoczyły siły i zmobilizowały ochryply tłum, który zaludnił zebrania rady do spraw zagospodarowania przestrzennego i dołożył starań, aby wniosek inwestorów i kolejne odwołania zostały odrzucone. Jak na ironię, ci sami mężczyźni, którzy nie szczydzili czasu i pieniędzy, aby udaremnić otwarcie lokalu, odbywają teraz 40-minutowe przejażdżki na Manhattan, kiedy zachce im się dotyku tancerek w samych stringach.

Nigdy nie lubiłem chodzić do takich klubów, nawet przed ślubem, z żadnych tam powodów moralnych i wcale nie dlatego, że kobiety traktuje się tam jak przedmiot - w końcu kobieta ma prawo chcieć być tak traktowana - ale zwyczajnie

dlatego, że nie mogę znieść myśli o tym, kim jestem w oczach tancerek: tępym, bezpłciowym fajfusem, zbyt żalonym, żeby nawiązać normalny kontakt z kobietą. Tymczasem po śmierci Hailey stałem się dla żonatych facetów idealną wymówką dla takich eskapad. Może i wypadek na rozbierankę jest chorym i beznadziejnym aktem mizoginizmu, ale moja obecność zamieniała go w misję humanitarną, w szlachetny akt przyjaźni i współczucia, w męskie zgromadzenie ku pokrzepieniu ponurego, samotnego wdowca. Było to wyjątkowo liche usprawiedliwienie, ale jeśli chodzi o nagie kobiety, to generalnie lepsza wymówka żadnemu facetowi nie jest potrzebna. Moi znajomi dysponowali zatem wytłumaczeniem - którego na wypadek konfrontacji z żonami i tak nie wpletliby w mowę obrończą - więc wydzwaniali do mnie, tłumaczyli, że dobrze mi to zrobi, że muszę pojechać i się zabawić. Nie miałem złudzeń, że od siedzenia w grupie żonatych facetów w średnim wieku i przyglądania się, jak młode nagie tancerki wiją się na ich kolanach, zrobi mi się jeszcze gorzej, ale czasem łatwiej mi było znosić katusze i się uśmiechać niż cokolwiek im tłumaczyć. I wreszcie przyszedł ten wieczór, kiedy dałem się zaciągnąć do lokalu i odegrać rolę zespołowej maskotki; me byłem jednym z graczy, miałem tylko dodawać im animuszu.

Z początku nastawiałem się, że posiedzę przy barze albo na kanapie, schlam się rozwodnionymi drinkami, postukam nogą w takt hard rocka z lat osiemdziesiątych i do końca imprezy zapadnę w mentalną drzemkę, ale wtedy odkryłem kolejną bezsprzeczną prawdę na temat życia młodego samotnego człowieka: każdy chce postawić wdowcowi prywatny taniec. Tak jakby widok lśniących, nasmarowanych cycków podskakujących przed moim nosem miał mi ulżyć w bólu. Zacząłem przekrzykiwać grupę kumpli, którzy rzucali panienkom kasiorę i namawiali, żeby pokazały mi dobrą zaba-

wę, a potem musiałem odpierać agresywne zaczepki striptizerek, które wyczuły sytuację i zaczęły sobie używać. Tancerka, którą mi wybrali, poprowadziła mnie przyciemnionym korytarzem do pokoiku dla VIP-ów, ale gdy tylko zniknąłem kumplom z oczu, dałem drapaka, a ponieważ byli na tyle usłudzy, że wepchnęli mi do ręki plik dwudziestek, miałem na taksówkę z powrotem do New Radford. To był ostatni raz, kiedy kumple zaprosili mnie na striptiz.

- Idziemy przylukać laski - mówi Max. - Zaraz po przymiarce.

Max to młodszy brat Mike'a, przystojny, dwudziestoparoletni facet, który nadal używa takich słów jak „kurdebalans”, „stary”, no i oczywiście „przylukać laski”, i który wcześniej zdażył mnie poinformować - ä propos niczego i bez śladu zażenowania - że jego kumpel z bractwa „ma miejscówkę do rżnięcia w Hamptons - w weekendy tam się dosłownie roi od lasek. Wpadnij, stary. Coś ci załatwię”. Za każdym razem, kiedy otwiera gębę, wyobrażam go sobie, jak w koszulce bractwa chleje piwo ze szlauchu, obmacuje nagie tyłki pańienek z pierwszego roku i gwałci na randkach półprzytomne laseczki z korporacji studentek.

Jest poniedziałkowe popołudnie, zaproszeni na ślub kumple Mike'a przyjechali do Studia Fraków Gellers na niższym Manhattanie, na przymiarce szarych kamizelek i dopasowanie półfraków. Miałem nadzieję, że Mike wykaże się większym rozsądkiem i nie będzie ubierał swoich družbów, ale zapomniałem, że to nie Mike rozdaje karty, a Debbie nawet woźnych chce wystroić jak Kennedych. Oprócz mnie i Maksa družbami będą Paul, gość od funduszy spekulacyjnych, i Rich, bankier inwestycyjny - obaj mieszkają w pobliżu, obaj co chwila odbierają telefony i sprawdzają komputery kieszonkowe BlackBerry. Oprócz nich - o zgrozo - jest jeszcze Dave Potter, mąż Laney i partner Mike'a; powinie-

nem był się go tutaj spodziewać, ale jakoś mi to umknęło, może dlatego, że na co dzień staram się nie pamiętać, że on w ogóle istnieje.

Ponieważ Paul i Rich są zbyt zajęci struganiem waznia-ków - nawijają przez telefon i maniakalnie stukają w klawiatury swoich blackberry, jakby za chwilę mieli pobić jakiś rekord - i skoro ja jestem jedynym znanym mu drużbą, Dave dopada mnie w przebieralni i zabawia rozmową.

- Czytam twoje felietony - mówi. - Są niesamowite. Piszesz szczerze i wprost, a jednocześnie jesteś dowcipny. Masz talent.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Mam nadzieję, że Laney nie doprowadza cię do szału tym, że ciągle wpada z jedzeniem.

To dziwne - słyszeć jej imię wymawiane przez niego tak od niechcienia.

- Skąd - odpowiadam. - To bardzo miło z jej strony.

- Jak się czegoś podejmie, to nie wie, kiedy przestać. Mam przed oczami Laney - jej kasztanowe włosy opadają

na moją twarz, ma zamknięte oczy i otwarte usta, siedzi na mnie okrakiem, wije się i jęczy w oczekiwaniu na orgazm.

- Wszystko pod kontrolą - mówię. - To dobra kumpela.

Dave ściąga sfastrygowaną koszulę; widząc wałki tłuszczu i obwisłe piersi faceta, który nie ma pojęcia, że sypiam z jego żoną, czuję się jeszcze gorzej niż do tej pory. Jak na czterdziestopięciolatka Dave nieźle się trzyma, ale poślubił młodą seksbombę, a potem odpuścił. Mam ochotę go złapać, postawić przed lustrem i wywalić: Przyjrzyj się sobie, głupi fiucie. Czego się spodziewałeś? Przez mgnienie oka czuję, jak w przeblasku szaleństwa już do niego podchodzę i otwieram usta, żeby mu to powiedzieć, bo na dłuższą metę obu nam pewnie wyszłoby to na dobre - ale wtem Max zapowiada wypad na laski, więc Dave kiwa głową i mówi:

- Wreszcie mówisz do rzeczy - rzucając mi konspiracyj-

ny uśmiezek, więc już wcale nie jest mi go aż tak szkoda, a impuls, żeby wyjawić prawdę, znika, zanim narażę się na większe kłopoty niż te, w które już się wpakowałem.

Max zagania nas kilka przecznic dalej do jednego z najlepszych klubów dla dżentelmenów, do którego wejście ogradza rozpięty na słupkach karmazynowy sznur; osiłki w ubraniach od Armaniego stoją na bramce i witają go po imieniu. Rozważam w myślach cały zestaw wymówek i przeprosin, żeby się oddalić, ale dopiero zakopaliśmy z Mikiem topór wojenny, a ja nie chcę wywołać kolejnego nieporozumienia. Po niedługim czasie siadam więc na długiej kanapie w kształcie litery L, w półmroku, razem z innymi. Max rusza do baru, ale przystaje, żeby podziwiać dwie babeczki tańczące na rurze, a tymczasem garstka tancerzek obsługujących tę część sali, na wysokich obcasach i w skąpych koronkach, otacza nas jak sępy. Po chwili Rich wyciąga plik banknotów i zamawia dla Mike'a pierwszy taniec. Brunetka z małymi piersiami, w koronie rozczochranych włosów i cekinowych strin-gach ociera się o niego nagim ciałem, kołysząc się powoli w rytm muzyki, przebiega palcami po jego udzie i szepcze mu do ucha. Po klubie szybko rozchodzi się wieść, że świętujemy wieczór kawalerski, i wkrótce zbiera się wokół nas więcej tancerzek, niż jesteśmy w stanie wziąć w obroty. Paul wybiera wysoką blondynkę i nawijając przez komórkę, idzie z nią do sali szampańskiej. Mike, Max, Rich i Dave zostają na kanapie, cali zadowoleni, że panienki zajmują się nimi właśnie tutaj.

Tęsknię za żoną.

- Hej - woła Mike, wychylając się z objęć tancerki, która siedzi mu na kolanach i kręcąc biodrami, ociera się o jego krocze. - Niech się któraś zajmie Dougiem.

- Nie trzeba - protestuję, podnosząc drinka. - To twój dzień, nie mój.

- Pierdolisz - mówi Mike. - Max, znajdź mu dziewczynę.

- Trochę jestem zajęty - odpowiada Max, który w pozycji prawie horyzontalnej wpatruje się pożądliwie w drobniutką rudą panienkę podskakującą na jego udach.

- Jesteś drużbą - warczy Mike. - Rób, co do ciebie należy.

- Nie przeszkadzaj sobie - mówię do Maksa i szybko wstaję. - Dam sobie radę. - Idę w stronę baru w rogu sali, żeby zamówić Jacka Daniela z colą. Cała sztuka polega na tym, żeby być stale w ruchu i nie stać się celem wałęsających się tancerek. Czekać na drinka, obserwuję Mike'a i pozostałych w lustrze za barem: szepczą do dziewczyn usadowionych na ich kolanach, flirtują z nimi, opowiadają dowcipy, przybijają piątki. Zwłaszcza Dave wydaje się rozkochany w swojej panience - Azjatce z nieproporcjonalnie wielkimi piersiami - wyciąga łapy, żeby złapać ją za tyłek; to jawne pogwałcenie etykiety klubu, ale pewnie daje niezłe napiwki, bo Azjatce najwyraźniej to nie przeszkadza.

- Cześć - mówi do mnie jakaś brunetka. Ma bladą cerę; i długie, niezgrabne nogi, jest ubrana w przezroczysty, pleciony top. Głaszcze mnie po ramieniu, wdrapując się na stół. Jestem Shawnie.

- Cześć, Shawnie.

- A ty jak masz na imię?

- Jack - odpowiadam. W końcu ona skłamała pierwsza.

- Chcesz ze mną pójść do sali szampańskiej?

- Nie, dzięki.

- To może taniec?

- Masz - mówię do niej, wyciągnąwszy dwudziestkę z portfela. -

Widzisz tego gościa z brunetką na kolanach?

- Widzę.

- Ma na imię Mike. Zatańcz dla niego i powiedz, że to ode mnie.

- Mike - powtarza dziewczyna.

- Tak - potwierdzam. - Tylko powiedz mu, że masz na imię Debbie, dobra?

- A kto to jest Debbie?
- A kto to jest Shawnie? Dziewczyna uśmiecha się.
- Debbie. Nie ma sprawy.

Wychylam drinka i zamawiam kolejnego, odwracając się, żeby popatrzeć, jak Shawnie zdejmuje top i wdrapuje się Mi-ke'owi na kolana. On wychyla się, żeby na mnie spojrzeć, a ja unoszę szklankę. Rzuca mi pytające spojrzenie, ale właśnie zaczyna się nowa piosenka, coś zespołu Black Eyed Peas, i Mike znika za wygiętymi plecami Shawnie.

Po dwudziestu minutach nadal tkwię przy barze i nagle odczuwam wobec siebie niesmak na myśl, że usiłując wysiedzieć tu tyle, żeby móc spokojnie wyjść, wypilem za dużo, żeby prowadzić. Wtem podchodzi do mnie Mike.

- Doug - mówi pijackim głosem. - Muszę ci coś powiedzieć.
- Wal - odpowiadam. Sam też jestem nieźle wstawiony.
- Dziwnie być z tobą w takim miejscu - mówi, siadając obok mnie na stołku. - W końcu żenię się z twoją siostrą, a przyszedliśmy na striptiz.
- Luzuj - mówię do niego. - To tylko zabawa.
- Racja - przytakuje. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że strasznie kocham Debbie i nigdy nie okazałbym jej braku szacunku.
- Wiem.
- To tylko kretyński sposób na wzmocnienie męskich więzi.
- Wiem, Mike. Nie przejmuj się.
- Te panny i tak nie umywają się do Debbie - mówi z dumą, zataczając łuk ramieniem.
- Do Laney Potter też, ale Dave jakoś nie ma skrupułów - wypalam. Odwracamy się, żeby na niego popatrzeć. Zakopał twarz w wielkich piersiach Azjatki, która podskakuje na jego kolanach, kiedy on porusza nogami w takt muzyki. -Ciekawe, co by teraz powiedzieli jego klienci.

- Laney Potter ci się podoba? - pyta Mike. Spuszczam głowę i wpatruję się w drinka, zastanawiając

się, czemu w ogóle o niej wspomniałem.

- Bo ja wiem - odpowiadam. - Nie o to chodzi.

- Racja - mówi Mike, odciągając mnie od baru. - Chodzi o to, że jesteś moim kumplem, dużo w życiu przeszedłeś, a my chcemy ci postawić taniec.

- Nie trzeba, naprawdę.

- Siadaj i dobrze się baw - mówi Mike, popychając mnie na kanapę. Reszta zgrai wydaje z siebie pijackie okrzyki zachęty. Max nachyla się do mnie i szepcząc, jakby wyjawia! tajemnicę państwową, tłumaczy, że za stówkę niektóre panny robią loda w sali szampańskiej, i zanim mogę się zorientować co i jak, na moich kolanach ląduje goła laska z tlenionymi włosami i kolczykiem w języku. Pachnie dżinem, lawendowym balsamem do ciała i pudrem dziecięcym, a kiedy się uśmiecha, widać jej dziąsła, więc przez chwilę moje myśli kierują się w stronę pakietu usług dentystycznych zapewnianych striptizerkom przez pracodawcę.

- Cześć - mówi. - Jestem Vanessa.

- Jack - mówię, unikając kontaktu wzrokowego. Vanessa ma nie więcej niż dwadzieścia lat, a napięta skóra jej brzucha mieni się od balsamu do ciała jak kamienny chodnik, przez co przelotnie smutnieję, przypominając sobie cienie na powiekach Brooke. Zaczyna się kolejna piosenka, stary przebój Van Halen, który przypomina mi o Julie Baskin, mojej pierwszej dziewczynie z liceum. Vanessa zaczyna się kołysać i ocierać o moje uda, ja zamykam oczy i uciekam myślami do jakiejś imprezy - leciała ta sama piosenka, a my staliśmy z Julie na zewnątrz, w cieniu domu, przyklejeni do siebie, całując się i pieszcząc. Julie pachniała czystością i perfumowanym mydłem, a smakowała jak guma do żucia Juicy Fruit. Do dziś pamiętam, jak bardzo byłem zakochany i jak cudownie było tak stać na zewnątrz, w chłodzie wiosennej nocy, i całować prze-

śliczną dziewczynę - byliśmy wtedy tacy pełni, a jednak nietknięci przez życie, i wszystko było takie proste, bo nie miało trwać. Nie zerwaliśmy ze sobą, miłość rozeszła się po kościach, a po kilku tygodniach oboje obmacywaliśmy już kogoś innego, na innej balandze, znów zakochani po uszy.

- Hej - mówi miękko Vanessa, nadal nieświadomie kołysząc biodrami na moich kolanach.

- Tak? - otwieram oczy.

- Płaczesz.

- To alergia - odpowiadam, wycierając łzy.

Vanessa zbliża twarz do mojej, a wtedy dostrzegam cieniutką, wypukłą bliznę, biegnącą równolegle do brwi. Jest wyblakła, pewnie jeszcze z dzieciństwa, a ja zastanawiam się, skąd ją ma. Wyobrażam sobie młodą, śliczną matkę, która przykłada jej do głowy mokrą ścierkę i pędzi do lekarza, trzyma za rękę, kiedy lekarz zszywa ranę, i czuje ból dziecka jak swój własny. Potem myślę o tym, co sprawiło, że ładniutka córka kochającej matki zeszła na złą drogę, co zawiodło ją do mrocznego klubu, w którym trafiła na moje smutne ciało, tak wobec niej obojętne.

- Przepraszam - mówię. Za więcej, niż ona zdaje sobie sprawę.

- W ogóle cię to nie rusza - mówi dziewczyna. - Co jest nie tak?

W niekontrolowanym odruchu wypalam, co mi leży na sercu.

- Tęsknię za żoną - wyrzucam to z siebie tak gwałtownie, aż odskakuje jej głowa. - Brakuje mi jej tak bardzo, że czuję kamień w piersiach. Przygniata mi płuca i dusi. - Wskazuję na Dave'a, nadal zatraconego w przepastnym rowku między piersiami Azjatki. - Widzisz tego gościa? Posuwam jego żonę, a nigdy nie przypuszczałem, że będę facetem, który posuwa cudzą żonę. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach płacenie za to, żeby ładna dziewczyna się o mnie

ocierała, jest smutne, a teraz jest smutne dlatego, że w porów naniu z tym, co przeszedłem, cycki przed nosem wcale nie są smutne, więc smutniej jeszcze bardziej i zwyczajnie chcę, żeby ten ból już się skończył, rozumiesz? Chcę móc oddy chać. Mam dość tego, że co noc zasypiam przerażony, bo będę musiał się obudzić, a jednocześnie boję się, że ból przeminie, bo to będzie znaczyć, że wchodzę w kolejny etap, a moja żona odeszła na zawsze.

Kiedy wpadam w słowotok, dziewczyna cały czas delikatnie kołysze biodrami; milknę, a wtedy ona delikatnie głaszcze mnie po policzku - czuję jej miękką skórę na swoim twardym zaroście - po czym łagodnie przystawia moje czoło do swojego. Siedzimy tak przez chwilę, aż przebrzmiewają ostatnie takty piosenki.

- Jack - mówi do mnie miękko.

- Tak? - odpowiadam, patrząc w jej wielkie, zielone oczy. I choć nie otworzyła jeszcze ust, ja już wiem, co powie.

- Masz ochotę na prywatny taniec w sali szampańskiej?

Mam na sekretarce cztery wiadomości, wszystkie od Laney Oddzwaniam, wracając samochodem z klubu, z którego wreszcie udało mi się zmyć, zaraz po moim przerwany prywatnym tańcu. Laney odbiera po pierwszym sygnale.

- Jesteś jeszcze z chłopakami? - pyta.

- Właśnie wyszedłem.

_ Bo widzisz, Dave właśnie dzwonił i mówił, że wróci późno.

To było do przewidzenia.

- Pewnie tak - odpowiadam.

- No więc...

- No więc...

- Chcę cię w moim łóżku.

Laney otwiera drzwi w czerwonej, satynowej piżamce, długie kasztanowe włosy opadają jej na ramiona. Wiem, że powinienem to przerwać, ale jest tak niemożliwie piękna, a do tego po przeprawie ze striptizerkami spotkanie z nią jest jak wybawienie; czuję się jak weteran po powrocie z frontu i praktycznie wpadam w jej ramiona. W sypialni spowitej migoczącym blaskiem pachnących świec sadza mnie na brzegu łóżka z czterema kolumnami i powoli rozbiera, całując po piersiach i brzuchu, a potem po udach, kiedy zdejmuję mi bieliznę. Siada mi na kolanach, obejmuje nogami i rozchyła

moje usta swoimi, a ja z całych sił staram się nie myśleć o striptizerce, która siedziała tak na mnie godzinę temu. Po chwili, nie odrywając ode mnie wzroku, rozplątuje ramiączka - nagość wybucha niespodziewanie tuż przy mojej twarzy, do której Laney przytula swoje piersi. Kiedy sięgam do jej pośladków, nie mogę przestać myśleć o ręce Dave'a na tyłku tancerki, o jego wygłodniałej twarzy wtulonej w jej piersi,

i może powinienem mieć teraz poczucie, że sprawiedliwie odpłacam, ale ogarnia mnie smutek, bo przecież jesteśmy tacy sami: Dave i striptizerka, Laney i ja. Wszyscy ugrzęźliśmy w pułapce, wszyscy chcemy czegoś innego niż to, co mamy.

Po seksie Laney zapada w drzemkę, a ja po cichu zbieram rzeczy z podłogi i idę się ubrać. Bezgłośnie stawiam kroki na miękkiej wykładzinie w korytarzu, gdy nagle słyszę dźwięk spłuczki toalety i kamienieję, kiedy córka Laney, Rebecca małeńki cherubinek w różowej piżamce, czterolatka z taką samą burzą włosów jak matka - wychodzi z łazienki. Patrzy na mnie półprzytomnymi oczami, podchodzi i nie wiedzieć czemu unosi ramiona, żebym ją podniósł.

- Otul mnie kołdrą - mówi zaspana.

Biorę ją na ręce, Rebecca obejmuje mnie i wtula twarz w moją szyję - wciska pulchniutki policzek pod moją szczękę. Lampka z Dzwoneczkiem rozświetla różowe ściany, białą pluszową kołderkę w różowe serduszka, całe zbiorowisko pluszaków rozłożonych z namaszczeniem na brzegach łóżka. Kładę małą, starannie okrywam. Już mam się podnieść, kiedy ona nagle unosi głowę i z zamkniętymi oczami całuje mnie w brodę. - Kocham cię - szepcze, po czym odwraca się do ściany, a palące drżenie, które dotąd czułem w piersiach, podskakuje mi do gardła. Wychodzę na palcach z jej pokoju, mijam korytarz, a potem zbiegam na parter, jakby mnie kto gonił.

Dojeżdżam do domu koło północy, a na podjeździe zastaję samochód matki. Znów mam szesnaście lat, znów mnie nakryła, jak wracam późno, znów coś przeskrobałem i zastanawiam się, ile ona wie. Matka śpi, siedząc na kanapie w dużym pokoju, z głową na jej kolanach śpi Claire, w telewizji leci talk-show Leno. Matka ma potargane włosy, wgniecione w oparcie kanapy, i rozmazany makijaż, przez co wygląda jak nieostry portret. Lewą rękę ma zanurzoną we włosach Claire, w prawej trzyma w połowie opróżniony kieliszek z winem, przyciskając go do piersi, jakby zasnęła, unosząc go do ust. Na stole stoi pusta butelka merlota, ale nie ma innych kieliszków - to dobrze, bo to znaczy, że Claire zachowuje się odpowiedzialnie, niemniej widok jest przygnębiający, skoro matka musiała sama opróżnić flaszkę.

Cichuteńko sięgam palcami do nóżki kieliszka, chcę go wyjąć matce z ręki, ale ona gwałtownie mi go wrywa.

- To moje - mamrocze, jakby przez sen.

- Cześć, mamo. Otwiera oczy.

- Pachniesz seksem.

- Co tu robisz?

Dopija wino i podaje mi kieliszek.

- Tylko jeśli uprawiałeś seks - mówi, przeciągle ziewając. - To dlaczego nie zostałeś u niej na noc?

- Mamo.

- Parę wyjaśnień przychodzi mi co prawda do głowy, ale żadne nie wróży ci naj lepiej.

- O nic się nie martw - odpowiadam, zapadając się w fotelu.

- Świetnie wyglądasz - mówi szyderczo, surowo się we mnie wpatrując. - No dalej, Douglas, w tej rodzinie nie mamy przed sobą taj emnic.

- Fakt, my mamy tylko kłamstwa. Jak zresztą wszystkie

rodziny, bo inaczej krewni nie mogliby na siebie patrzeć. Serio, nie mam żadnych tajemnic.

W telewizji podekscytowany Leno skowyczy monolog, jakby nawąchał się helu.

- Myślałem, że nie cierpisz Leno.

- Siedzę na pilocie.

Sięgam, żeby wyłączyć telewizor.

- No więc - mówię. - Co cię tu sprowadza? Matka delikatnie odgarnia włosy z twarzy Claire.

- Claire chciała pogadać.

- Dzwoniła?

- Tak trudno w to uwierzyć? - warczy matka, obrażona. - Ma teraz trudny okres. Potrzebowała matki.

- Pewnie tak.

Matka czule spogląda na Claire.

- Bidulka tyle już czasu nie może spać. Zawsze tak reagowała na stres, nawet w dzieciństwie. Jak jest naprawdę źle, to inaczej niż na moich kolanach nie zaśnie. Najpierw przyjeżdżałam do jej mieszkania, kiedy przeniosła się do miasta, potem jeździłam do domu Stephena. Umieję ją uspokoić.

- Nie wiedziałem.

- No proszę, oficjalnie przyznałeś, że nie jesteś wszytkowiedzący.

Wciskam się w oparcie i zamykam oczy, ogarnia mnie przygnębienie i poczucie winy z tysiąca powodów.

- Przepraszam cię, mamo. Wcale nie chcę taki być.

- Nie musisz mnie przeproszać - mówi matka, podnosząc wzrok. - Jesteś moim synem. Wystarczy, jak będziesz trochę bardziej uprzejmy. Nie masz monopolu na złamane serce.

- Wiem.

- To dobrze. A teraz bądź tak miły i dolej mi wina. Odwracam pustą butelkę do góry dnem.

- Chyba dość już wypijaś.

- Prosiłam, żebyś był ciut bardziej uprzejmy.
- Zostajesz na noc?
- Wstanę o świcie. Jak mnie ojciec rano nie zobaczy, straci orientację.
- Będziesz wykończona.
- Zdrzemnę się po południu. To dobra wprawka przed domem starców.

Matka zamyka oczy. W mroku nikną jej zmarszczki, znów wygląda jak dawniej, jak kobieta, która wieczorem kładła się w moim łóżku i opowiadała bajki, które zawsze zaczynały się tak samo: „Kiedy byłam piękna i młoda...” Zawsze przerywałam jej, mówiąc: „Nadal jesteś”, a ona całowała mnie w nos i odpowiadała: „To wyobraź sobie, jaka byłam wtedy”. A potem, po bajce, śpiewała mi na dobranoc piosenki z przedstawień. Do dziś, kiedy zapadam w sen, słyszę czasem jej głos nuciący *Don't cry for me Argentina*. A teraz matka drzemie na kanapie u swojego syna wdowca, ukołysawszy do snu córkę przyszłą rozwódkę, aby wkrótce popędzić do domu, żeby jej chory mąż nie wpadł w panikę i nie zdemolował pokoju.

- Mamo - mówię ochryłym głosem, kręcąc głową. Otwiera oczy.
- Już dobrze, Douglas.
- Wcale nie.
- Takie jest życie, tyle. Nie ma happy endów, są tylko szczęśliwe dni, chwile. Jedynym prawdziwym końcem jest śmierć, a jestem pewna, że nikt nie umiera szczęśliwy. Ceną za oddalenie śmierci jest to, że wszystko stale się zmienia. Jedyne, czego możemy być pewni, to to, że nic nie możemy na to poradzić.
- Przykro mi, że tak nam nie powychodziło - mówię. -To cię musi boleć.

Matka wzrusza ramionami.

- Gdyby wszystko było proste, to nikt by mnie nie po-

trzebował. Wyobraź sobie, co bym wtedy zrobiła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Wszystko musi się kręcić wokół ciebie.
- Życie jest sceną, a ja jestem gwiazdą przedstawienia.
- Pościelić ci łóżko?
- Daj mi koc. Zostanę tutaj - mówi, spoglądając na Claire z taką czułością, że odwracam wzrok. - A, Douglas?
- Tak?
- Nie zapomnij dolać mi wina.

Wieści o tym, że miejscowy wdowiec znów umawia się z kobietami, szerzą się jak wirus i wkrótce moja sekretarka jest pełna wiadomości od przyjaciół i sąsiadów, którzy opowiadają mi o rozwódkach i wdowach, które po prostu muszę poznać, o samotnych siostrach i kuzynkach, dla których stracę głowę. Claire dokonuje bezwzględnej selekcji, usuwając wiadomości, które nie spełniają jej kryteriów, a do wybranych oddzwania, wypytuje o absurdalne szczegóły, żąda zdjęć i drobiazgowych informacji na temat wcześniejszych związków.

- Chodzi mi tylko o to, żeby później nie było rozczarowania. Masz mojego mejla. Pogadamy, jak przyślesz zdjęcie.

- Że ma ładną buzię, to już mówiłaś. Ja pytam o tyłek. To proste pytanie. Daj no męża do telefonu.

- Cesarskie cięcie czy poród naturalny? Dobra. Dowiedz się i oddzwoń.

- To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Z całym szacunkiem, Rabbi, ale pańskie stanowisko nie jest gwarancją wrażliwości estetycznej.

Wreszcie Claire wybiera Suzanne Jasper, rozwódkę po trzydziestce, którą rai mi Mike. To jego sąsiadka, z którą on sam chętnie by się umówił, gdyby nie zakochał się po uszy w Debbie. Szybko przekonuję się, że mężczyźni, którzy żyją

w związkach, podsylają mi panny, których cichaczem pragnę, żebym się nimi zajął niejako w zastępstwie. Oni są chętni, ale nie mogą, więc ja powinienem. Mike opowiedział o tym, jak kilka lat temu życie Suzanne legło w gruzach, kiedy ja kąś czternastolatka, którą jej mąż nagabywał w czat roomie i z którą umówił się w motelu w Connecticut, okazała się agentem FBI tropiącym pedofilów. Sądząc po nerwowym zachowaniu podczas kolacji w Mineo's Italian Bistro, Suzanne jeszcze nie doszła do siebie. Uśmiech ma wymuszony, jakby podnosiła pod stołem ciężary, za to śmiechem - rwanym i wysokim - wybucha zbyt szybko. Ale ma burzę blond włosów, zamglone, błękitne oczy i solidną dawkę autoironii. Polubiła mnie od pierwszej chwili, bo nie jestem łysy, nie mam byłej żony ani dzieci, z którymi jej własne musiałyby rywalizować. Poza tym nazaczył mnie akt boski. Jestem pociągający po przebytej tragedii, młody, szczupły, smutny i piękny.

Problem z randkami polega na tym, że zawsze mówi się o tym, czym się kto zajmuje, co w moim wypadku oznacza opowiadanie o felietonach, czyli o Hailey, a wcale nie mam na to ochoty. Rozmawiamy więc o dzieciństwie i rodzeństwie - tu mam pole do popisu, zważywszy na siostrę bliźniaczkę - a potem mówimy o filmach - świetna sprawa, i tak wszystkie widziałem - potem o studiach i wreszcie z dna worka z zestawami tematów do rozmowy wyciągamy „nieudane randki”.

Wszystko idzie dobrze - przynajmniej na tyle, na ile może iść dobrze pomiędzy dwojgiem ludzi po przejściach, których życie legło w gruzach w ciągu chwili. Ona jest bezsprzecznie seksowna, więc łapię się na tym, że zastanawiam się, jak by to było ją pocałować i jakie ma na sobie majtki, kiedy nagle dzwoni jej komórka.

- Cholera - mówi, trzaskając klapką. - Sam się rozchorowałem.

Suzanne ma dwóch synów: Sama i Masona. Kiedy godzinę wcześniej po nią podjechałem, robili sympatyczne wrażenie, ale teraz Sam,

pięciolatek, stoi na krześle i gwałtownie wymiotuje do zlewu, a Mason, trzylatek, siedzi na kuchennym stole i wyje wniebogłose. Opiekunka - pulchna licealistka, której usta wypełnia aparat dentystyczny, a brodę przysłaniają zaskórniki wielkości monet - rozgląda się w panice, a widząc Suzanne, praktycznie rzuca się jej do stóp.

- Chryste! Jakim cudem tyle zwymiotował? - pyta Suzanne, widząc kałużę rzygowin na podłodze w korytarzu.

- To ja - mówi zawstydzona panienska. - Zemdliło mnie od tego smrodu.

- Wspaniale - mówi Suzanne ponuro. Wyciąga z torebki dwudziestodolarowy banknot. - Wiesz co, Dana, idź już do domu.

- Na pewno? - pyta uprzejmie Dana, ale już wsuwa pieniądze do kieszeni i kieruje się w stronę drzwi.

Suzanne wbiega do kuchni i kładzie rękę na ramieniu Sama.

- Już dobrze, kochanie. Mamusia wróciła.

Sam zerka na matkę - twarz i koszulkę ma umorusane zaschniętymi wymiocinami - i wydaje z siebie smutny skowyt, po czym odwraca się do zlewu i dalej wymiotuje.

- O, Boże - mówi Suzanne, dotykając jego szyi. - Jest rozpalony.

Tymczasem Mason nie przestaje wyć, więc podchodzę do niego, żeby go uspokoić, ale on cofa się i spada ze stołu, uderzając głową o kant. Do tej pory sądziłem, że drze się najgłośniej, jak potrafi, ale dopiero teraz okazuje się, że ma znacznie szerszą skalę głosu: wydaje z siebie wrzask mrozący krew w żyłach, od którego stają mi włoski na szyi. Wydziera się tak długo, że zaczynam się martwić, czy się nie zadusi i nie zemdleje albo co gorsza nie dostanie dziecięcego zawału. Suzanne bierze go na ręce i mówi:

- Oddychaj, kochanie - podczas gdy Sam dalej w najlepsze chlusta do zlewu. - Spokojnie, Mason. Pan chciał ci pomóc.

- Lodu! - wrzeszczy Mason.

- Podasz lód z zamrażarki? - pyta Suzanne.

- Jasne odpowiadam. Chyba aż tak mocno się nie huknął.

- Lodu! - wydziera się Mason, patrząc na mnie spode łba z ramion matki.

- Lubi lód - tłumaczy Suzanne, przeczesując mu włosy palcami.

W zamrażarce jest worek żelowy, taki jak do lodówek turystycznych. Gdy tylko przystawiam go do czoła Masona, on natychmiast milknie, jakby ktoś wyłączył przycisk. Suzanne daje mi go na ręce, a ku mojemu zdziwieniu on chętnie się we mnie wtula, przytrzymując okład z namaszczeniem. Suzanne moczy ścierkę, jedną ręką wyciera Samowi szyję i plecy, a drugą ściąga mu koszulkę z zaschniętymi wymiocinami, szepcząc do niego i gaworząc. Taki pokaz matczynej kompetencji, naturalna mieszanka współczucia i skuteczności, jest dla mnie czymś wyjątkowo pociągającym - tym bardziej że sam ożeniłem się z samotną matką - a jednak pozostaję niewzruszony, może przez ten nieznośny fetor.

Sam ma 1041 stopnie Fahrenheita, Suzanne przesyła wiadomość na pager pediatry, ale po chwili postanawia jechać z małym na pogotowie. Przedwcześnie zwolniwszy opiekunkę, którą dopadły mdłości, ma przed sobą alternatywę: albo zabierze Masona ze sobą, albo poprosi mnie, żebym z nim został.

- Strasznie cię przepraszam - mówi, zakładając Samowi czystą koszulkę. - Nic innego teraz nie wymyślę.

- Spokojnie - odpowiadam. - Świetnie sobie radzę z dziećmi.

- Już dawno powinien spać. Pójdę go położyć. Posiedź na dole, obejrzyj jakiś film. W ogóle nie będziesz musiał się nim zajmować.

- Nie ma sprawy. Chętnie pomogę. Powiedz tylko, gdzie trzymasz mop.

- Mop?

- Zwykle wycieram rzygi dopiero na trzeciej randce, ale z tobą jakoś szybciej się oswoiłem.

- Przepraszam, że tak wyszło - mówi Suzanne z uśmiechem. - Wynagrodzę ci to, słowo. - Ledwie wypowiada te słowa, a już błędnie na myśl, że mogły zabrzmieć jak aluzja do seksu.

- To nic takiego, naprawdę.

- Nie musisz sprzątać.

- Muszę, wiem, co mówię.

Suzanne zanosí Masona do jego pokoju, ja zostaję w korytarzu z Samem, który wygląda jak najmłodsza na świecie ofiara kaca - opiera się o ścianę i nieprzytomnie przeciera oczy.

- Dobrze znam ten stan - pocieszam małego, serdecznie mu współczując.

Po kilku minutach Suzanne schodzi na dół, pospiesznie zakłada synowi kurtkę i lekko popycha go w stronę drzwi.

- Rozgość się - mówi do mnie. - Jedz i pij, co tylko chcesz. - I już jej nie ma.

Sprzątanie wymiocin to wcale nie taka prosta sprawa. Mop rozmazuje je tylko po podłodze, więc sięgam po ręczniki papierowe - zużywam trzy rolki. Potem znów zmywam całą powierzchnię mopem, którego nie da się już uratować, więc pakuję go z zużytymi ręcznikami do plastikowego worka i wynoszę do garażu. Naharowałem się jak wół i jeszcze spryskałem podłogę lizolem, a jednak smród dalej mnie prześladowuje - nic dziwnego, na spodniach, tuż nad kolanem, odkrywam plamę zaschniętych wymiocin w kształcie Włoch.

W komórcie przy kuchni jest pralka i suszarka - ściągani spodnie i zalewam je płynem do prania. Nastawiam program „mocno zabrudzone” i paraduję po domu w obcisłych białych gatkach, oglądając rozstawione po pokoju zdjęcia - ewidentne dowody na chirurgiczne usunięcie byłego męża z życia potem szperam w spiżarni i lodówce, żeby coś przekąsić. W szafce nad lodówką znajduję butelkę Johnniego Walkera i przez chwilę się waham, ale przede mną w końcu długa noc, a Suzanne powiedziała, że mogę jeść i pić, co chcę, więc wyciągam whisky, krakersy Ritz i karton soku Sesame Street na popitkę i rozsiadam się w dużym pokoju, żeby pooglądać telewizję. Okazuje się, że kablówka to tylko podstawowy pakiet, o czym Suzanne sprytnie mnie nie uprzedziła, bo kto wie, pewnie nie zaoferowałbym się zostać. Co kanał, to serial medyczny albo program o policji - jakiś odstawiony glina ślęczy w nowoczesnym laboratorium przypominającym klub nocny i usiłuje zbudować napięcie, badając dowód w postaci nitki - a kolekcja płyt składa się niemal wyłącznie z kreskówek Disneya. Przez jakieś pół godziny bezowocnie przeskakuję po kanałach, a tu raptem okazuje się, że wypilem jedną trzecią butelki. Kiedy wstaję, uda głośno odklejają się od skórzanej kanapy, jakbym obierał mięsisty owoc.

Z lekka wstawiony idę sprawdzić, jak moje spodnie. Pranie się skończyło, więc wrzucam je do suszarki i szukam łazienki. Ta na dole jest w trakcie remontu: drzwi są zaklejone folią, przez którą widać skute ściany, sterczące pręty i druty, idę więc na górę. Zapadam się w miękkiej wykładzinie, a skarpety elektryzują się tak, że kiedy dotykam ręką tapety, czuję, jak prąd przechodzi mi przez palce. Łazienka w korytarzu jest zagracona zabawkami do kąpieli, a na sedesie leży nakładka dla dzieci w kształcie pączka z dziurką, ale nie wygląda zbyt czysto, więc postanawiam skorzystać z łazienki Suzanne. Żeby się tam dostać, muszę przejść przez jej sypialnię, co ona może uznać za naruszenie jej prywatności, ale

w końcu zmyłem rzygi i pilnuję jej syna, więc chyba takie pierdoły mamy już za sobą. Poza tym sama powiedziała, żebym się czuł jak u siebie, a w domu nie odlewam się na plastikowego, zaszczanego pączka z dziurką, z którego wyziera na mnie Ciasteczkowy Potwór, szczerząc się jak łazienkowy letyszysta.

W ciemnoszarej sypialni Suzanne jest wielkie łóżko z pikowanym, skórzanym zagłówkiem, a na nim komplet satynowej pościeli w kolorze wina. To seksowny mebelek, który każe mi trochę inaczej spojrzeć na Suzanne, podobnie jak nie jeden, ale dwa identyczne wibratory w górnej szufladzie szafki nocnej, którą przypadkowo otwieram - ta kobieta najwyraźniej traktuje swoje orgazmy na tyle poważnie, że zafundowała sobie awaryjny sprzęt, i jeszcze jeden, na zapas. Nieskrępowanie popijając johnniego walkera, wchodzę do łazienki, w której został rozgardiasz po przygotowaniach do randki: suszarka, spinki, szczotki, kredki do oczu, szminki i inne akcesoria walają się dosłownie wszędzie. Ogarnia mnie pijackie wzruszenie na myśl, że kolacja ze mną kosztowała ją tyle zachodu.

Wychodzę z łazienki i postanawiam na chwilę się położyć. Zapadam się w miękki materac i rozkoszuję dotykiem chłodnej satyny na gołych nogach. Na stoliku nocnym stoi zdjęcie: Suzanne z przyjaciółką w strojach bikim unoszą drinki z palemkami w jakimś przyhotelowym barze w tropikach. Stawiam ramkę na swoich piersiach i przyglądam się Suzanne. Nie przestaję się zastanawiać, czy gdyby randka wypadła jak trzeba, to wylądowalibyśmy tutaj, w tym miękkim, seksownym łóżku. Podczas kolacji nic na to nie wskazywało, ale teraz, kiedy moszczę się w pościeli, taki scenariusz wydaje mi się całkiem prawdopodobny. Zamykam oczy i usiłuję sobie przypomnieć wyraz twarzy Suzanne podczas kolacji, szukam wskazówek, oznak skrywanej zmysłowości, wyobrażam sobie ciąg zdarzeń, od wymuszonej rozmowy

w restauracji po zrzucanie ubrań i pieszczoty w karmazyno wej miękkości. Suzanne - zdaje się, że Journey miał kiedyś taką piosenkę. Mruczę kilka taktów, ale nie mogę przypomnieć sobie słów. W końcu to zespół sprzed lat.

- O, Chryste! - głos Suzanne wyrywa mnie ze snu jak hak wbity w oko. Zezując w oślepiającym świetle, widzę ją w drzwiach - odwraca twarz Sama i przyciska ją do swoich ud, jej oczy pulsują w szoku, usta ma szeroko otwarte, drży jej szczeka.

- Suzanne - mówię, unosząc się chwiejnie. Siadając, zrzucam ramkę z piersi i zalewam kołdrę whisky - butelkę trzymałem między udami; później dotarł do mnie nieco falliczny wydźwięk tej sceny.

- Co ty do cholery wyprawiasz? - wrzeszczy.

- Posłuchaj - mówię, przecierając oczy, a pokój wiruje jak karuzela. - Wszystko pod kontrolą.

- Co za drań. W tej chwili zakładaj spodnie i wynoś się z mojego domu!

Kiedy turlam się z łóżka i słaniam się w jej stronę, jej twarz wykrzywia wściekłość i obrzydzenie. Wyciąga przed siebie ręce, cofając się z odrazą pod ścianę.

- Nie zbliżaj się! - W korytarzu Mason zaczyna płakać. O, matko! Mason! - Wybiega z pokoju, ciągnąc za sobą Sama.

Obrazy docierają do mnie w zwolnionym tempie: oszołomiony zbiegam po schodach, serce mi wali, uda drżą, otwieram drzwiczki od suszarki. Zapomniałem ją włączyć. Wyjmuję ciężkie, mokre, zimne spodnie i z trudem je na siebie wciągam. Wbiegam na górę. Staję w drzwiach do pokoju Masona, Suzanne siedzi na jego łóżku, maluchy zawodzą i wtulają buźki w jej kolana.

- Suzanne - mówię.

Jej oschłe spojrzenie niesie ładunek nuklearny, od którego wszystkie moje narządy kurczą się jak gąbka.

- Wyjdź - mówi.

Dociera do mnie, że tego nie da się naprawić, że nie ma wyjaśnienia, które ona zaakceptuje. Od tej chwili już na zawsze pozostanę gościem, którego nakryła pijanego i półnagięgo w swoim łóżku. Kiedy kolejnemu facetowi będzie opowiadać o nieudanych randkach, ja będę na pierwszym miejscu. Kacet pokręci głową ze współczuciem, a ona wzruszy ramionami i zabłyśnie autoironią, żaląc się, że widocznie działa jak wabik na drani i zboczeńców. Mam poczucie niesprawiedliwości, skoro zostanę zaliczony do tego grona, ale nie mogę złożyć odwołania. Co się stało, to się nie odstanie, nie zostaje mi nic innego, jak pokiwać smutno głową, podciągnąć opadające, zimne, mokre spodnie i uaktualnić stale wydłużającą się listę moich karygodnie zakończonych randek.

Jadąc do domu, wpadam w histeryczny śmiech. A może to płacz? Sam nie wiem, jak sklasyfikować wysokie warknięcia dobywające się z mojej krtani, wystrzelające seriami z gardła. Tak czy inaczej, piersi przeszywają mi gorące, ostre spazmy, od których nabrzmiewają moje poharatane wnętrzności.

W kolejnych tygodniach zaliczam tyle gównianych randek, że można by z nich sklecić scenariusz musicalu. Włączcie płytę i patrzcie, jak Doug przymierza ubrania i przegląda się przed wielkim lustrem, wysłuchując instrukcji Claire, która zaśmiewa się na łóżku. Zobaczcie, jak przesiaduje w restauracjach i kawiarniach z różnymi, mniej lub bardziej atrakcyjnymi zwyciężczyniami castingu. Seria ujęć kolejnych kobiet przy stoliku: jedna peroruje, druga milczy, trzecia z namaszczeniem ściera sos z liścia sałaty, kolejna dyskutuje zawzięcie, grożąc palcem, jeszcze inna wybucha płaczem albo wciąga niemożliwie długą nitkę spaghetti. Migawka kadrów: Doug odwozi kolejne babki do domu lub odprowadza do mieszkania, wymienia uścisk dłoni albo niezręcznie manewruje między uściskiem a niewinnym pocałunkiem na do widzenia. Wyostrzenie drugiego planu: kobiece twarze,

na których maluje się smutna pewność, że oto kolejny facet, który więcej do nich nie zadzwoni, potem wyostrzenie pierw szego planu: Doug idzie do samochodu, jego mina wyraża to talną beznadzieję. Trzeba by tylko dobrze trafić ze ścieżką dźwiękową. Najlepszy byłby jakiś wolny utwór z wyraźnym rytmem: burkliwy głos palacza wyśpiewuje zaprawione iro nią romantyczne słowa, które najlepiej oddają poczucie daremności, nudy, straconego czasu; które obnażają niezręczność początków i końców spotkań, bezcelowość rozmów, o których natychmiast się zapomina; z których wyłania się smutek kobiet po przejściach, które na skutek trafu wpuściły Douga do swojego życia. Piosenkę kończą cichnące mollowe akordy pianina: Doug jedzie do domu, szyby samochodu są otwarte, a on bezmyślnie wpatruje się w pustą drogę.

Wreszcie którejś bezsennej nocy wyciągam z portfela wizytówkę Brooke Hayes i wykręcam numer jej komórki. Odbiera po piątym sygnale.

- To ja. Doug Parker.
- Cześć, Dougu Parkerze - mówi sennie.
- Obudziłem cię. Przepraszam.
- Nie szkodzi. Co tam?
- Nic.
- Która godzina?
- Pierwsza.
- O.
- Przepraszam, głupi jestem. Spij dalej.
- Masz dziwny głos.
- Trochę się upiłem.
- Wszystko w porządku?
- Tak.
- To dobrze.
- Kłamię. Wcale nie.
- Co się dzieje?

- Zacząłem spotykać się z kobietami.
- O. To chyba krok w dobrym kierunku, co?
- Bo ja wiem. Niedobrze mi z tym, niezręcznie i w ogóle beznadziejnie.
- Ale się umawiasz. Dobra nasza. - Następuje chwila ciszy, słyszę tylko oddech Brooke, nadal ciężki od snu. - Halo - mówi po chwili.
- Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro, koło południa wybieram się do kina. Może i ty pójdziesz.
- Aha. A na co idziesz?
- Na co chcesz.
- Zobaczę, co się da zrobić - mówi Brooke, śmiejąc się.

Brooke pojawia się w kinie w długiej, zwiewnej spódnicy z falbanami i obcisłym T-shircie, włosy upięła po bokach spinkami, odsłaniając plejadę kółeczek i sztyftów w uszach. Emanuje z niej niewymuszony wdzięk, swoboda i odprężenie, mam ochotę musnąć ją palcami po twarzy.

- Zostałam zgwałcona.

To zdanie pada bez żadnych wstępów, podczas seansu Oglądamy jakiś remake filmu o żywych trupach - jakby nie można było napisać nowego scenariusza - Brooke go wybrała, jesteśmy sami na widowni.

- Co takiego? - pytam.

- Byłeś ciekaw mojej tajemnicy - mówi nonszalancko sięgając po mój napój. - Zostałam zgwałcona. Dwa lata temu'

Przekręcam się, żeby na nią spojrzeć, ale ona nieustępliwie wpatruje się w ekran - żywe trupy zbierają się właśnie pod szklanymi drzwiami centrum handlowego, w którym zaszyli się ostatni ocalali ludzie.

- Chcesz wyjść? - pytam. - Pójść dokądś? Pogadać?

- Nie - odpowiada. - Tu jest dobrze.

- Ale słabo słyhać, kiedy strzelają.

- Mnie nie przeszkadza.

- Co się stało?

- Chodziłam na jogę. W mojej grupie był taki jeden, Benny. Napakowany mięśniak. Odprowadzał mnie do domu, jak Greg nie mógł po mnie przyjść.

- Greg?

- Narzeczony.

- A.

- Flirtował ze mną, ale w taki nieszkodliwy sposób. Wydawało mi się, że traktuje mnie jak młodszą siostrę, zawsze się mną opiekował, uważał na mnie. Był pewnie ze dwa razy starszy. Uprawiał jogę od lat. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, ale takich raczej się nie podejrzewa. No i któregoś wieczoru odprowadził mnie do domu i spytał, czy może skorzystać z toalety. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś knuje, ale ledwie wszedł, przyparł mnie do ściany, powiedział, że mnie kocha i musi mi dać dowód. Kazałam mu przestać, ale mnie zignorował, a kiedy usiłowałam go odepchnąć, przywalił mi w twarz - lekko, tylko tak, żeby pogrozić, że następnym razem będzie mocniej, rozumiesz. Że jak będzie trzeba, rozwali mi głowę. Był ogromny, dużo większy od innych facetów z grupy. Spojrzał mi prosto w oczy i walnął mnie raz jeszcze, żeby pokazać, że wcześniej to nie było przez przypadek. A potem wziął mnie za rękę, jakby był moim chłopakiem, zaciągnął do łazienki i zgwałcił.

- Jezu - wykrztuszam.

- Chciałeś wiedzieć. - Brooke kiwa głową.

- A Greg? Nie mógł się z tym pogodzić?

- Z tym, że zostałam zgwałcona - mógł. - Brooke odwraca się w moją stronę. - Dręczyło go, ale był gotów z tym żyć. Nie mógł za to pogodzić się z tym, że ja się kompletnie nie załamalam.

- Jak to? Brooke wzdycha.

- Zdaje się, że byłam kiepska w roli ofiary gwałtu. On

spodziewał się tych wszystkich symptomów posttraumatycznych negostresu, o których mówią w telewizji: koszmarów sennych, napadów płaczu, chudnięcia, paranoi. Ale ja doszłam do siebie całkiem szybko. Nie zaprzeczałam prawdzie. Do brzo wiedziałam, co mnie spotkało. Ale byłam cała, nie zaśłam w ciążę, miałam wielu przyjaciół, byłam zakochana, widziałam dobre strony życia. Przez kilka dni byłam smutna, potem wytłumaczyłam sobie, że to był pech - coś jak wypadek samochodowy - i dłużej się nad tym nie zastanawiałam. Wydawało mi się, że to całkiem zdrowe podejście - zresztą nadal tak myślę - ale Greg nie mógł tego znieść. Zachowywał się tak, jakby ktoś go wyrugował z roli pomocnego partnera. Potem przeszło mu w złość i uznał, że może nawet mi się to podobało, może nawet byłam temu winna. W końcu to urosło do jakichś niewyobrażalnych rozmiarów, przestał ze mną sypiać, zachowywał się tak, jakbym go zdradziła, a po jakimś czasie ja sama zaczęłam się zastanawiać, czy on przypadkiem nie ma racji - to było tak, jakbym znów została zgwałcona. Zaplątaliśmy się w spiralę paradoksu: on mógłby się pogodzić z tym, że zostałam zgwałcona tylko wtedy, gdybym ja nie mogła się z tym pogodzić.

- Więc zerwaliście? Brooke kiwa głową.

- Oczywiście dopiero po fakcie zrozumiałam, że przeżyłam traumę, że byłam wściekła na Grega, bo go nie było i mnie nie obronił, i że ten mój wspaniały stan był niczym innym, jak tylko karą dla niego, bo wiedziałam, że w końcu doprowadzę go do szału. Dopiero po rozstaniu tak naprawdę dotarło do mnie, co się stało, i wtedy wszystko się zaczęło: koszmary, przepłakane dni, wszystkie te cudowności. Przeszłam załamanie.

- A jak wylądowałaś w New Radford?

- Musiałam się wyprowadzić od Grega, a nie stać mnie

było na wynajem. Więc wróciłam do domu. - Uśmiecha się. - Mam dwadzieścia siedem lat i nadal mieszkam z rodzicami. Nie ma co, dobry ze mnie wzór dla uczniów.

- Związałaś się z kimś po Gregu?

Kręci głową. .

- Miałam kilka falstartów. Zawsze przychodził taki moment, kiedy musiałam powiedzieć o gwałcie, a faceci albo nie chcieli mnie dotykać, albo udawali macho, albo głupieli. Potem postanowiłam nie mówić, ale związek trafiał szlag, bo stale czułam, że coś ukrywam.

- Tak źle i tak niedobrze.

- Mam potrzebę podzielenia się tym z facetem, ale chciałabym, żeby zrozumiał i dalej tak samo na mnie patrzył.

- Mnie powiedziałaś.

- Ale z tobą nie chodzę na randki.

- A to nie jest randka?

- Żywe trupy i popcorn?

- Nie mówiłem, że udana.

Brooke przekręca się na siedzeniu i przez dłuższą chwilę się we mnie wpatruje. Ekran rozświetla wybuch, jej ciemne oczy błyszczą w świetle spadających gwiazd, jej mądry uśmiech sprawia, że mięknie mi serce. Nie dostrzegłem wcześniej małego zagłębienia w koniuszku górnej wargi, nieco na lewo; to stary ślad po trądziku, który lekko wżera się w skórę ust i zakłóca ich zarys plamką bezbarwnej tkanki bliznowatej. Podoba mi się ten ślad. Nie lubię ideałów - są plastikowe, zimne i niewzruszone. Prawdziwe piękno wymaga uziemienia i na tym polega rola drobnych niedoskonałości. Zapewniają kontekst, punkt odniesienia. Blizna na górnej wardze jest jak haczyk, jak uszkodzone jądro nerwu, z którego wszystko bierze początek.

- Nie - mówi Brooke. - To na pewno me randka. Na randce trzymalibyśmy się za ręce.

Przygląda mi się, kiedy powoli sięgam po jej dłoń, i roz kładą palce, żeby je spleść z moimi, miękko pociera moją dłoń kciukiem i kładzie mi głowę na ramieniu.

- Zmieńmy salę. Trzeba znaleźć inny film - mówi.

- Jaki?

- Taki, który trwa najdłużej.

Nie wypuszcza mojej dłoni, nawet kiedy w ostrym świetle holu przemykamy się do innej sali. Biorę to za dobry znak.

Następnego ranka schodzę na dół, a tam Claire, wystrojona w blezer, spódnicę i buty na obcasach, pośpiesznie sprawdza makijaż w lustrze w korytarzu.

- Co się tak odstawiłaś? - pytam, siadając na najniższym stopniu.

- Wcale się nie odstawiłam - odpowiada, wpatrując się w swoje odbicie. - Po prostu ładnie się ubrałam. Nie wszystkim odpowiada twój styl, czyli chodzenie w dzinsach i koszulce, w których się spało.

Claire poprawia niedostrzegalny, niesforny kosmyk i ściąga usta, jak to kobiety zwykle robią po nałożeniu szminki -zawija wargi tak, że na chwilę znikają. Siedząc na schodku w bokserkach, znów czuję się jak dzieciak wpatrzony w matkę, która szykuje się na próbę. Matka malowała się, a potem długo jeszcze stała przed lustrem, a ja powtarzałem z nią rolę - czytałem skrypty, z których niewiele rozumiałem, a ona studiowała swoje odbicie, powtarzała kwestie i ćwiczyła miny i ruchy głową. Potem mówiła: „trzymaj kciuki”, a ja odpowiadałem „połamania nóg”, ona całowała powietrze tuż przy mojej szyi i wychodziła, a ja modliłem się, żeby tym razem się udało, żeby została gwiazdą, żebyśmy się przenieśli do Hollywood, gdzie dołączę do fajowych hollywoodzkich dzieciaków, będę się odlatowo ubierał, chodził na premiery

i spotykał z pięknymi, chmurnymi laskami w nocnych klubach. Kiedy tak przypatruję się Claire, doznaję szoku, bo uzmysławiam sobie, jak bardzo jest podobna do matki, i już mam ochotę jej to powiedzieć, ale choć uroda matki pozostaje kwestią bezdyskusyjną, to jednak obawiam się, że Claire mogłaby nie uznać tego za komplement.

- Dokąd idziesz?
- Mam wizytę u położnika.
- Wszystko w porządku?
- Rutynowe USG.
- A dlaczego się stroisz dla ginekologa?
- Dla niego się woskuje. Stroję się dla siebie.
- Iść z tobą?
- Nie, już i tak jestem spóźniona.
- Daj mi pięć minut.

Claire odwraca się i przeczesuje palcami moje brudne, potargane włosy.

- Samo czesanie zajmie ci dziesięć.
- Mówię serio.
- Ja też - odpowiada, rzucając mi uśmiech zza progu. -Widziałeś, co masz na głowie?

Po jej wyjściu odtwarzam w myślach naszą rozmowę i coś w tonie jej głosu zaczyna mnie niepokoić. Dzwonię do Debbie na komórkę.

- Właśnie wchodzę na spotkanie - mówi ściszym głosem.
- To wyjdź, muszę cię o coś spytać.
- Zadzwoń później.
- Powinienem był pójść z Claire do ginekologa?
- Co?
- Właśnie pojechała.
- Zaczekaj chwilę. - Słyszę stłumiony hałas i trzask drzwi, a potem znów głos Debbie. - Poszła sama?
- Powiedziała, że to nic takiego.

- Jak to nic takiego? Dawno wyszła?
- Przed chwilą.
- Wiesz, do którego lekarza?
- Nie.
- Zadzwoń do mamy. Zobaczymy się na miejscu.
- A twoje spotkanie?
- Doug - mówi, wzdychając. - Claire jest w fatalnym stanie, nie zauważyłeś?

Przypominam sobie Claire skuloną jak dziecko na kanapie, śpiącą na kolanach matki, i nagle dociera do mnie, że chyba coś przegapiłem.

- Psiakrew - mówię, czując się jak dupek.
- Doug - mówi Debbie łagodnie.
- Wiem - przerywam jej. - Staram się.
- To staraj się bardziej. Ona cię potrzebuje.
- Wiem.
- Ja też.
- Mała - mówię, ale ona już się rozłączyła.

Godzinę później siedzimy w klinice przy szpitalu Lenox Hill. Przyjmuje tu pięciu lekarzy, których nazwiska wygrawerowano na drzwiach z matowego szkła; poczekalnię wypełnia tłum milczących kobiet - wszystkie mają na twarzach cierpliwy uśmiech. Pierwszy raz jestem w poczekalni ginekologa położnika i wydaje mi się, że cząsteczki estrogenów niemal unoszą się w powietrzu. Podobnie jak Claire, wszystkie pacjentki elegancko się ubrały i umalowały, a mnie jednocześnie ujmuje i dziwi to, że kobiety czują potrzebę specjalnego wyszykowania się dla kogoś, przed kim rozchylą nogi, nawet w warunkach szpitalnych. Przyszłe matki w mniej lub bardziej zaawansowanej ciąży siedzą w niewygodnych pozycjach obok niespokojnych mężczyzn, którzy wiercą się jak dzieci, zerkają na zegarki, wertują gazety, bezcelowo postukują w klawisze urządzeń bezprzewodowych albo ściszone

głosem rozmawiają z żonami, które spokojnie przeglądają pisma kobiece, odpowiadają im, nie podnosząc głów, albo pomrukują cichutko w rytm soft rocka dyskretnie sączącego się z głośników.

Od jakiegoś czasu usiłujemy dogadać się z małą przy jemną recepcjonistką. Wtem wpada matka, zarumieniona i nieco zadyszana.

- Mamo - mówię zaskoczony. - Co tu robisz?

- Gdzie Claire? Coś przegapiłam?

- Właśnie próbujemy się do niej dostać - tłumaczy Debbie, odwracając się do recepcjonistki. Panienka łypie posepnie, ma sztuczne rzęsy, więcej szminki niż samych ust, małeńki diamentowy sztyft w kąciuku nozdrza, który wygląda jak świecąca krosta, i kolorowe pazury jak zakrzywione szpony.

- Podczas badania nikogo nie wpuszczamy - mówi hardo.

- Rozumiem - odpowiada Debbie podobnym tonem. Tylko że, widzi pani, jesteśmy jej rodziną, a ona chciała, żebyśmy przy niej byli. Trochę się spóźniliśmy.

- Nic nie wspominała. Mogę wpuścić tylko ojca dziecka.

- Ojca nie ma - odpowiada Debbie. - Siostra jest samotną matką. Chyba pani rozumie, że przydałoby się jej nasze wsparcie.

- Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić.

Matka podchodzi do pulpitu i wbija wzrok w dziewczynę.

- Jestem jej matką.

Dziewczyna kiwa głową obojętnie, po czym odbiera telefon.

- Gabinet, słucham - mówi do słuchawki, nie spuszczać wzroku z matki.

Matka przypatruje się jej przez dłuższą chwilę, powoli kiwa głową, uśmiecha się słodko i nie odrywając od niej oczu, wydziera się na cały głos: „Claire!”, czym praktycznie wbija zszokowaną panienkę w fotel. Matka nie czeka, aż jej ofiara dojdzie do siebie, tylko odwraca się na pięcie i idzie długim korytarzem w stronę gabinetu.

Tłumek w poczekalni obserwuje ją z zaciekawieniem, recepcjonistka skacze na równe nogi i woła:

- Proszę pani, tak nie wolno!

- Claire! - krzyczy matka, znikając za zakrętem. Patrzymy z Debbie na siebie i pędzimy za nią, a za nami recepcjonistka.

- Tam nie wolno wchodzić! - mówi, łapiąc Debbie za ramię.

Debbie odwraca się gwałtownie, oczy jej płoną.

- Zabierz tę rękę. Może ci się jeszcze przydać - syczy. Dziewczyna posłusznie wypełnia polecenie i cofa się, wzruszając ramionami.

- Jak chcecie - mówi.

Z jednego z gabinetów wychodzi facet w moim wieku, w kitlu z plaketką „technik medyczny”.

- Przepraszam państwa - mówi, kierując się w naszą stronę. - Mogę w czymś pomóc?

- Claire! - matka wydziera mu się prosto w twarz.

- Hej! - facet wrzeszczy na matkę w odwecie. Wtem dobiega nas głos Claire.

- Mama?

- Claire, kochanie?

- Mamo!

Idąc za głosem, mijam technika i z rozmachem otwieram drzwi. Półnaga kobieta na fotelu wpada w histerię. Lekarz siedzący między jej nogami wychyla głowę jak mechanik majstrujący w podwoziu i przesuwa się na obrotowym stołku, odsłaniając przede mną przekrój poprzeczny pochwy w całej okazałości - ten widok po dziś dzień prześladuje mnie w snach jak zły duch.

- Pomyłka - tłumaczę wśród okrzyków oburzenia i zatrząskuję z hukiem drzwi, bo technik ciągnie mnie do tyłu.

Matka otwiera drzwi obok, a tam na leżance, w papierowym fartuchu, z odkrytym brzuchem, leży na wznak Claire

i wykręca głowę, żeby zobaczyć obraz na monitorze. Lekarz nie odrywa sondy od jej brzucha i odwraca się w naszą stronę.

- Dzień dobry - mówi oszołomiony. - W czym mogę państwu pomóc?

- To moja rodzina - mówi Claire i zaczyna szlochać.

- Kochanie! - krzyczy matka. Podbiega do Claire, żeby ją utulić, i paprze sobie całą bluzkę w błękitnym żelu.

- W porządku, Will - mówi lekarz do technika, który wtedy mnie puszcza. - Wejdźcie.

Stajemy wokół Claire, a lekarz znów uruchamia sondę.

- No więc - mówi - właśnie pokazywałem Claire serce jej dziecka. - Na ekranie widać jasny trójkąt światła, jakby ktoś otworzył właz do piwnicy. W oświetlonym polu są jakieś dwie białe skrzyżowane żyłki, a między nimi maleńkie pulsujące ziarenko. Doktor przykładła do brzucha Claire inne urządzenie, a gabinet wypełnia się rytmicznym syczeniem i szybkimi uderzeniami *staccato*.

- Och, Claire - wzrusza się matka, kładąc rękę na ramieniu córki. Oczy zachodzą jej łzami.

- Wiem-jęczy Claire, nadal płacząc.

- Dzielnny maluch - mówi Debbie, biorąc Claire za rękę. Lekarz nastawia przetwornik, a na ekranie pojawia się

profil dziecka: nieproporcjonalnie wielka głowa, zarys nosa. maleńkie ramionka wyciągnięte do przodu, złączone jak do modlitwy.

- O, Boże - piszczy Debbie.

- Ma jakieś dwanaście tygodni - mówi lekarz.

- Będę miała dziecko - mówi Claire w zadumie, wpa trując się w ekran.

Widzę ten obraz.i nagle ogarnia mnie niepojęta pewność, że ja też bym tak mógł. Że mógłbym począć dziecko, patrzeć, jak rośnie w łonie, czekać, aż przyjdzie na świat - doskonale i nienaruszone - a potem poświęcić się temu, aby jak naj-

dłużej takie pozostało. Dociera do mnie, że są ważniejsze i głębsze uczucia niż radość i smutek, i choć zdaję sobie sprawę, że w tej chwili jestem w rozsypce, to może z czasem uda mi się przekuć ból i niepewność na choćby krzytną mądrość, dzięki której będę dobrym ojcem. Chyba po raz pierwszy w życiu wydaje mi się, że to całkiem prawdopodobna opcja, a nie perspektywa, która już na etapie czysto hipotetycznych rozważań sprawia, że zlewa mnie zimny pot.

- Chłopiec czy dziewczynka? - pytam.

- W tej pozycji trudno powiedzieć - odpowiada lekarz.

- Dziewczynka - mówi Claire, patrząc na mnie i uśmiechając się przez łyzy.

- Skąd wiesz?

- Bo nazwę dziecko Hailey, więc jeśli urodzi się chłopak, to będzie musiał szybko nauczyć się bić.

I wtem wszystko się zamazuje. Claire przyciąga mnie do siebie, a ja zamykam oczy i wokół nie ma już nic, tylko nowiutkie, rosnące serce, które wypełnia gabinet rytmicznym odgłosem swojej zachłanności na życie.

Rodzice Brooke mieszkają w skromnym domu z półpię trem, który przywodzi na myśl serial *Grunt to rodzinka*, na południowym krańcu New Radford, gdzie budynki są polożone gęściej i bliżej ulicy, zaledwie kilka przecznic od Jima i Angie. Ojciec Brooke jest inżynierem, a matka ławnikiem oboje są jeszcze w pracy, kiedy po nią przyjeżdżam. Brooke ma na sobie czarne spodnie i sweter w paski, a włosy upięte w koński ogon. Cofa się, żeby mnie wpuścić, ale tylko odrobinę. Wydawałoby się rozsądne nachylić się i cmoknąć ja w policzek, ale zamieram i przegapiam okazję, a gdybym zrobił to teraz, wypadłoby to niezręcznie i nienaturalnie. Niektórzy tym facetom takie rzeczy przychodzą bez wysiłku, ale mam tę świadomość, że do nich nie należę. Zamiast ją cmoknąć, mówię:

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyjechałem po dziewczynę do domu jej rodziców.

- Może nie ciągnij tego tematu.

- Ale to fajna sprawa. Czuję się, jakbym znów był nastolatkiem.

- A do tego rodziców nie ma w domu - kpi Brooke, unosząc brwi. -

Może poszalejemy w piwnicy?

Chyba się czerwienię, bo ona szybko klepie mnie po ramieniu i dodaje:

- Żartowałam.

- Wiem - odpowiadam. Podchodzi do mnie i patrzy mi w oczy.

Doug, co jest? - pyta łagodnie.

- Nic. - Otrząsam się po chwili. - Ślicznie wyglądasz, to wszystko.

Przytrzymuje moją rękę, staje na palcach i całuje mnie w policzek.

- Zręczna zmiana tematu, ale niech ci będzie.

Skóra pali mnie jak poparzona w miejscu, którego dotknęły jej usta.

Przy kolacji Brooke opowiada o dzieciństwie, o tym, jak rodzice stale się kłócili - co zresztą zostało im do dziś - O tym, jak co noc modliła się, żeby się rozwiedli. O tym, jak ojciec bił jej starszego brata Rona, ale przyszedł czas, kiedy Kon zmężniał i zaczął oddawać ciosy - matka daremnie krzyczała, gdy rzucali się na siebie jak zawodnicy w klatce, rozwalali meble i tłukli naczynia; po bijatykach na ścianach zostawały pęknięcia i dziury wielkości pięści. Po jakimś czasie matka miała łatania dziur powyżej uszu, więc zakrywała je zdjęciami, aż wreszcie wszystkie ściany zapełniły byle jakie lotki w niedopasowanych ramkach, rozwieszane bez ładu

i składu. Portrety małej Brooke z różnymi policzkami na podziurawionych płytach kartonowo-gipsowych: przystrojona w kłamstwo szczęśliwa przeszłość, przysłaniająca ohydą prawdę.

Już jako dziecko Brooke nauczyła się rozpoznawać znaki ostrzegawcze. Uciekała na górę do swojego pokoju i słuchała muzyki na cały regulator, dopóki nie skończyła się szarpanina i nie przyjechała policja. Za każdym razem, kiedy ojciec i brat wpadali na ścianę, płyta przeskakiwała, a po jakimś czasie słuchanie ulubionych piosenek z zacinających się płyt stało się dla niej czymś tak normalnym, że słysząc niektóre

piosenki w radiu, była wręcz zdziwiona, że nic nie przeska kuje. Do dziś te zacinające się wersje uważa za lepsze, praw dziwsze. Brat wyprowadził się już dawno, ale wszystkie jop. wizyty kończą się jatką; w Święto Dziękczynienia i Boże Na rodzenie sąsiedzi zwykle wzywają policję.

- Jezu - mówię. - Jakim cudem jesteś taka normalna?

- Tylko na zewnątrz - odpowiada. - Nie mogłam się do czekać, żeby skończyć studia i się od nich wynieść. A tera/ proszę - wróciłam do punktu wyjścia.

- Znam to uczucie - mówię. - Kiedy przeniosłem się do miasta, byłem pewien, że nigdy tu nie wrócę. Tymczasem znów jestem w Westchesterze.

- Tu się wychowałeś?

- W Forest Heights. Niedaleko.

- A, dzieciak z bogatego domu.

- Żyliśmy wygodnie, to fakt.

- Jakoś nie pasujesz mi do wizerunku szczeniaka z fun duszem powierniczym.

- Bo go nie miałem. Ojciec za nic nie chciał nas rozpu ścić. Mówił, że dzieci z bogatych domów trudniej nauczyć odpowiedzialności.

- Miał rację.

- I tak byłem pojebany.

- Może i tak, ale bogaty pojeb jest znacznie groźniejszy Kto wie, co byś wyprawiał, gdybyś nie musiał liczyć się z pieniędzmi. Tacy codziennie do mnie trafiają. Mają wyższe kieszonkowe niż moja pensja. Postawa roszczeniowa to niemal ich wada wrodzona. Twój ojciec jest mądrym facetem

- Był.

- Och. Nie żyje?

- Żyje. Ale... się zmienił.

- Jak to?

- Ma uszkodzenie mózgu po wylewie.

- Przykro mi.

- Dzięki. Ale w sumie zbliżyliśmy się dopiero, jak wyszedł ze szpitala. Brooke wzdycha z zadumą.

- Szkoda, że mój ojciec nie miał wylewu.

Śmieję się i zarazam ją swoją wesołością. Jemy i znów się śmiejemy. Ludzie przychodzą i wychodzą, gdzieś za nami kelner upuszcza tacę, rodzina śpiewa *Sto lat*, za oknem krążą przechodnie, dzieciaki na deskorolkach, spacerowicze i psami albo z wózkami, pary trzymające się za ręce - wszyscy cieszą się ostatnimi dniami słonecznej pogody. Przez cały ten czas coś między nami narasta - coś jak pole magnetyczne, niewidzialne, ale wyczuwalne - otacza nas i odgradza kordonem od innych ludzi, aż wreszcie wydaje się, że poza nami świat nie istnieje, jesteśmy tylko Brooke i ja. Przypomina mi się kartka okolicznościowa, popularna, kiedy byłem w ogólniaku: dwoje kurcząt i jajo albo dwoje kociąt w kartonie po mleku, albo dwie małpki na gałęzi i napis: „ty i ja przeciw całemu światu”, a w środku: „coś mi się zdaje, że dostaniemy po nosie”, i wpatrując się w porcelanową twarz Brooke, po której tańczy światło świecy, zastanawiam się, czy była dziewczyną, której chciałbym wtedy dać taką kartkę, i czy ja byłem chłopakiem, od którego ona chciałaby taką kartkę dostać; podejrzewam, że nie, ale to było wtedy, a teraz jest teraz, i może właśnie dlatego, że ją zgwałcono, a mnie zginęła żona w katastrofie lotniczej, jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i choć te nieszczęścia nie powinny były się zdarzyć, to jednak nam się przytrafiły, a dziś śmiejemy się, kiedy ludzie wchodzą i wychodzą-jesteśmy tylko ja i ona przeciw światu i może dostaniemy po nosie, ale my już wiemy, jak to jest oberwać od życia, i w tej świadomości jest coś dziwnie pokrzepiającego, więc patrzę na nią i czuję żywą emocję - jeszcze niesprecyzowaną, jeszcze w zarodku - która płonie na mojej twarzy i odbija się w ciemnych, bliźniaczych światach - w jej oczach.

- Chciałem cię pocałować, kiedy po ciebie przyjechałem
- Chciałam, żebyś to zrobił.

Nagle zapada cisza, jakby do tej pory restaurację wypełniał sztuczny tłum, któremu kazano wyłącznie szumieć w tle.

- Zdenerwowałem się. Sam nie wiem czemu.
- Widziałam. Nie szkodzi.
- Już się nie denerwuję. Rany, ale cisza.
- Lubię, jak na mnie patrzysz - mówi Brooke szeptem.
- Nachyl się - mówię.

Jej wargi, miękkie i wilgotne, wpadają na moje, czuję żai świeczki pod brodą, kiedy rozchylamy usta, tylko troszeczkę, żeby bardziej się scalić, ona smakuje białym winem i bazylią z sałatki, spod których przebija coś zupełnie innego - jej wro dzona słodycz, którą będę odtąd czuł przy każdym pocałunku. To delikatny, powolny całus - raczej potwierdzenie chęci niż badanie możliwości. Po chwili nasze głowy unoszą się nad stolikiem jak balony z helem, twarze tuż obok siebie, sze roko otwarte oczy, zarumienione policzki.

- Cudnie - mówi Brooke.
- Fakt - odpowiadam.
- No to poproś o rachunek.
- Liczysz sobie za buziaki?

Brooke śmieje się i znów mnie całuje. Rozglądam się za kelnerem i dostrzegam Laney Potter, która siedzi z Dave'cm i jakąś parą przy stoliku w kącie sali i przeszywa mnie wzrokiem, prowadząc z nimi rozmowę. Powinienem był przewi dzieć, że w mieście, w której są ledwie trzy porządne restauracje, takie spotkanie jest nieuniknione, ale ta myśl wcale nie sprawia, że zimny głaz, który nagle zaległ mi w brzuchu, doskwiera mi mniej. Staram się skupić na Brooke, ale nagle mam wrażenie, jakby mówiła do mnie zza szyby, a magia, którą właśnie przeżyliśmy, ulatnia się w okamgnieniu. Na myśl o Laney aż mnie skręca - jakbym dostał potwornego

świędu w miejscu publicznym i nie mógł się podrapać - jej wzrok parzy mnie jak laser, przecina skórę warstwa po warstwie; to tylko kwestia czasu, zanim stanę w płomieniach, /ostałem nakryty - jak w serialu komediowym: chłopak szpanuje w knajpie przed panną, choć powinien siedzieć w domu i się uczyć; nagle do restauracji wchodzi rodzice, on chowa się za kartą dań, łapie pannę za głowę i wciska ją pod stół, powtarzając, że wszystko jest w porządku.

Potrzebuję chwili samotności, żeby się przegrupować, więc przeproszam Brooke i pędzę do toalety - mijam wnękę i wchodzę w wąski korytarz obwieszony oprawionymi reprodukcjami dziewcząt z rozkładówek z lat pięćdziesiątych. W toalecie jest jakiś facet - niski, łysy, w garniturze. Stoi przy pisuarze i gada przez telefon. - Tylko załóż moje ulubione koronkowe stringi - mówi. - Te czarne. - Nie rozmawia z żoną, bo ta siedzi przy stoliku i czeka, żeby zamówić deser. Nie jestem ani odrobinę lepszy od tego wielozadaniowego samca, który w jednej ręce trzyma ptaka, a w drugiej telefon, i w tym samym czasie załatwia kolację z żoną i uprawia telefoniczny seks z panienką. - Tak, maleńka - wdzięczy się, wspinając się na palce i wytrząsając ostatnie krople.

Wchodzę do najdalszej kabiny i opieram się o ścianę, wycieram pot z szyi papierem toaletowym i oddycham głęboko, czekając, aż spłynie na mnie spokój adepta zen. Wielozadaniowy wychodzi - śmierdziel jeden, nie umył nawet rąk, a zaraz będzie dotykał najpierw jednej babki, a potem drugiej. Po chwili drzwi znów się otwierają, na kafelkach stukają obcasy. To kobieta. Przystaje dopiero przed kabiną, w której się zamknąłem. Przez szczelinę widzę rude włosy.

- Mam wejść, czy ty wyjdiesz? - pyta.
- Laney - mówię. - Co ty wyprawiasz?
- Wykorzystuję swoją szansę.
- Zaraz ktoś tu wejdzie.
- To mnie wpuść. - Laney wchodzi, zamyka drzwi i prze-

kręcą zamek. Ma zaróżowione policzki, oczy jej błyszczą. Stoimy twarzą w twarz. - Czemu nie oddzwoniasz?

Wpatruję się w nią, zastanawiając się nad najlepszym wyjaśnieniem, przerażony, że zaraz urządzi scenę.

- Miałem nie najlepszy okres - tłumaczę.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Przez jakiś czas byliśmy nawet czymś więcej, ale sądziłam, że przyjaźń zo stała. Zależało mi na tobie, a ty mnie zerznąłeś i uciekłeś. Po traktowałeś jak dziwkę.

- Przepraszam. Nie chciałem.

- Co jest grane? To przez tę dziewczynę, z którą tu jesteś?

- Nie. To nie ma z nią nic wspólnego.

- Więc o co chodzi? Myślisz, że nie wiem, że umawiasz się z kobietami? Całe miasto o tym trąbi. Wszyscy mówią tyl ko o tym, z kim powinienes się umówić, a ja się uśmiecham i kiwam głową, jakby myśl o tobie z inną kobietą nic mnie nie kosztowała. Raptem w zeszłym tygodniu się kochaliśmy, a dzisiaj siedzisz w knajpie z jakąś babką, którą ledwie znasz, i zmuszasz mnie, żebym goniła za tobą do męskiego kibla. Nie cierpię się tak zachowywać. Naprawdę dla ciebie nic nie znaczę?

- Znaczysz. Tylko co my wyprawiamy? To donikąd naprowadzi.

Laney zbliża się do mnie, ciśniemy się w wąskiej kabinie.

- Kocham cię. - W kącikach jej oczu pojawiają się łzy, drżą, za chwilę spłyną po twarzy. - Miałam się w tobie nie zakochać, ale wyszło inaczej.

- Laney - chwytam ją za ramię. - Masz męża.

- Przedtem ci to nie przeszkadzało.

- Ale teraz przeszkadza.

- Mogę się rozwieść. Kręcę głową.

- Nie rób tego.

- I tak chciałam go zostawić.

- Dobrze, ale nie rób tego dla mnie. Z tego nic nie będzie.
- Czyli seks tak, ale związek nie.
- Ani jedno, ani drugie.
- Wykorzystałeś mnie.
- A ty mnie.

Łzy Laney właśnie osiągnęły masę krytyczną. Strużki, które wyglądają jak dwa sznureczki, spływają jej po twarzy. Delikatnie wycieram je kciukami, ale ona błędnie odczytuje ten gest jako zaproszenie, wtula się we mnie, obejmuje mnie w pasie i masuje po krzyżu.

- Doug - mówi, chowając twarz w mojej koszuli.

Drzwi do łazienki otwierają się, a my zamieramy w kabinie, jak dzieciaki ukrywające się przed rodzicami, wstrzymujemy oddech do chwili, kiedy intruz przystaje przed pisuarem. Laney opiera się na moich ramionach i wspina na sedes. Trwamy tak w całkowitym bezruchu, słuchając, jak strumień moczu bębni o porcelanę. Wtem Laney zaczyna lizać mnie po szyi i przygryza mi ucho.

- Doug - szepcze, a ja czuję na skórze jej gorący, wilgotny oddech. Próbuje odchylić głowę, ale sterczymy przecież w kiblu, więc nie ma za dużo miejsca. Laney rozchyła usta, przejeżdża wargami po mojej szczęce, gładzi mój brzuch, wślizguje rękę za pasek i chwytą mnie za krocze. Łapię ją, żeby przestała, ale ona zaczyna się ze mną siłować, jakby to była zabawa, więc wykręcam jej rękę za plecy, przez co niechcący przyciągam ją do siebie, więc ona nachyla się i całuje mnie po szyi. - Dobrze wiesz, że tego chcesz - szepcze. Słysząc odgłos spuszczonej wody, przez krótką chwilę leci woda z kranu, drzwi otwierają się i zamykają. Wypuszczam powietrze i gwałtownie się wyrywam, a wtedy Laney traci równowagę: jej noga obsuwa się i wpada z pluskiem do sedesu. - Szlag! - wrzeszczy Laney i wyciąga stopę, zachlapując mi nogawkę.

- Kurwa! - dodają ja i oboje wypadamy z kabiny.

- Rany boskie! - jęczy Laney, wymachuje nogą w powie trzu i dziwacznie kuśtyka po łazience. - Cała mokra.

- Przepraszam.

Laney spogląda na mnie i wzdycha przeciągle.

- Chyba sobie zasłużyłam. - W jednej chwili z jej oczu znika złość. Laney opiera się o ścianę. Wygląda jak zbity pies, więc od razu łapię doła.

- Posłuchaj - mówię.

- Nic nie mów. Mam już dość upokorzeń. - Laney zdejmuję but - drogi espadryl w piaskowym kolorze - i jak kula wiec przeskakuje do suszarki. - Naprawdę chcę się z nim rozstać.

- Laney. - Robię krok w jej stronę, ale ona wystawia rękę.

- Idź - mówi, po czym uderza w srebrny przycisk, a suszarka zaczyna huczeć jak silnik odrzutowy.

Zwykły pocałunek z Brooke, w samochodzie, na jakimś parkingu, nagle przeobraża się w coś więcej - jest pot i krótkie oddechy, od których parują szyby mojego saaba. Rozchyłamy wygłodniałe usta, wpijamy się w siebie, nasze języki tańczą i ślizgają się po sobie, gładzimy twarze, z łatwością wsuwamy ręce pod ubranie, żeby poczuć nagość skóry, za czynamy miękko wzdychać i jęczeć, prowadząc uniwersalny dialog uniesienia.

W końcu lądujemy u mnie w domu, wbici w ścianę ciemnego korytarza całujemy się i ocieramy się o siebie, a jeśli wkrótce nie wyskoczmy z ubrań, to roztopią się od żaru ciał. Problem w tym, że nie bardzo wiem, dokąd pójść. Nie chce zabierać jej na dół, do pokoju gościnnego, tak jak Laney, ale boję się, co się może stać, jeśli wezmę ją do sypialni i zerwę hermetyczną pieczęć na ostatnim ocalałym sanktuarium Hai ley, wprowadzę buldożery na ostatnią połąć dziewiczego lasu deszczowego, wybije cały gatunek, żeby postawić hotele i kluby ze striptizem.

Hailey - myślę. - Hailey, Hailey, Hailey. Sam dźwięk jej imienia, te dwie sylaby biją we mnie ostrzegawczo, jak drugie serce.

Ale przecież Brooke jest urocza i seksowna, i na swój sposób idealna - no i ta chwila w restauracji, ten doskonały pocałunek. Przecież czułem, jak rozrzucone cząstki mnie samego wpadają na swoje miejsce, jak na ułamek sekundy planeta zamiera, jak próbuje nam pomóc...

Hailey, Hailey, Hailey...

...a teraz jej wilgotne usta lśnią w świetle dobiegającym z kuchni, oczy ma zamglone, powieki półprzymknięte, drżące pod ciężarem pragnienia...

Hailey, Hailey, Hailey...

...a jej skóra lśni, jakby rozpalona od środka. Jesteśmy młodzi i piękni - nie zawsze tacy będziemy, ale dziś jesteśmy, mamy miękko tam, gdzie ma być miękko, i twardo tam, gdzie ma być twardo. Przecież jesteśmy winni światu seks z prawdziwego zdarzenia. Ona smakuje cytryną i mięciutkością, więc chrzanić wszystko, to właśnie mamy zrobić, do tego zostaliśmy stworzeni, tego domagają się nasze ciała. Nie powinniśmy być teraz nigdzie indziej i nie powinniśmy robić niczego innego.

Prowadzę ją na górę do sypialni, zrzucamy koszulki, pod ustami czuję gładką, miękką, gorącą skórę jej brzucha, jej nagość mnie elektryzuje i wcale nie myślę o Hailey, nie myślę o tym, jak leżeliśmy tu po raz ostatni, nie myślę o tej nocy, zanim wsiadła do samolotu, o tym, jak kończyliśmy najeżdżca, po czym ona nakryła mnie sobą, wciąż trzymając kolana tuż przy moich żebrach, nie myślę o jej rozpalonej twarzy ani o tym, jak uśmiechała się do mnie przez mgłę parującego seksu. Jak wtuliliśmy się w siebie, nadzy i spoceni, myśląc, że

oto przeżyliśmy kolejny piękny dzień z serii „żyli długo i szczęśliwie”. *Miałem żonę. Miała na imię Hailey.*

- Co jest? - pyta Brooke. Zadyszana odchyła się, żeby nu się przyjrzeć.

- Nic - odpowiadam, ale coś się zmieniło, jakiś niena zwany, ale zasadniczy element tego, co nas ku sobie pociąg nęło. Brooke też to czuje.

- Co się dzieje?

- Nie wiem.

- Nie chcesz?

- Chcę.

- Może to za wcześnie.

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Bo nie musimy.

- Wiem.

I oto nadeszła chwila tuż po przydługiej wymianie na temat tego, czy będziemy uprawiać seks; zbyt długiej, żeby teraz zabrać się do roboty. Czuję, jak spadamy o kilka poziomów, wskazówki cofają się wściekle, a cząsteczki gwałtownie się kurczą, kiedy atmosfera traci ładunek.

- Przepraszam - mówię, zsuwając się z niej.

- Nie musisz przeproszać - odpowiada.

Leżymy na plecach obok siebie, wpatrując się w ciemność. Uspokajają się nasze oddechy, zwalniają serca, opadają nadzieje. Pokój nadal wypełnia zapach seksu i potu, ale to już nie są nasze zapachy, więc zaczynają mnie drażnić.

- Ale jeśli to przeze mnie, to mi powiedz - mówi Brooke.

- Nie przez ciebie - odpowiadam. - Nie wiem, co mi jest. Brooke obraca się na bok, twarzą w moją stronę, i kładzie mi rękę na piersiach.

- Porozmawiaj ze mną.

Ale ja wcale nie chcę rozmawiać, nie chcę brnąć w słowa

w ciężkiej atmosferze, która nieuchronnie zapada po nieudanym seksie. Chciałem, żeby między nami zagrało, i kto wie, może jutro już wszystko będzie w porządku, ale cokolwiek dziś powiemy, ten wieczór i tak będzie stracony, więc po co się chlastać. A ponieważ nie będę mówił, nie pozostaje mi nic innego, jak odszukać ubranie w bezładnym stosie na podłodze przy łóżku i w milczeniu odwieźć Brooke do domu rodem z zerialu *Grunt to rodzinka*.

- Zadzwonisz? - Przytula mnie przy drzwiach.
- Oczywiście.
- Na pewno nie chodzi o to, że zostałam zgwałcona?
- Na pewno.
- Więc czemu nie patrzysz mi w oczy?

Podnoszę wzrok. Ona wpatruje się we mnie i stoimy tak przez chwilę, ale zaraz odwracam głowę, bo ładunek emocji w jej oczach jest zbyt potężny. Nachylam się, żeby pocałować ją na dobranoc, a ona oddaje pocałunek, ale żar znikł, został tylko czuły znak rozstania.

Wracam do domu, a na podjeździe w świetle reflektorów materializuje się dwoje oczu przypominających szlifowane kamyczki. Potem widzę jeszcze szaleńczy zygzak białej bawełny i zanim udaje mi się wcisnąć hamulec, spod kół rozlega się mdlące skrzypnięcie - bardziej je czuję, niż słyszę. Wsiadam. Na bitumencie leży rozciągnięty, połamany królik. Jeszcze żyje. Leży na boku, biały brzuch z trudem unosi się i opada, wygięta przednia łapa drapie nawierzchnię, bo instynkt każe mu uciekać. Oczy jak ziarnka kawy, szeroko otwarte, wpatrują się w próżnię, wąsy lekko drżą. Stoję bezradny obok umierającego zwierzaka, czując mdłości i totalną bezsilność. Powinienem go dobić, przerwać tę mękę, ale nie mam broni, a zupełnie nie nadaję się do tego, żeby sięgnąć po kij baseballowy i roztrzaskać mu łeb. Mogę tylko dotrzymać mu towarzystwa w jego ostatnich chwilach, w tę chłodną noc.

Klękam obok niego, patrzę mu w oczy i łagodnym głosem powtarzam „przepraszam”. Królik nie wygląda, jakby po tworaie ucierpiał, nie wije się w panice ani bólu, po prosin spokojnie leży, jakby wcześniej wpisał śmierć na listę dzisiaj szych spraw do załatwienia. Siedzę więc i patrzę. Jego od dech staje się coraz krótszy i przypomina westchnienia, po tem ciało zaczyna drzeć, potem zamykają się oczy i wreszcie umiera.

Biorę z garażu ciężką łopatę i zakopuję królika w płytkim grobie pod płotem, za domem. Chcę odnieść łopatę do garażu, ale nagle falami wzbiera we mnie kwas, padam na kolana i chlustam wymiocinami w żywopłot, dalej mnie skręca, ale nie mam już czym wymiotować i tylko flaki mi się wywrą cają, na sucho szarpie mnie jeszcze parę razy tak mocno, jak by mi się wszystko w środku poprzestawiało, aż wreszcie torse ustępują. Jestem totalnie oszołomiony, a w ustach czuję smak kwasu. Wchodzę do domu, przepłukuję usta whisky i ruszam na górę. Nie mogę zdzierżyć widoku pomiętej po ścieli na moim łóżku, więc idę do pokoju Russa, a tam pod kołdrą leży Claire i czyta jedną z babskich powieści Hailey Oczy ma przekrwione - albo przebudziła się ze snu, albo płakała.

- Hej - mówi do mnie zdziwiona. - Jak randka? Mam co do Brooke dobre przeczucia. - Kiwam głową powoli. Ze smutkiem. - Szlag - mówi Claire.

- Wiem - mówię ponuro, unosząc kołdrę. Claire przesuwa się pod ścianę, żeby zrobić mi miejsce. Zdejmuję buty i kładę się obok niej.

- Trzęsiesz się - mówi Claire, a ja myślę o króliku w i jącym się w bólach i zastanawiam się, czy przypadkiem nie padł na mnie urok i teraz już nigdy nie przestanę się trząść Claire obejmuje mnie, przyciąga do siebie i tuli - jest ciepła, pachnie noxzemą i łzami - i po kilku minutach przestają drzeć. Claire bywa apodyktyczna i obcesowa, a do tego

z uporem manifestuje swoją wyższość, ale kiedy rozpadam się na kawałki, tylko ona umie mnie z powrotem poskładać.

- Spieprzyłem sprawę.

- To oczywiste - mówi Claire, ale nie tak, żeby sprawić mi przykrość. - Spójrz na to w ten sposób: tu akurat było co spieprzyć. Małymi kroczkami, Doug. Małymi kroczkami.

- Wyglądasz, jakbyś płakała. Claire wzrusza ramionami.

- To hormony.

- Aha - odpowiadam. - Akurat.

W ciemnym pokoju na zmianę płaczemy i się pocieszamy, rozmawiamy dotąd, aż wypowiedane zdania przestają mieć sens, aż języki odmawiają nam posłuszeństwa, usta zasychają i wyczerpujemy zasób słów. Potem leżymy w ciszy, nadal w pozycjach płodowych, jak yin i yang, mościmy się w naszym naprędcie skleconym łonie. Ciężkie zapomnienie spływa na mnie jak ciepła melasa i ostatnie, co widzę, zanim lekki oddech Claire ukołysze mnie do czarnego, bezsenego snu, to różowe plamy poranka, które szerzą się po nocnym niebie jak palce szukające czegoś po omacku.

- Co jest, kurwa - mówi Russ, a ponieważ jeszcze śpimy, odchrząkuje i powtarza swoją kwestię. - Pytam, kurwa, co jest?

Mam wrażenie, że ostatnio wszyscy uwzięli się, żeby mnie budzić. Może gdyby dali mi pospać, to obudziłbym się wypoczęty, może nawet przychylniej spojrzałbym na świat, może byłbym gotów wziąć życie w swoje ręce i rozwiązać wszystkie problemy. Może rzecz nie w tym, że jestem smutny, pojebany czy że mam zapędy autodestrukcyjne, tylko w tym, że trwam w stanie ciągłego wyczerpania.

- Precz - warczy Claire głosem uzbrojonym w sen.

- Zastanawiam się, czemu śpicie w takiej pozycji, w jednym łóżku, a do tego w moim pokoju - mówi Russ, nadal stojąc w drzwiach. - Wysilam się, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

- Która godzina? - pytam.

- Po ósmej.

- Świetnie. Przyjdź jutro.

- Jutro będzie za późno.

Przekręcam się, otwieram oczy i usiłuję złapać ostrość.

- Co jest?

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym wprowadził się trochę wcześniej. Chyba że wyprawiacie tu

coś chorego - w takim razie będę musiał wyjechać z miasta, wstąpić do sekty i sprzedawać kwiaty na przystanku albo coś w tym stylu.

Podnoszę kołdrę, żeby mu pokazać, że jestem w ubraniu z zeszłego wieczoru.

- Chwalić Boga - mówi Russ.

- To kiedy się przenosisz? - pytam, turlając się i spadając z łóżka na podłogę.

Russ spogląda na zegarek.

- Teraz byłoby idealnie.

- Ciszej - jęczy Claire. Odwraca się w stronę ściany i uderza w nią głową.

- Co się dzieje?

- Małe nieporozumienie z głową rodziny. - Russ wchodzi do pokoju i opiera się o biurko. Jeszcze nie wymieniłem mu krzesła. Poprzednie nadal leży w kawałkach przed domem.

- Jest aż tak źle?

- W skali od jednego do dziesięciu?

- Tak.

Russ kiwa głową.

- Pięćdziesiąt?

- Fatalnie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

- To lepiej powiedz.

- Powiem, ale później.

- Później to znaczy kiedy?

Z dworu dobiega nas grzmotnięcie drzwi od samochodu, a po chwili raz za razem rozlega się dźwięk dzwonka do drzwi. Claire jęczy i zakrywa głowę poduszką. Russ pada na ziemię przy oknie i wychyla się jak snajper.

- Jak pozbędziesz się Jimba - krzyczy.

Podchodzę do okna. Nie widzę Jima, ale słyszę go - jest na ganku i wali w drzwi.

- Wyłaż, Russ! Zaraz cię, kurwa, zabiję!

Angie opiera się o samochód i patrzy na męża z konsternacją. Jak zwykle jest ubrana jak nastolatka, ma obcisłe, drc sove biodrówki i krótki top eksponujący jej apetyczne piersi, umięśniony brzuch i ramiona - jak zawsze w kolorze miotło wej opalenizny. Widząc mnie w oknie, posyła mi seksowny uśmiezek i zalotnie macha paluszkami z francuskim manikiurem, jakby jej mąż wcale nie usiłował rozwalić moich drzwi.

- Russ! - wydziera się Jim i teraz widzę już sąsiadów na podjazdach i w oknach, przyglądających się, jak w tym spo kojnym dotąd sąsiedztwie rozpoczyna się kolejne widowisko. - Wyłaź!

- Czy ktoś może tego skurwiela zastrzelić? - zawód/1 Claire spod kołdry.

- Jim! - drę się na niego z okna.

Wychyła się z ganku, żeby na mnie zerknąć. Jest nieogolony, ma na sobie dzinsy, klapki i brudny T-shirt, więc niewątpliwie cokolwiek się dziś rano wydarzyło, nastąpiło przed jego poranną ablucją.

- Wiem, że on tam jest, Doug!

Kłęczący pod oknem Russ kręci głową i nerwowo macha rękami.

- Jest - odpowiadam, a Russ w rozpaczy chowa twarz/ w dłoniach. - A co?

- Dawaj go tutaj! - wrzeszczy Jim.

- Zejdę, to pogadamy.

- To nie twoja sprawa.

- Jak chcesz. - Chowam się w pokoju.

- Doug! - wrzeszczy Jim.

- Coś ty, kurna, takiego zrobił? - pytam Russa.

- Zwędziłem mu parę pornosów. Przyglądam się Russowi.

- Wściekł się o pornosy?

- No...

- Russ.
- Domowe.
- I co na nich było? - pyta Claire, wysuwając głowę spod kołdry.
- To chyba jasne.
- Masz je ze sobą?
- Claire!
- Tylko pytam.
- Nie pomagaj mi, co? - mówię. - No więc ta płyta...
- Te płyty.
- Te płyty. Są na nich Jim i Angie?
- Aha.
- Rajcuje cię, jak twój stary uprawia seks?! - pyta Claire.
- Przestań. Tam jest głównie Angie.
- Sama? - dopytuje Claire.
- Ma zabawki.
- Gdzie są te płyty?
- Oryginały odłożyłem z powrotem do szafki. Tymczasem na dole Jim znów wali w drzwi. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będziemy musieli wstawić nowe. Solidniejsze, ze stalowymi wzmocnieniami.
- Zrobiłeś kopie?
- Na wypadek gdyby mu zginęły.
- Słusznie - chwali go moja siostra.
- Zamknij się, Claire. Ile masz tych kopii?
- Dużo.
- Russ. Próbuję ci pomóc.
- Russ wzdycha i przeczesuje włosy palcami.
- Są na stronie internetowej.
- O... kurwa.
- Angie kręci wszystkich moich kumpli - mówi Russ, wzruszając ramionami. - Życ mi nie dawali. Poza tym Jimbo w życiu by się nie dowiedział, gdyby nie przetrzepał mi twardego dysku. Naruszył moją prywatność i teraz ma za swoje.

- Umieściłeś nagrania nagiej żony ojca w Internecie i te raz mówisz, że to on naruszył twoją prywatność? Złem zła nie naprawisz. - Kręcę głową.

- No dobra, chodź ze mną mówię.

- Na dole to ja nie będę bezpieczny.

- Wiem. Zamkniesz za mną drzwi.

Tymczasem Jim usiłuje wspiać się po rynnie do pokoju Russa i właściwie byłoby to całkiem zabawne, gdyby nie to, że nieźle mu idzie.

- Jim! - wołam. - Złaż!

- Zabiję gnoja - sapie Jim, pocąc się obficie i podcia gając się wyżej, stopami wściekle trze o mur, wreszcie za czepia się na wystającym tynku i klamrze od rynny. Mięśnie jego ramion tak się napinają i rozciągają, jakby za chwili lę miały rozsadzić skórę. Odwracam się do Angie w nadziei, że mi pomoże, ale ona najwyraźniej ma w planach wyłącznie opieranie się o samochód w atrakcyjnej pozie Coś mi się zdaje, że niespecjalnie przejęła się tym, że banda napalonych nastolatków puszcza sobie z nią filmiki i robi sobie dobrze.

- Sąsiedzi pewnie wezwali już policję - mówię w stronę dupska Jima, które mam teraz na wysokości oczu. - Lepiej żeby cię nie zastali, jak włamujesz się do środka.

- To mój dom - warczy Jim, wciągając się ciut wyżej Jeszcze trochę i wdrapie się na dach, a stamtąd można swo bodnie przeskoczyć do pokoju Russa.

- Angie - wołam do niej. - Pomóż mi jakoś.

- Złaż, Jim. Robisz z siebie idiotę - mówi do niego bez przekonania, po czym patrzy na mnie i wzrusza ramionami Od początku odpowiadała jej rola postronnego obserwatora zamętu w dawnej rodzinie Jima. On tymczasem dalej wciąga się po rynnie, przepaca koszulkę i stęka, i tylko rowek między jego pośladkami szczyrzy się do nas sponad opadających dzinsów. Jest już na wysokości jakichś sześciu stóp, za chwilę będzie na dachu.

- Złaź, kurwa - krzyczę. - Mówię poważnie.
- Bo co? - pyta, rzucając pogardliwe spojrzenie.
- Bo cię ściągnę.

- Sporo bym dał, żeby to zobaczyć - odparowuje Jim z szyderczym uśmiechem. Nie wiem, jak by się sprawy potoczyły, gdyby nie rzucił mi spojrzenia mówiącego „nie podskakuj, gnoju”. To szyderstwo mnie zakurwia. To szyderstwo nie zostawia mi wyboru.

Wspinam się na poręcz na ganku, biorę głęboki oddech i zanim zdążę stchórzyć, skacze na niego. Chciałem go złapać za ramiona, ale przeliczyłem się, myśląc, że skok będzie dłuższy i zamiast za bary, chwytam go za przepoconą koszulkę, która głośno rozdziera się na jego plecach. W ostatniej chwili łapię go w pasie i jakoś udaje mi się przytrzymać. Nogi Jima natychmiast tracą oparcie i odskakują od muru, klapki spadają mu na ziemię i gdyby nie trzymał się rynny, już byśmy runęli w dół.

- Skurwiel! - drze się na mnie i usiłuje mnie z siebie zrzucić - rynna się trzęsie, wsporniki ledwie wytrzymują pod naszym ciężarem. - Złaź, kurwa, ze mnie!

- A ty wypierdalaj z mojego domu! - warczę.

Wtem wygięte kolanko pęka jak zapalka i lecimy wraz z rynną w dół. Jim ląduje na mnie z hukiem, leżę pod nim na trawie, zgnieciony jak mielonka w kanapce i kiedy ze świstem ulatuje ze mnie powietrze, mam wrażenie, że płuca wybuchają mi do środka. Jeszcze nie zdążyłem się obrócić, a już Jim podnosi mnie do góry i znów rzuca na ziemię.

- Ty skurwysynu! - ryczy, a ja widzę tylko, jak jego nagie stopy idą po trawie w moją stronę, a potem znów lecę do góry i spadam twarzą w dół, i czuję ziemię między zębami, i gdyby tylko wszystko wokół nie wirowało jak na karuzeli, gdyby tylko moje usta przypomniały sobie, jak wziąć oddech,

to mógłbym się jakoś bronić. W końcu jako nastolatek cho dziłem na karate do sensei Goldberga. Blok z wychwytem, uderzenie odwrotne, kopnięcie boczne w kolano, uderzenie dłonią-mieczem w szyję. Przecież umiem zadać ból. Ale świat wiruje, a przede mną pojawiają się tylko rozszczerzone kawałki rzeczywistości, które nic a nic nie chcą stać nieru chomo: dom, niebo, Angie, która podbiega w panice, Jim o, krew mu leci z nosa (to moja zasługa?) - o, nie, znów idzie w moją stronę. Z wysoka dobiega mnie wrzask Claire: Zo staw go, ty fiucie! Usiłuję wstać, co kończy się tak, że Jim łapie mnie za szyję i rzuca mną o ścianę - no, proszę, nawel nie wiedziałem, że jesteśmy tak blisko domu, może nie byli śmy, może mnie przeniósł, trzymając za szyję. Gdzieś ponad jego ramieniem widzę twarz Angie, widzę nawet, jak porusza ustami. Przecież to wszystko nie tak. Przecież jestem po rządnych gościem, wdowcem - co to jest, że dostaję wpierdol we własnym ogródku, na oczach wszystkich sąsiadów. Nagle nogi się pode mną uginają, padam na bok, przez co nie trafia mnie pierwszy cios Jima - jego potężna pięść przelatuje ze świstem obok mojego nosa. Drugi cios to inna sprawa. Widzę go w zwolnionym tempie, widzę, jak ten cios się rodzi, potrafię przewidzieć jego trajektorię. O, to ta ręka, na której nosi ohydny, wielki sygnet z college'u, tak jakby był papieżem uczelni w Rockland i podawał go do całowania. Nie wiedzieć czemu, moje ręce nie ustawiają się w gardę, a głowa wcale się nie odchyła - wiem, że cios jest tuż-tuż, że będzie solid ny i dobrze wymierzony, to będzie matka ciosów, za któni pójdzie cała masa Jima, cios, który masakruje twarz i przesta wia kości, a jednak moje ręce nadal wiszą bezwładnie. Nag le kątem oka dostrzegam w powietrzu jakąś czarną planie i znów leżę na ziemi, ale Jim też, no i jeszcze Russ - zesko czył z ganku i dołączył do bijatyki, pięściami wściekle okła da Jima, który toczy się po trawie z ramionami spleciony mi wokół szyi - oni są jak King Kong i Godzilla, a ja - jak

blondyneczka, która utknęła pośrodku i nie wie, co ze sobą zrobić. Próbuję odciągnąć Russa, ale jego rozhuśtana pięść trafia mnie w policzek, tuż pod okiem, widzę czarne plamy i siadam. Russ złazi z Jima, podbiega do mnie, klnie i przeprosza, Angie doskakuje do męża, wszyscy oberwali, wszyscy leżą i jakimś cudem ta bijatyka kończy się równie szybko, jak się zaczęła, jakby prysło zaklęcie, a ja skupiam się tylko na tym, żeby oddychać, czuję na skórze pręgę, pod którą tworzy się gorąca bryła w miejscu, gdzie trafiła pięść Russa, czuję ciepłą krew w ustach, Russ płacze, Angie płacze, Jim się trzęsie, w oddali słychać syreny, a ja tylko staram się zaczerpnąć tchu. Trawa przestaje wirować i gdybym tylko mógł oddychać, to mógłbym to załatwić, gdybym tylko mógł otworzyć usta i wypełnić płuca powietrzem, gdybym tylko potrafił zaopatrzyć krew w tlen, to mógłbym to załatwić. Syreny wyją coraz głośniej, Claire jest na zewnątrz, pada na kolana tuż przy mojej twarzy, coś do mnie mówi, ale słyszę tylko, jak krew napływa mi do uszu niczym wodospad, potem znów leżę na boku, widzę kolana Claire, kolana Russa, skulonych Jima i Angie, odwracam się na drugi bok i w cieniu żywotników, które otaczają działkę, widzę brązowego królika - patrzy prosto na mnie, gapi się, myśli sobie o mnie nie wiadomo co, gardzi mną, a ja przecież tylko staram się oddychać. Ja chcę tylko zaczerpnąć tchu.

Angie i Claire biorą policjantów na siebie. Widok dwóch piękności naraz jest porażający - młodzi gliniarze nie wiedzą, do której najpierw startować. Następują przeprosiny i wyjaśnienia, zalotne chichoty, uśmiechy, potakiwania, gapienie się na cycki. Zostają wytłumaczone złożone relacje pomiędzy członkami naszej rodziny - tak unikalnej, jak odciski palców. Ojciec, macocha, ojczym, siostra w odwiedzinach - trzeba to kilka razy powtarzać, żeby zdezorientowani policjanci dopatrzyli się w tym sensu. Ale koniec końców zarzutów nie

będzie, raportu też nie. Ktoś dotyka czyjegoś ramienia, kto.-, frywolnie mruga, ktoś z wdzięcznością ujmując kogoś za nadgarstek. Rodzinna sprzeczka wymknęła się spod kontroli, ale wszystko jest już naprawdę w najlepszym porządku. Gliniarze wpatrują się w Jima, Russa i mnie - nadal siedzimy w miejscu, w którym spadliśmy, kiwamy głowami i staramy się wyglądać jak uosobienie potulności i skruchy, ale my nic grzeszymy urodą, więc gliniarze z nami nie rozmawiają. Ktoś tam wspominał o karetce, kiedy straciłem przytomność, ale Claire szybko ten pomysł udaremniła. Wreszcie panowie na służbie rzucają ostatnie przeciągłe spojrzenia na tworzące zjednoczony front Claire i Angie i ociągając się, wsiadają do radiowozu, i odjeżdżają. Angie upycha Jima na siedzeniu pasażera w jego bmw i gdy tylko zatrzaskuje za nim drzwi, on chowa twarz w dłoniach i zaczyna gwałtownie szlochać. Odwracamy z Russiem wzrok - mężczyźni tak robią, kiedy inni faceci płaczą.

Zostajemy we trójkę. Siedzimy na ganku, otumanieni nadmiarem endorfiny i adrenaliny, które nadal płyną nam w żyłach, rozmawiamy tak jak ludzie po dramatycznych przeżyciach, splatamy nasze trzy odmienne punkty widzenia w jedną, zrozumiałą opowieść, która stanie się oficjalną wersją, materiałem źródłowym dla przyszłych dyskusji.

Claire przynosi z kuchni dwie torby z lodem - jedną na moją twarz i drugą na pięć Russa.

- Niezłe masz limo - mówi Russ.
- Spróbowałbyś przynajmniej zatuszować dumę w głosie.
- To był przypadek. Wszedłeś mi na cios.
- Miałeś siedzieć w domu.
- I patrzeć, jak obrywasz? To nie w moim stylu.
- Poradziłbym sobie.
- Nie ma za co. Chryste!
- No dobra. Dzięki, że wkurzyłeś Jima, a potem dałeś

nogę do mnie. I za to, że przywaliłeś mi w pysk i zafundowałeś limo dwa dni przed ślubem mojej siostry.

- I za to, że uratowałem ci skórę. Jeszcze byśmy sprząтали z trawy twoje zęby.

- I za to, że uratowałeś mi skórę. - Wzdycham zza torby lodu.

- Nie ma za co.

Wokoło rozbrzmiewają dźwięki zwykłego podmiejskiego ranka: rytmiczny szept zraszaczy, zawrozczenie odkurzaczy do liści i kosiarek, brzęczenie automatycznych drzwi garażowych, syczenie hamulców szkolnych autobusów. A ludzie? Świeżo ogoleni, ze świeżo umyтыми włosami, wychodzą z domów, żeby rozpocząć dzień. To ludzie, którzy odnoszą umiarkowane sukcesy, którzy pną się po drabinie społecznej, którzy mają swoje zajęcia, miejsca, do których muszą się udać, ludzi, z którymi muszą się spotkać. Patrzymy, jak ci ludzie rozpoczynają kolejny dzień swojego życia - oni są jak tancerze, a my siedzimy tuż pod sceną. I wszyscy troje, którym tyłki przyrastają do ziemi, zastanawiamy się, skąd, do cholery, ci ludzie mają tyle energii.

Robimy z Russem zakupy w sklepie Stop & Shop. Ładujemy do koszyka butelki napojów gazowanych, torby chipsów, pudełka z makaronem, słoiki sosu pomidorowego, ogromne ilości pszennego pieczywa, pasty na kanapki i mrożonki. Wybieramy produkty, które mają co prawda maksymalną zawartość konserwantów, ale które za to najszybciej się przygotowuje. Nie porównujemy marek, nie polujemy na czeki i kupony - wkrótce i tak będziemy milionerami, więc cena nie gra roli. Nie sprawdzamy wartości odżywczych - jesteśmy młodzi, szczupli, smutni i piękni; emanujemy zalem i będziemy jeść, co tylko zachcemy i kiedy zechcemy, a do tego całkowicie bezkarnie. Kroczymy między regałami jak młodzi arystokraci, jak piloci myśliwców z elitarnej jednostki, łapiemy, co popadnie, trwając w stanie oszołomienia perspektyw;) niezliczonych możliwości, jakie otwiera przed nami nowa, alternatywna rodzina, którą właśnie założyliśmy. Wyrzeźbił nas pech - potem co prawda obciął nam nogi poniżej kolan, ale jeszcze się trzymamy, unosimy się na powierzchni, a teraz płyniemy z prądem podmiejskich pań domu, które obdarzają nas pełnymi podziwu spojrzzeniami, kiedy same upychają w wózkach świeże warzywa i surowe kurczaki. My jesteśmy rodziną z serialu komediowego albo z filmu Disneya, stanowimy odważny eksperyment społeczny. Dźwigamy pełne

ty mrożonych medalionów z kurczaka i frytek. Musimy tylko dokupić drugą zamrażarkę.

Lewa strona mojej twarzy jest koloru wina. Mam na niej bąbla w kształcie nerki, który nie przestaje pulsować, a moja ręka co chwila natrętnie bada nową topografię twarzy, podobnie jak język sam ucieka w miejsce dziury po zębie. Naznaczenie śladami przemocy bezsprzecznie daje satysfakcję - to jak uprawomocnienie męskości, nawet jeśli tylko na skutek przypadkowego ciosu od chłopaka, którego miałem bronić. Zostałem okrwawiony podczas brutalnego obrzędu przejścia i zasłużyłem na nowy plemienny status. Nasza epicka walka z Jimem odbyła się dopiero wczoraj, ale wszystkie zainteresowane strony zdążyły już porozumieć się przez mediatora - czyli przeze mnie - i ustalić, że najlepiej będzie, jeśli Russ wprowadzi się do mnie od razu. I tak zostałem opiekunem smutnego, zdezorientowanego, wściekłego chłopaka - długowłosego, wytatuowanego kłębka wściekłości i żalu. Ja - ojczym. To jakiś chory dowcip, potworność, wyczekiwanie wypadku, który wydarzy się przy najbliższej sposobności. Niech tak będzie. Zakupy urozmaicamy sobie przekomarzan-ką - to taki szczególny rodzaj subtelnej ironii podszytej czułością, tylko naszej. Z czasem udoskonalimy riposty, aż staną się naszym znakiem rozpoznawczym, tak jak duetu Katherine Hepburn i Spencer Trący; przyznaję, że nie widziałem z nimi bodaj jednego filmu, ale i tak jestem pewien, że się do nas nie umywają. Sięgam po kolejne produkty i rzucam Russowi jak piłkę. Idzie nam świetnie do chwili, kiedy Russ upuszcza owiniętą w folię połówkę arbuza, która ląduje z soczystym łoskotem i rozpada się na podłodze.

- Kurwa - mówi Russ.
- Jak mogłeś tego nie złapać?
- Za daleko rzuciłeś.
- Myślałem, że sięgniesz od lewej.
- Chciałem cię zmylić.

- Dobra robota.
- Dawaj następny.
- Nie wiedziałeś, że jak się uszkodzi towar, to trzeba go kupić?
- A ty nie słyszałeś, że klient ma zawsze rację?
- A co by zrobił Jezus?
- Nie rzuciłby jak niezdarna baba.
- Daj go do koszyka.

W tym właśnie cały szkopuł. Możemy gadać jak kumple, żyć jak współlokatorzy, zachowywać się jak bracia, ale przychodzi moment, w którym muszę wejść w rolę opiekuna. Jeśli komuś potrzebny jest porządny, męski wzorzec, to z pewnością Russowi, i czy mam kwalifikacje, czy nie - dostałem tę robotę. To awans za rzekome zasługi na polu bitwy i choć do tej pory słyiałem raczej z niegodziwych występków, to jednak liczę na to, że sam siebie zaskoczę i odkryję w sobie nietknięty arsenał dojrzałości, który pomnażał się jak lichwa, aby w odpowiednim momencie wyposażyć mnie w mądrość i dyscyplinę - tylko bez przesady, żebym nie zmienił się w starego nudziarza. O ile nie mam jeszcze recepty na przebrnięcie przez takie kwestie, jak seks, narkotyki, wagary czy pornosy w Internecie, to przecież - na miły Bóg! - z rozkwaszonym arbuzem postąpiłem jak należy, więc pozwalam sobie na chwilę samozadowolenia, skoro pierwszy sprawdzian z etyki zdałem śpiewająco.

W drodze powrotnej prowadzi Russ. Odbywamy pierwszą rozmowę między ojczymem i pasierbem.

- Mogę sobie kupić samochód? - pyta.
 - Nie masz prawa jazdy.
 - Ale niedługo będę miał.
 - No to wtedy pogadamy.
 - Przecież pieniądze to nie problem - mówi zmieszany, odwracając wzrok.
 - A mnie się wydaje, że to będzie wielki problem.
- Nie wspominaliśmy dotychczas o odszkodowaniu, o niepojętej ilości pieniędzy, które mamy dostać.
- Dlaczego?

- Bo jesteś smutnym, wściekłym dzieciakiem, który stracił matkę i nienawidzi ojca. Dać takiemu dzieciakowi kasę to najlepszy przepis, żeby go rozpieprzyć. I moja w tym głowa, żebyś nie skończył jak bogaty dupek, który kumpluje się z innymi bogatymi dupkami, umawia z marnymi gwiazdkami, inwestuje w kluby nocne, a uczy się oszczędzać, dopiero kiedy trafia na detoks przed dwudziestym piątym rokiem życia.

- To wzruszające, ile masz we mnie wiary.

- Jesteś jeszcze dzieckiem. I masz sporo do przerobienia. Boja wiem, może warto pomyśleć o terapii. Muszą być jacyś specjaliści od takich spraw.

- Chryste, pytałem tylko o samochód.

- Patrz na drogę.

- Patrę.

Przez kilka minut jedziemy w milczeniu. Uczucie paniki stopniowo odpuszcza.

- No, ale w końcu - mówię - możliwe, że przesadzam. Przemyślę to, dobra?

- Super.

Przysięgamy sobie, że nigdy nie będziemy tacy jak nasi rodzice. Słuchamy ostrej muzyki, ubieramy się na luzie, uprawiamy seks na stojąco albo na stole kuchennym, rzucamy „kurwami” i „chujami”, aż pewnego dnia, bez ostrzeżenia, ich słowa wychodzą z naszych ust, jakby uśpione czekały tylko na dogodny moment. Jesteśmy jeszcze dość młodzi, żeby słyszeć te słowa uszami nastolatka, który siedzi obok, i nagle uzmysławiamy sobie, jak żalosne i koniec końców daremne będą nasze próby, że dysponujemy zaledwie kilkoma nędznymi workami z piachem, a stoimy w obliczu fali genetycznego przeznaczenia.

Claire nadzoruje rozpakowywanie zakupów, reorganizację lodówki i spiżarni. Russ idzie potem na górę, żeby dokoń-

czyć urządzenie pokoju. Angie zadzwoniła rano i powiedziała, że droga wolna, a wtedy podjechaliśmy z Russem po rzeczy. Miga klawisz na mojej komórce - mam wiadomości od Brooke, Laney i niepoczytalnego Kyle'a Evansa, ale nic oddzwania. Właśnie przeobrażam się w ojczyzna, a to wy maga całkowitego skupienia.

- Pozwól mu kupić samochód - mówi Claire. - Inaczej w ogólniaku nie pociupcia.

- A myślisz, że ja chcę, żeby ciupciał?

- Widział kto obróć cnoty - mówi Claire, wbijając mi palec w pierś.

- Staram się być odpowiedzialny.

- Ale wychodzisz na cnotkę niewydymkę. Tylko dlatego, że sam w ogólniaku nie ciupciałeś...

- Ciupciałem...

- A widzisz - przerywa Claire. - Pozwól mu i już. Jak ci się zrobi lepiej, możesz mu wypchać skrytkę kondomami i ulotkami o tym, że nie jeździ się po pijaku.

- Dzięki. Twoja pomoc jest nieoceniona.

- Wiem.

We trójkę jemy kolację przy stole w jadalni. Po raz pierwszy od śmierci Hailey jem przy stole, po raz pierwszy korzy stam z podkładek pod talerze i prawdziwych naczyń, po raz pierwszy nie wyciągam jedzenia z folii aluminiowej, nie jem na kanapie przed telewizorem, zapijając żarcie morzem wina albo whisky. Rozmawiamy, żartujemy, śmiejemy się. Czujemy, że to nie tylko posiłek. To inauguracja nowego etapu, choć na razie zmieniło się niewiele. Kiedyś mieliśmy „coś”, potem nastąpiło „nic”, a teraz znów mamy „coś”. To coś no wego - skromniejszego, nie tak radosnego jak wcześniej, ale dobrego i prawdziwego. To coś, co kryje w sobie ogromny potencjał. Jeśli tego nie spierdolimy.

Obyśmy tego nie spierdoli.

W niewielkiej poczekalni przy gabinecie Brooke naprzeciwko mnie siedzi dziewczyna - piękna pomimo usilnych starań, żeby wyglądać odrażająco. Usta ma pomalowane czarną szminką, oczy otoczone czarnymi, groźnymi kreskami, w nosie sterczy metalowe kółko, a we wgłębieniu pod soczystą, dolną wargą jak perła w muszli tkwi zakończony kuleczką sztyft. Dziewczyna ma wielkie zielone oczy, wysokie kości policzkowe, nieskazitelną cerę. Nikogo nie nabierze - jej uroda prześwieca przez tę maskę z siłą reflektorów przeciwmgielnych, a ja zastanawiam się, czemu z takim mozołem próbuje ją zatuszować. Dwa krzesła obok przysiadł chłopak - ma długie włosy w zupełnym nieładzie, rzadką bródkę pod dolną wargą, podarte džinsy i szkliste oczy kogoś, kto niedawno się upalił. Siedzi zgarbiony, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z kosmicznym spokojem wpatruje się w jarzeniówkę, starannie udając ostentacyjny luz. Oboje są całkowicie skupieni na tym, aby za wszelką cenę wzajemnie się ignorować. Oboje są zatroskani i oboje odstają od reszty licealistów, a jednak są zdecydowani pozostać na przeciwległych krańcach tej poczekalnianej społeczności. Zajmują różne miejsca w łańcuchu pokarmowym, a to oznacza, że nie ma dla nich wspólnego terytorium. Tak objawia się geniusz systemu: spycha te dzieciaki poza margines, żeby nie były w sta-

nie nawiązać ze sobą kontaktu, żeby nie urosły w siłę i nie za groziły klasie rządzącej.

Siedzimy więc - dwoje gniewnych dzieciaków i ja, czyli troje porąbańców. Ich milczenie ma w sobie tak potężną siłę że zmusza mnie, abym je uszanował. Ich nerwowo rozbiega ne oczy co jakiś czas spotykają się z moimi, ale pierzchają, zanim nastąpi jakakolwiek intelektualna wymiana - zaczy nam myśleć, że to cud, że w liceum w ogóle ktoś się do kogoś odzywa.

- Doug - mówi Brooke, otwierając drzwi gabinetu. - Co tu robisz?

Ma na sobie szare spodnie i czarną, jedwabną bluzkę, wy głąda na oschłą profesjonalistkę, a mój widok wcale nic wywołuje w niej takiej radości, na jaką liczyłem.

- Chciałem cię zobaczyć.

- Chryste, co ty masz na twarzy?

- To jej integralna część. - Pocieram wy sklepiiony siniak.

- Zaraz was zawołam - mówi do dwojga czekających na stolatków, ale oni są zbyt pochłonięci udawaniem, że nie isl nieją, żeby w ogóle się tym przejąć.

- Przepraszam za tamtą noc - mówię, kiedy siedzimy w gabinecie.

- Nie musisz - odpowiada Brooke.

- Mam wyrzuty.

- Wyrzuty to powinieneś mieć dlatego, że nie dzwonisz.

- Mam.

- I nie oddzwoniasz.

- Za to też przepraszam.

- I że przez ciebie czuję się jak kretyнка.

- Nie chciałem. Przepraszam.

- Gdzie tak oberwałeś?

- Pobiłem się z Jimem.

- Tak ci przywalił?

- Właściwie to przywalił mi Russ.

- Russ?
- Ale celował w Jima.
- To jakaś metafora?
- Wszedłem mu na cios.
- Aha.
- Krótko mówiąc, Russ mieszka ze mną.
- Wreszcie jakieś dobre wieści. - Brooke uśmiecha się. -No i jak?
- Dziwnie, ale w porządku - odpowiadam. - Trochę się boję. Nie, właściwie to jestem przerażony. Ale w taki dobry sposób.
- Na pewno się ułoży.
- Dzięki.
- Przez chwilę patrzymy na siebie.
- To właśnie chciałeś mi powiedzieć?
- Nie. Ciekaw byłem, jak się zapatrujesz na wesela.
- Fajny z ciebie facet, ale na takie zobowiązanie to ja nie jestem gotowa.
- Moja siostra bierze ślub w ten weekend.
- Potrzebny ci ktoś do towarzyszystwa?
- Nie. Będą Russ i Claire. Pomyślałem tylko, że fajnie by było, gdybyś ze mną poszła.
- Brooke wydaje z siebie długie, melancholijne westchnienie.
- Powiem ci, jak jest. Lubię cię, ale muszę wiedzieć, czy jesteś na takim etapie, że przy każdym zbliżeniu wpadasz w panikę i uciekasz. Jeśli tak - w porządku, rozumiem, tylko nie mam ochoty tego znosić.
- Mam to za sobą - wyjaśniam.
- Ot tak? - pyta Brooke sceptycznie.
- Ot tak.
- Doug.
- Mówię serio.
- To się trochę za szybko komplikuje.

- Wiem.

Brook przez długą chwilę uważnie mi się przygląda i w zamyśleniu przygryza dolną wargę. A ja czuję nagle, że jej odpowiedź to zasadnicza sprawa. W tej właśnie chwili sto imy wobec niezliczonych możliwych scenariuszy, jak na rozstaju dróg i cokolwiek od tej pory się wydarzy, będzie wy ni kiem tego, co się stanie w ciągu najbliższych pięciu minm. Wiem, wiem - nieraz mówiłem, że los jest oszustem, ale w końcu każdy może się pomylić. Gdybym wierzył w Boga, to zmówiłbym szybką modlitwę: Panie Boże, przyjechałeś nu już tyle razy. Daję ci szansę to wszystko naprawić, ale nie wierzę w Boga, więc się nie pomodłę. Mogę tylko nerwowo siedzieć i czekać, aż ta chwila minie. A ona tymczasem ciągnie się w nieskończoność, nadyma się jak wielki czerwony balon, więc dalej siedzę i staram się wyglądać zachęcająco, i czekam, aż balon pęknie.

- Doug.

- Brooke.

Ona po raz kolejny przeciągle wzdycha i kręci głową.

- Nie mam się w co ubrać.

Wesele Debbie potrwa cały weekend i odbędzie się w Connecticut, w siedzibie Norwalk Inn and Country Club. Na piątkowy wieczór zaplanowano kolację dla rodziny i najbliższych przyjaciół, a w sobotę o zachodzie słońca nad brzegiem oceanu odbędzie się ceremonia, po której pięciuset gości zostanie zaproszonych do głównej sali na suty bankiet. To będzie ślub, na który matka czekała całe życie. Claire wzięła ślub w Chappauaa - gigantycznej posiadłości rodziców Stephena, którą po kryjomu nazywaliśmy Rezydencją pod Złotym Końskim Gównem, a ja i Hailey zdecydowaliśmy się na niewielką, nieformalną kolację w gronie przyjaciół i krewnych w Tattinger's - naszej ulubionej restauracji na Manhattanie. Dla matki były to niemal zniewagi; zniosła je w milczeniu, jak ktoś, kto zwykle w ciszy cierpi upokorzenia. Ale z Debbie, z jej najukochańszą córeczką, wszystko poszło po jej myśli i matka wreszcie mogła się spełnić.

Jest piątkowe popołudnie. W sypialni przebieram się do kolacji. Wyczuwam coś w kieszeni marynarki. To skuwka od szminki i zmięty rachunek z tawerny „Hudson” - z naszej ostatniej wspólnej kolacji z Hailey. Takie właśnie niespodzianki wybijają mnie z rytmu; nie powinny, a jednak wybijają. Ostatnie ślady istnienia Hailey drzemią i jak artefakty czekają na swoje odkrycie. Jej zapach na mojej koszuli,

Lista zakupów spisana pod sześcioma czystymi karteczkami w bloczku przy telefonie, skuwka od szminki i rachunek w kieszeni marynarki - osad życia, którego już nie ma. Wbrew podszeptom zdrowego rozsądku rozwijam rachunek Rozmazany niebieski tusz przypomina mi, że zamówiliśmy zupy, sałatkę z wołowiną dla niej, stek dla mnie i butelkę chianti, a na deser zjedliśmy na spółkę szarlotkę z jabłkami Granny Smith. Jaskrawe urywki wspomnień zacinają moją myśl jak brzytwa: obcisła, czerwona sukienka Hailey, włosy upięte ponad smukłą szyją, jej śmiech, przy którym odrzucała do tyłu głowę. Nade wszystko powraca zmysłowa pamięć mnie samego, kiedy byłem jeszcze cały, byłem jej mężczyzną, byłem sobą. Brzuch przeszywają mi znajome, bolesne dreszcze, w piersiach czuję ciężką pustkę, ale nie, nie będę płakał. Zamykam oczy i znów tam jestem - siedzę naprzeciwko niej, upijam się nią jak winem, dopóki nie zerwę wszystkich strupów i nie otworzę wszystkich starych ran, do poki nie poczuje, że przeszywający ból po jej stracie znów jest świeży, dopóki nie będzie palił moich wnętrzności jak rozżarzony do czerwoności pogrzebacz. Ale nie płaczę. *Ma leżoną. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.*

Na klamce w łazience wisi czerwony stanik, porzucony przez Hailey jakieś sto lat temu. Chowam go do komody Potem opróżniam blat jej szafki nocnej: książki, katalogi, butelka perfum i spinka do włosów lądują w górnej szufladzie dorzucam jeszcze skuwkę od szminki wyciągniętą z marynarki. Nogi się pode mną uginają, więc siadam na brzegu łóżka po stronie Hailey - i czuję, jak do oczu napływają mi łzy ale mrugam, żeby znikły. Bo słyszę odgłos wysuwanych szu! lad w pokoju obok, gdzie Russ syczy się do wyjścia słyszę drobne kroki Claire - odgłosy stepowania na wysokich obcasach po kuchennej terakocie. To są dźwięki spoza mo-

ich marzeń na jawie, które każą mi wrócić do rzeczywistości. Biorę kilka głębokich wdechów, jeszcze przez chwilę siedzę oszołomiony, jeszcze przez chwilę czuję samotność życia bez Hailey, po czym schodzę na dół, żeby Claire zawiązała mi krawat.

Kolacja odbywa się w jednej z mniejszych sal bankietowych klubu, w której naszykowane okazały bufet. Na podium trzech muzyków wykonuje jakiś spokojny, kolacyjny utwór. Światła są przyciemnione, wokół stoją wieloramienne świeczniki, sala jest skąpana w ciepłym blasku. Matka, jak to ona, z kameralnego spotkania zrobiła wielkie zgromadzenie, więc na miejscu zastajemy tłum krewnych i przyjaciół rodziców, których wolałbym nie widzieć. Claire wskazuje na dwa bary po obu stronach bufetu, jak stewardesa objaśniająca, gdzie są wyjścia awaryjne, po czym przeciska się z Russem przez labirynt stolików pośrodku sali, żeby znaleźć nasze miejsca. Ja tymczasem przemykam się pod ścianą do baru, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Dwa szybkie kieliszki dla kurażu. No, może jeszcze dwa, żebym nabrał dystansu. Potem zamawiam jacka danielsa z colą dla pokrzepienia i niechętnie brnę przez morze gości.

Tego właśnie najbardziej się obawiałem - niepohamowanej ciekawości ludzi, których znam od zawsze, ich wymownych spojrzeń, łzawych uścisków, ściskania ramion ze wzruszeniem. Obezwładniająca litość tych, którym wydaje się, że wiedzą, co czuję, zatruwa powietrze jak węglik. Patrzą na mnie, jakbym był uznaną osobistością, i darzą szczerym podziwem wyłącznie z powodu koszmaru, który przeżyłem. Sztuka polega na tym, żeby ani na chwilę się nie zatrzymać - jak gwiazda filmowa, która wychodzi z klubu nocnego i uśmiecha się w stronę fleszy, nie zwalniając kroku. Przybieram wyraz twarzy człowieka zaaferowanego czymś niezmiernie

nie ważnym, szybko przeciskam się przez tłum, kiwam głową na powitanie, ale nie zatrzymuję się, żeby zamienić parę słów.

Naokoło krewni materializują się jak złe duchy. Wuj Freil dy - dużo młodszy brat mojego ojca, którego w dzieciństwie mieliśmy za bohatera, bo nosił buty do jazdy na motorze i ta pirował włosy jak Jon Bon Jovi. Freddy wyłysiał i wyho dowął brzuszysko piwosza, ma troje dzieci, dwie były żony i worki pod oczami - fałdy szorstkiej jak u aligatora skóry. Kuzynka Nicole - nawrócona lesbijka, która objawiła swoją homoseksualność po studiach, ale potem zmieniła zdanie i wyszła za Petera, swoją miłość z liceum. Kuzyn Nate - kilka lat starszy ode mnie, który uświadomił mi, co znaczy seks analny, kiedy miałem osiem lat, i który dał mi pierwszego macha papierosa na bar miewie jego brata Barry'ego. Barry - kiedy mieliśmy czternaście lat, dał Claire dwadzieścia dolarów, żeby pokazała mu cycki. Ciotka Abby - siostra matki; wygrała z rakiem piersi i opisała swoje zmagania we wspomnieniach, które potem sama opublikowała. Nie sposób przez tę książkę przebrnąć, ale do dziś rozdaje egzemplarze w prezencie z każdej możliwej okazji. Spojrzenia krewnych przeszywają salę jak promienie podczerwieni w muzeum, a ja jestem przebiegłym złodziejem obrazów, który zręcznie lawiruje po sali, nie uruchamiając alarmu. Oczywiście niektórym udaje się mnie zatrzymać. Ściskają mnie, kiwają smutno głowami, z agresywną szczerością mówią, jak świetnie wyglądam - jakbym wcześniej był grubasem, który niespodziewanie zgubił pięćdziesiąt funtów i znów miał szyję. Nacierają na mnie ze wszystkich stron i czuję, że zaraz wpadnę w panikę, i gdy usiłuję wypatrzeć bezpieczne przejście, dostrzegam ojca, który przeciska się przez tłum w moją stronę.

- Doug! - Ojciec podchodzi, żeby mnie uścisnąć. Wygląda genialnie w doskonale skrojonym wieczorowym garniturze i lawendowym krawacie.
- Co tam?

- Cześć, tato. - Ojciec bierze mnie w ramiona, a ja znów jestem małym chłopcem, który wdycha znajomy zapach szamponu przeciwłupieżowego i wody kolońskiej. Chcę wtulić głowę w jego szyję i objąć go nogami, kiedy on na rękach zanieś mnie na górę, do łóżka.

- Chodź - mówi, prowadząc mnie przez tłum. - Trzeba cię nakarmić.

Debbie stoi niedaleko bufetu i prowadzi ożywioną rozmowę ze swoimi druhami. Wygląda przepięknie: ma cieniutką czarną suknię, a jej ciemne włosy są splecione w wymyślny francuski warkocz.

- Cześć, mała. - Nachyliam się, żeby ją pocałować. -
Wspaniale wyglądasz.

- Co ty masz na twarzy?! - pyta.

- To, co widzisz.

- Co się stało? A, nie, lepiej nie mów - zmienia zdanie i z ciekawości naciska siniak palcem.

- A! Chryste, Debbie!

- Nie ma co, będzie na wszystkich zdjęciach.

- To się je obrobi w Photoshopie.

- Da się? Bo wyglądasz koszmarnie.

- Ciekawe, wszyscy mi dziś mówią, że świetnie. Debbie wzrusza ramionami i unosi brew z cyniczną miną.

- Wszyscy są pijani.

A skoro o tym mowa, to choć minęło ledwie pięć minut, mój drink w jakiś tajemniczy sposób wyparował, więc idę po następnego i wpadam na Russa, który właśnie odchodzi od baru z drinkiem w rękę.

- Cześć - mówię. - Dobrze się bawisz?

- Jak diabli.

- Co tam masz?

- Tonik.

- Aha.

- Z odrobiną dżinu.

Łapię się na tym, że nie powinienem pozwalać mu pić. To jedna z tych spraw, które musimy obgadać.

- Russ. Możemy przez chwilę być poważni?

- Jeśli nie, to już po nas. Terrorysty wygrali.

- Nie wymagam od ciebie zbyt wiele.

- Fakt.

- Nie mam wpływu na to, co robisz z kumplami. Muszę wierzyć, że podejmujesz słuszne decyzje. Ale nie chcę, żebyś pił albo brał dragi pod moim nosem.

Russ przez chwilę przygląda mi się uważnie, po czym z uśmiechem unosi szklanke.

- Zgoda. Co innego jeden drink przy wyjątkowej okazji, pod czujnym okiem...

- Nie przesadz.

- Tak jest.

- No, a teraz powiedz mi - mówię, obejmując go ramieniem - wpadła ci w oko jakaś babka?

Russ odwraca się w stronę Debbie - roześmianej, w gronie przyjaciółek - i mówi, wzdychając:

- Tylko jedna.

- Wiesz, nie chcę cię dołować...

- Wiem - mówi udręczony. - Miłość jest do dupy.

- Amen. - Stukamy się szklankami.

Drużbowie zebrali się przy barze i wtórując Maksowi, bratu Mike'a, prowadzą zagorzałą dyskusję o dość szerokim zakresie tematycznym: mówią o indeksie giełdowym S&P 500, o drużynach sportowych i o tym, które aktorki by zerznęli, gdyby byli trochę szczuplejsi, mieli więcej włosów i pozbyli się żon. Nic do tej rozmowy raczej nie wniosę, ale mogę tu przycupnąć na parę chwil.

- Doug - mówi Max, obejmując mnie ramieniem. - Chyba się zakochałem. Popatrz, na trzeciej godzinie

- Co?

- Tam - wskazuje, gdzie mam spojrzeć. - Ta w czarnej sukience.
- Niezła.
- Mało powiedziane. Widziałeś ten tyłeczek? - Max oblizuje się. -

Muszę ją mieć.

- Ma na imię Claire.
- Znasz ją?
- Tak.
- No i?
- Właśnie rozstała się z mężem - odpowiadam. - Odda rok życia za dobry seks.

- Żartujesz.
- Mówię serio. Jest twoja.
- Dobra - mówi Max, zabierając rękę. - Trzymaj kciuki.
- Połamania nóg.

Max podchodzi do Claire i próbuje szczęścia. Oczy Claire nagle się zwięzają, widzę, jak moja siostra bierze głęboki wdech i zaczyna mówić, i choć Max jest skończonym dupkiem, to nawet robi mi się go szkoda. Wraca po dwóch minutach, pokraśniały, odrzucony.

- Ale z ciebie palant - mówi do mnie.
- I tak wytrzymałeś dłużej niż większość.
- Ty, ona ma jakiś poważny problem.
- Chodź - mówię do niego. - Postawię ci drinka.
- Doug - za naszymi plecami pojawia się Mike. - Widziałeś Pottera?
- Nie.
- Ja też nie. Miał wznosić toast. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Dave i Laney. Szlag. Zapomniałem, że mają tu być. Jakbym miał za mało na głowie, to jeszcze przez cały weekend będę musiał udawać, że nie zauważam złowrogich spojrzeń Laney.

- Na pewno nie - mówię.

- Nie wiem, co go mogło zatrzymać. Jakby się nie po ja wił, wzniesiesz toast za niego? O, ironio losu.

Goście odszukali wreszcie swoje miejsca. Siedzę bezpiecz nie wciśnięty pomiędzy Russa i Claire, jestem na lekkim, przy jemnym cyku, który zdążył nieco okrzepnąć, i w końcu mogę się odprężyć. Matka wygląda olśniewająco w łososiowej sukni, popija wino i z zadowoleniem rozgląda się po sali. Opiera się o ojca, który co kilka chwil całuje ją w głowę, postukuje palcami w takt muzyki i radośnie wita wszystkich, którzy do niego podchodzą.

- Stan! - wykrzykują. - Jak cudownie cię widzieć!

- Też się cieszę, Phil, też się cieszę - odpowiada ojciec. Rodzice emanują radością, szczęście aż od nich bije, a ja

czuję, że jeszcze nigdy tak ich nie kochałem. Goście prowadzą niezobowiązujące rozmowy, opowiadają dowcipy, wymieniają plotki o przybyłych krewnych i wszystko idzie jak po maśle, do chwili gdy Mike zaczyna stukać nożem w szklanę, goście milkną, a on wstaje, żeby przemówić.

- Jesteśmy z Debbie bardzo szczęśliwi, że ten wyjątkowy dzień możemy spędzić w waszym gronie. Szczerze mówiąc, do dziś nie mogę uwierzyć, że taka piękna kobieta zdecydowała się na ślub z takim facetem jak ja.

- Ja też! - wrzeszczy Max, a sala zanosi się śmiechem.

- Tak się składa, że jeden z moich najbliższych przyjaciół jest bratem panny młodej. Chciałbym poprosić Douga, żeby wznosił toast.

Rozglądam się w popłochu, a tymczasem rozlegają się oklaski. Jak przez mgłę pamiętam, że Mike prosił, żebym zastąpił Dave'a, ale sądziłem, że mnie jeszcze uprzedzi, a wtedy ja się wymigam. Oklaski ustają, a ja nadal wciskani się w krzesło, zastanawiając się, co do diabła robić.

- Doug? - dobiega mnie nerwowy szept Debbie.

- Dawaj, stary - mówi Russ.

Powoli wstaję, rozglądam się po pięćdziesięciu wyczekujących twarzach i dopiero wtedy czuję, że jestem bardziej pijany, niż myślałem. Wszyscy wydają mi się jacyś odlegli -to w sumie dobrze - ale taki też wydaję się sobie ja sam, a to wróży kłopoty.

- Trzeba dać mu drinka - mówi Claire.

- Koniecznie - odpowiadam, a sala wybucha śmiechem.

- Do toastu. - Claire podaje mi czyjś kieliszek z winem. Przede mną twarze mieniają się i zlewają jak w kalejdoskopie, na karku czuję zimny pot.

- Jak zapewne wielu z was wie, wygłaszanie toastów nie wychodzi mi najlepiej - występuję wreszcie. - Ostatni raz przemawiałem na weselu Claire, a ci z was, którzy tam byli, dobrze wiedzą, jak to się skończyło. - Zduszony śmiech przebiega po sali jak uwięziony ptak szukający okna. Claire otwiera szeroko oczy i rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. - Miałem na myśli toast, nie małżeństwo... Szlag. - Claire kręci głową i chowa twarz w dłoniach. - Chciałem tylko powiedzieć, że toast nie wypadł najlepiej. Z tym będzie podobnie, więc może od razu skończę.

- Stary, ale żeś wywalił - drze się Max, zanosząc się śmiechem.

- Hej - syczy na mnie Russ. - Narobiłeś smrodu.

- Możesz mnie w dowolnej chwili zastąpić - odgryzam się.

I ku mojemu najgłębszemu zdziwieniu Russ wstaje z krzesła.

- Co ty wyprawiasz? - warczę przez zaciśnięte zęby.

- Zobaczysz - mówi, po czym ostentacyjnie zaczyna klaskać i dodaje: - Dzięki, Doug - więc nie pozostaje mi nic innego, jak opaść z powrotem na krzesło.

- Bosko - szepcze do mnie Claire, nadal kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Przepraszam - mówię. - Ja... przepraszam.

- Młody się wstawił - mówi Claire, wskazując ruchem głowy na Russa.

- Wypił tylko jednego.

- Kelner dolewał mu wina przez cały wieczór.

- A niech to szlag.

- Panie i panowie, i wszyscy z państwa, którzy mnie nie znają - jestem Russ Klein. Zastanawiacie się pewnie, co też mógłbym mieć do powiedzenia przy tak niezwykłej okazji. Russ odwraca się w stronę Debbie, której twarz wykrzywia nerwowy uśmiech. - Otóż znam Debbie tylko kilka lat, ale w dniu, w którym ją poznałem... - Russ przerywa, żeby wziąć głęboki oddech. - ...w dniu, w którym ją poznałem, zakochałem się w niej bez pamięci. - Szczeka Debbie opada ze zdumienia, tłumek wydaje z siebie ciche westchnienie. Wiem, że jestem jeszcze dzieciakiem - ciągnie Russ - ale od dawna zastanawiałem się, co bym ci powiedział, gdyby nadarzyła się okazja. Powiedziałbym, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Jesteś dobra, mądra, zabawna i seksowna, i tak piękna - tak nieskończenie piękna że bez wahania oddałbym dziesięć lat życia, żeby mieć tyle lat co ty i móc być twoim facetem. I chociaż do takiej kobiety jak ty nie mam co startować, to wiem, że będziesz ideałem, z którym każda moja dziewczyna będzie musiała się równać. I wiem też, że żadnej się to nie uda. Ale dzięki tobie mam przynajmniej cel. Tak czy inaczej, jutro wychodzisz za mąż, a to znaczy, że ja muszę się odkochać. Pomyślałem, że może łatwiej mi będzie, jeśli powiem wszystko na głos. Mike, w żadnym razie nie chciałem cię urazić, jesteś porządnym facetem i mam tylko nadzieję, że nigdy nie zapomnisz, jakim jesteś szczęściarzem. Debbie, życzę ci wszystkiego najlepszego, zasługujesz na to. Musisz wiedzieć, że myśląc o tobie, przebrnąłem przez wyjątkowo gówniany okres w moim ży-

ciu - przepraszam wszystkich za brzydkie słowo - i zawsze, zawsze będę cię za to kochał. - Russ rozgląda się po twarzach, nagle onieśmielony, i wstydliwie unosi kieliszek. - Do dna, drodzy państwo.

Russ siada, a wtedy rozlegają się niepewne oklaski i nerwowy chichot, poruszeni goście naprędce wymieniają komentarze, po czym wstaje Debbie, z zaczerwienionymi oczami i mocnym rumieńcem, i znów zapada cisza.

- Russ, nie wiem nawet, co powiedzieć. To były najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek... - Debbie przerywa na chwilę, niepewna, jak dokończyć. - Powiem ci tylko, że jeśli nam z Mikiem nie wyjdzie, to dowiesz się o tym pierwszy. - Rozlega się śmiech gości, a Russ wygląda tak, jakby poważnie rozważał, czy nie podciąć sobie żył.

- Niech mnie chudy byk - mówi.

- Spoko - odpowiadam. - Masz jaja, chłopie.

- Zrobiłem z siebie idiotę.

- Byłeś cudny - mówi Claire, nachylając się, żeby go pocałować. - Wszystkie babki w tej sali właśnie się w tobie zakochały.

Debbie odchrząkuje.

- Chciałabym powiedzieć coś jeszcze - mówi, a mnie coś niepokoi w tym, jak jej oczy odnajdują moje i natychmiast uciekają.

Nie podoba mi się to. Po jakimś czasie nabawiłem się czegoś w rodzaju szóstego zmysłu i pewne rzeczy wyczuwam.

- Ostatnie lata były dla naszej rodziny wyjątkowo trudne - mówi Debbie, a goście wstrzymują oddech i jak zahipnotyzowani czekają na rozwinięcie wątku. - Chciałabym przez chwilę wspomnieć o mojej bratowej, Hailey. Była dla mnie siostrą i przyjaciółką i dziś, w przeddzień mojego ślubu, nie mogę pogodzić się z tym, że jej tu nie ma. Kochamy cię, Hailey, i zawsze będzie nam Ciebie brakowało.

Matka płacze, Claire płacze, Russ się trzęsie, krewni przy sąsiednich stolikach wycierają oczy i wydmuchują nosy, i nic płacze tylko mój ojciec, który wygląda na szczególnie porużonego, jakby właśnie usiłował coś pojąć. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie, jak na nominowanego aktora, który nic dostał nagrody. Czuję na sobie ten wzrok, czuję wyczekiwa nie na moją reakcję, skóra mi cierpnie, serce wali jak wojsko wy bęben, gorąco mi jak w saunie, pot spływa po koszuli. Wtem głos Debbie cichnie, gasną wszystkie dźwięki, pokój zwięza się w mały, czarny korytarz, nie dociera do mnie nic poza miękkim szeptem moich stóp na pluszowym, kwiecistym dywanie i lekkim tarcieniem butów przy każdym pospiesznym kroku. Wiem, że ktoś za mną idzie - Claire, Russ albo matka - wyczuwam czyjś ruch, ale w tej chwili nie jestem w stanie na nikogo spojrzeć, więc gonię do ciężkich drzwi pożarowych i pędzę korytarzem, wybiegam przez drzwi wyjściowe w chłód nocy. Stoję na podjeździe, we fluorescencyjnym świetle neonów, opieram się o ścianę - wdech, wydech czekam, aż galopujące serce się uspokoi.

Słyszę kroki. Na podjeździe wyłania się ojciec.

- Doug - podchodzi i staje przede mną.

- Cześć, tato.

Unosi moją brodę, żebym na niego spojrział. Oddycha ciężko, zmęczony biegiem po budynku, ale wzrok ma bystry i przenikliwy. Czyżbym dopiero teraz zauważył, że ma niebieskie oczy?

- Hailey - mówi z wahaniem. - Ona nie żyje.

- Tak, tato. Nie żyje. Ojciec kiwa głową.

- Od dawna?

- Od trzynastu miesięcy.

- Wiedziałem o tym?

- Tato.

Ojciec kręci głową.

- Wiedziałem?

- Czasem pamiętasz. Czasem zapominasz.

- Coś ty musiał przejść. Coś ty musiał przejść - mówi ojciec, wciąż kręcąc głową, a oczy zachodzą mu łzami.

- Już dobrze, tato.

- A ja ci nie pomogłem.

- To nie twoja wina.

- Tak mi przykro.

Przymykam oczy. Kiedy po chwili je otwieram, on właśnie sięga w moją stronę. Spod moich przemoczonych rzęs łzy wystrzelają jak naboje, wydają z siebie rwany jęk i wpadam mu w ramiona. Ojciec przytula mnie, kołysząc nas łagodnie w przód i w tył, opiera brodę o moją głowę, ciepłą, suchą dłoń trzyma na mojej szyi. Pierwszy raz od śmierci Hailey komuś się wypłakuję - to zupełnie inny płacz, pełniejszy, więc wyję jak ciota, wylewam z siebie łzy, jakby całe łkanie do tej pory było tylko próbą przed tym jednym, doskonałym szlochem na miękkich, krzepkich piersiach ojca. Po niedługim czasie uspokajam się, a wtedy ojciec odsuwa się i nadal trzymając mi ręce na ramionach, mówi:

- W dzieciństwie nigdy nie płakałeś. Baliśmy się, że coś jest z tobą nie tak.

- I było.

Ojciec kręci głową.

- Chodź do środka.

- Zaraz. Daj mi jeszcze chwilę.

- Weźmiesz się w garść? - pyta, uważnie mi się przyglądając.

Potakuję i silę się na wąły uśmiech.

- A mam wybór?

- Mój chłopak - mówi ciepło i odchodzi.

Po kilku minutach, kiedy nadal stoję na podjeździe, wpatruję się w czarne niebo i męcę się z czkawką po szlochaniu, z cienia na parkingu wyłania się jakaś postać. Jestem jeszcze

oszołomiony, na oczach mam mgłę i dopiero po chwili roz poznaję Dave'a Pottera. Ma na sobie spodnie od garnituru i T-shirt, i fryzurę, jakby wyszedł spod prysznic i wpadł w tunel powietrzny.

- Doug - rozlega się jego głos.

- Spóźniłeś się - cedzę.

I dopiero wtedy spostrzegam, że on ma w ręku broń.

To sześćostrzałowy rewolwer - na naboje .357 Magnum albo .38 Special - nie jestem pewien - taki z magazynkiem w kształcie bębena, którym po załadowaniu widowiskowo się obraca, żeby potem go zatrzasnąć zdecydowanym ruchem nadgarstka. Wyobrażam sobie Dave'a Pottera, jak w ten właśnie sposób nabija broń w swoim gabinecie nad zdobnym, mahoniowym biurkiem. Kto, do licha, trzyma coś takiego w domu? On ma dzieci. Nie zna statystyk?

Dave nie wziął mnie na muszkę, trzyma rewolwer w zwisającej dłoni, a we mnie na chwilę wstępuje nadzieja, że nie podniesie ręki. On tymczasem już podjął decyzję, jadąc do restauracji, dokładnie przemyślał, jak mnie zastrzeli. Zastanawiam się, czy po drodze słuchał muzyki, czy nucił piosenkę, czy włączał kierunkowskazy. Wtem Dave wydaje z siebie stłumiony jęk i wymierza lufę w moją klatkę piersiową.

Po raz pierwszy jestem na celowniku, ale podobnie jak większość ludzi nieraz wyobrażałem sobie taką sytuację i zastanawiałem się, jak bym się zachował. Próbowałem określać kąt lotu kuli, przemyślałem rozmaite techniki obezwładniające, od kopnięć z obrotu à la Chuck Norris po szybki chwyt z blokadą wyćwiczoną na treningach jujitsu - miałem jednocześnie wytrącić broń napastnikowi i powalić go na ziemię. Dave jest starszy i wolniejszy, więc powinienem dać mu

radę, tylko że ktoś musiał majstrować przy grawitacji, bo czuję się, jakbym ważył tysiąc funtów i miał nogi przygwożdżone do ziemi, za to tyłek zaciśnięty tak mocno, że chyba będą musieli mi go potem chirurgicznie rozwierać. Wpatruje się osłupiały w ciemną lufę rewolweru, a w moim żołądku rozpętuje się piekło - wszystko, co mam w środku, usiłuje się kryć, nurkuje za barem, wywraca stoliki, wciska się pod ścianę.

- Doug - powtarza Dave.

- Dave. Co u ciebie?

- Nie najlepiej. - Jego twarz wykrzywia się w perwersyjnym uśmiechu, który przeraża mnie bardziej niż broń. A skoro pytasz, to powiem ci, że dawno nie było tak źle.

Kiwam głową, badawczo wpatrując się w jego zarumienioną, spoconą twarz. Muszę nakłonić go do rozmowy, od dzielić moją pierś od rewolweru całym stosem słów. W końcu nie zabija się kogoś w środku zdania. James Bond zawsze żyje w ten sposób te kilka minut, w ciągu których na miejsce docierają komandosi. Umie wykorzystać moment.

- Zastrzelisz mnie, Dave? - pytam. Może słysząc te słowa, otrzeźwieje.

- Pierdoliłeś się z nią! - wykrzykuje tak głośno, że cały się kulę. Pierdoliłeś moją żonę.

Przez jedną, szaloną chwilę rozważam ewentualne korzyści bezczelnego pójścia w zaparte. Co takiego? - spytam z wytrzeszczonymi oczami, udając niedowierzanie i urazę. Coś ty powiedział? Słuchaj, nie wiem, co jest między wami, ale w życiu jej nie dotknąłem. W życiu! Za chwilę powiem to na głos z bezgraniczną szczerością, dam mu chwilę do namysłu, to wystarczy. Przecież nie zastrzelilibyście kogoś, kto wcale nie spał z waszą żoną, prawda? Zanim poszlibyście na całość, chcielibyście mieć pewność, no nie?

Ale po jego twarzy widzę, że on wie. Cokolwiek powiedziała mu Laney, on ma niewzruszoną pewność. Jeśli się wy-

pre, tylko go rozwścieczę, a to może wystarczyć, żeby nacisnął spust.

- Dave - mówię więc. - Chyba nie chcesz mnie zabić.

- Twojej żony nikt, zdaje się, nie przeleciał, więc skąd, do kurwy nędzy, wiesz, czego ja mogę chcieć?!

- Masz rację. Przepraszam.

- Niech cię szlag. - Dave robi dwa kroki w moją stronę. Z bliska widzę jego drżącą z furii szczękę i wściekle nabrzmiałe żyły na szyi. Celuje w moją twarz. Stoi jakieś dziesięć, może dwanaście stóp ode mnie. Nie chybi. - Pierdoliłeś się z nią. Jakby była nikim. Potraktowałeś matkę moich dzieci jak kurwę.

- Nawaliłem, Dave. Przepraszam. Byłem w koszmarnym stanie...

- I co, kurwa, jeszcze?! - wrzeszczy mi w twarz histerycznie, wymachując lufą w moją stronę. - Co to, kurwa, ma być? Nowa faza żałoby? Zaprzeczenie, rozpacz, dezorganizacja, a potem pieprzenie żony kumpla?

- Dave, błagam cię, uspokój się.

- Stul pysk!

- Dzieci cię potrzebują.

- Nie waż się o nich wspominać.

- Przepraszam.

- Zamknij się! - ryczy niemal błagalnie.

Zamykam się. Spocona twarz Dave'a lśni w świetle lamp zamontowanych na markizach. On wpatruje się we mnie, ja -w lufę rewolweru. Trzyma palec na spuście, bezwiednie go zgina, a mnie ogarnia przerażająca świadomość, że za chwilę mnie zastrzeli. Zamykam oczy i staram się przywołać wizerunek Hailey. Jeśli to ma być mój koniec, niech tak będzie, ale w takim razie umrę, widząc w myślach jej twarz, z jej imieniem na ustach. - Hailey - mruczę jej imię jak modlitwę, mam ją przed oczami, uśmiecha się do mnie, kocha mnie, a ja jestem gotów, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - na dźwięk głosu ojca na tychmiast otwieram oczy. Potem słyszę wrzask Claire. Oboje stoją w drzwiach, patrząc na nas w osłupieniu.

- Już dobrze - mówię do nich.

- Dobrze? - powtarza Claire. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Odłóż broń, synu - mówi ojciec, powoli podchodząc do Dave'a.

- Cofnij się! - Dave mierzy teraz w ojca. Ojciec podnosi ręce, ale się nie cofa.

- Już dobrze, synu - mówi.

- Pieprzył się z moją żoną! - mówi Dave, a głos mu się załamuje.

- Kurwa nędza - klnie Claire.

- To prawda? - pyta mnie ojciec, zdejmując wzrok z Dave'a.

- Tak - odpowiadam.

- Rozumiem - mówi ojciec, pochodząc do Dave'a, który znów mierzy w moją głowę. - Zostałeś skrzywdzony i cierpisz. Chcesz sprawiedliwości - to jasne. Ale wiesz, że to nic jest sposób.

- Zabiję go.

- Nie - mówi ojciec łagodnie. - Chcesz to zrobić i nikt cię za to nie wini, ale masz tyle oleju w głowie, żeby wiedzieć, że to nie jest rozwiązanie. Przyszedł twój czas, synu. Czas na ból, cierpienie i zniszczenie tego, kim do tej pory byłeś. W którymś momencie każdy dostaje od życia po dupie. Ale potem musimy się dźwignąć i coś zmienić, bo tak właśnie robią mężczyźni. Przystosowujemy się. A kiedy mamy to już za sobą, jesteśmy silniejsi. Możemy przetrwać, możemy się rozwijać.

- On nie zasługuje na to, żeby żyć - zawodzi Dave ze łzami w oczach. Ręka, w której trzyma rewolwer, drży.

- Ale to nie ty o tym decydujesz - odpowiada ojciec. - Masz ważniejsze sprawy na głowie. Masz rodzinę? Dzieci?

- Tak - odpowiada Dave i cały drży z napięcia. Rewolwer jest nadal wycelowany w moją twarz.

- Przede wszystkim zadbaj o rodzinę - tłumaczy ojciec zdecydowanym głosem. - Potem o siebie. Przemyśl, jak musisz się zmienić, żeby przez to przejść. Bo przejdiesz. Ale jeśli naciśniesz spust, nie będziesz miał wyjścia. Pozostanie ci tylko włożyć sobie lufę do ust. Jesteś na to gotów?

Dave wbija we mnie wzrok, trzęsie się i poci, a ja w tej chwili chcę, żeby nacisnął spust. Nie chcę już patrzeć na jego udreconą twarz, nie chcę widzieć bólu, który mu zadałem, kierowany wyłącznie swoim egoistycznym interesem.

- Doug - głos Dave'a brzmi jak skamlenie.

- Już dobrze, Dave - odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy. - Rozumiem. Jestem gotowy.

- Stul ten pierdolony pysk! Nie jesteś! - wrzeszczy Claire. - On też nie!

Dave wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym w niepojęty sposób jego twarz rozpręga się w nikłym uśmiechu.

- Nie tak wyobrażałem sobie ten dzień - mówi.

- No to jest nas dwóch.

Dave powoli opuszcza broń, ale wtem z ciemności parkingu wyłania się Russ, z wyciągniętymi rękami rzuca się na niego i sięga po broń. Obaj padają na ziemię, ale wcześniej następuje huk, który zagłusza wszystkie inne odgłosy, a lufa przez chwilę rozbłyskuje jak rakieta. Teraz Dave i Russ turlają się po ziemi, wciśnięci w siebie, jakby ktoś ich związał, a rewolwer toczy się po brukowanym podjeździe, Claire piszczy, ojciec wrzeszczy i coś pokazuje, ale nie dociera do mnie żaden dźwięk, jest tylko martwa cisza. Zastanawiam się, gdzie trafiła kula. Russ leży na ziemi nieruchomo, Claire

dalej piszczy, ojciec rozgląda się oszołomiony, Dave podnosi się otepiony, ale Russ nie wstaje, o, Chryste, on nie wstaje, czuję, jak w gardle narasta mi krzyk, niech się wreszcie poruszy, on nie może zginać, to nie może się tak skończyć, czuję, jak ściana za plecami wdziera się w moją marynarkę, błagam, Russ, rusz się, wstań z tej pierdolonej ziemi i daj jakiś znak, kupię ci samochód, dostaniesz, kurwa, ferrari, tylko się rusz! Nie do wiary, Russ obraca się na brzuch, podnosi się do kłku i wpatruje się we mnie z przejmującą trwogą, o, Chryste, co za ulga, jak ja się, kurwa, cieszę, w tej chwili nic innego niema znaczenia, nic na świecie się nie liczy, bo Russ jest cały. Tylko że on jakoś dziwacznie się unosi i zawisa w powietrzu nade mną, Claire i ojciec też się unoszą jak balony z helem, są coraz wyżej i wyżej - to najdziwniejsza rzecz, jak;| w życiu widziałem. Moja rodzina wzbija się w powietrze i wisi nade mną. Po chwili powracają dźwięki - kakofoniczny potok - i jakaś gorąca wilgoć rozlewa się po moim boku, pro mieniuje do brzucha i piersi i nagle leżę na podjeździe i wpatruję się w metalowy szkielet białej markizy nad oknami klubu.

- Doug! - krzyczy Claire, pada na kolana tuż obok i chwyta mnie za ramiona. Chcę ją uspokoić, powiedzieć, że właściwie to czuję się całkiem dobrze, jestem przyjemnie odrętwiały, to dobry stan - jakbym zapił dwie vilki butelką wina, a potem pociągnął trzy machy z fajki wodnej. Chcę jej powiedzieć, że jakimś dziwnym trafem widzę, jak włosy wyrastają jej z cebulek, a ojcu, który przykłęka nade mną, zbiera się pot w porach skóry. Widzę nawet, że żyła na skroni Russa pulsuje w rytmie jego serca i naprawdę wszystko jest w porządku.

Na wpół dociera do mnie, że wokoło pojawili się inni ludzie, że na podjeździe zebrał się tłum.

- Dzwon po karetkę - mówi ojciec do Russa, który wpatruje się we mnie, skamieniały. - Russ! - krzyczy ojciec,

a powieki Russa wreszcie zaczynają mrugać, kiedy sięga do kieszeni marynarki po komórkę.

- Już dobrze - mówię, ale chyba nikt mnie nie słyszy, więc zastanawiam się, czy powiedziałem to, czy tylko pomyślałem.

Claire płacze, ojciec zdejmuje jej ręce z moich ramion, odchyła połę mojej marynarki i rozpina mi koszulę.

- Popatrzmy - mówi spokojnie. Kiedy jego ręka dotyka mojej skóry, czuję, jakby przyżegał mnie ogień - wzdragam się tak gwałtownie, że walę głową w bruk. Drugą rękę, zbroszoną krwią, ojciec kładzie mi na piersiach. - Trzymaj się, Doug - mówi, mocno przyciskając mnie do ziemi. Odrywa kawałek mojej koszuli i wyciera nim krew zbierającą się na moim brzuchu. - Słyszysz mnie?

- Tak - odpowiadam, a mój własny głos dudni mi głucho w uszach.

- To dobrze. Słuchaj mnie. Wyjdiesz z tego. Muszę cię na chwilę przekreślić. Claire, włóż mu ręce pod głowę, żeby znów się nie uderzył. Claire! Weź się w garść i rób, co mówię!

Czuję ręce ojca na moich plecach. Kiedy odwraca mnie na bok, ból ma wszystkie kolory tęczy, jest nagły i wszechogarniający. Potem zostaje odwrócony z powrotem, zapłakana twarz Claire unosi się tuż nad moją, jej ręce przytrzymują mnie za głowę, ojciec delikatnie przyciska mi tuż nad prawym biodrem strzęp koszuli.

- Czysta rana - mówi, kiwając głową. - Kula przeszła na wylot.

Obok mnie na ziemi klęka Russ i płacze, a ja chcę mu powiedzieć, żeby się nie martwił, że nic mi nie jest, ale nie mogę odnaleźć głosu. Claire nie przestaje płakać, słyszę głos matki - piskliwy, na skraju hysterii - a potem pojawiają się sanitariusze, których instruuje ojciec. Kiedy tak do nich przemawia - autorytatywnie, w żargonie medycznym - pęcznieję

z dumy. Kogut na dachu karetki obraca się i mruga, topi wszystko w kinetycznym, czerwonym blasku i choć nikogo nie widzę, to jestem świadomy obecności wszystkich, którzy stoją naokoło. Jest tu Debbie, która płacze, Mike, który ją przytula, jego brat palant i wszyscy moi krewni, i wszyscy ludzie, których zdążyłem poznać w ciągu życia - to chyba najlepszy moment, żeby zniknąć, więc kiedy obejmuje mnie następna fala czerwonego światła, chwytam ją i płynę na niej ku 38 zapomnieniu.

Budzę się, kiedy wiozą mnie na stole do izby przyjęć. Jeden sanitariusz jest z przodu, drugi z tyłu. Obok mnie idzie ojciec, trzymając mnie za ramię. W chwili gdy mijamy automatyczne drzwi, podbiega do nas młoda lekarka w niebieskim kitlu i białym fartuchu.

- Co tu mamy? - pyta sanitariusza, który jest bliżej niej.

- Pojedyncza rana postrzałowa w dolnej lewej części brzucha z widocznym miejscem wlotu i wylotu - odpowiada ojciec. - Narządy stabilne, brak oznak wewnętrznego krwotoku. Dajcie mu kroplówkę - pięćset jednostek soli fizjologicznej, żeby go nawodnić. Trzeba zrobić tomografię żołądka i miednicy, żeby wykluczyć poważniejsze obrażenia.

- Jest tak, jak mówi - potwierdza sanitariusz.

- Proszę wybaczyć - mówi zdezorientowana lekarka. - Kim pan jest?

- Doktor Stanley Parker, jego ojciec.

- Doktorze Parker, muszę skonsultować się z chirurgiem.

- Jak się pani nazywa, młoda damo?

- Doktor Holden. Stephanie Holden.

- Pani doktor, właśnie się pani skonsultowała. Kto jest na dyżurze?

- Doktor Morris.

- Sanford Morris?

- Tak.

- Proszę go obudzić i powiedzieć, że właśnie przyjęliście syna Stanleya Parkera z raną postrzałową.

Podczas prześwietlenia mam leżeć nieruchomo, ale rana tętni, piecze i swędzi, więc nie mogę przestać się wiercić. Doktor Morris tłumaczy, że radiolog potwierdził brak poważniejszych obrażeń narządów, ale nie można wykluczyć uszkodzenia otrzewnej, bo za bardzo się kręciłem. Rano trzeba będzie powtórzyć badanie.

- Numer mojego pagera - mówi doktor Morris, wręczając ojcu wizytówkę. - Jestem tu do rana. Dzwon w każdej chwili.

- Wielkie dzięki, Sandy.

- Nie ma za co, Stan. Dobrze cię widzieć. Brakuje cię tutaj.

- I mnie tego brakuje.

Ojciec wiezie mnie do sali. Matka stoi w oknie, Claire i Debbie leżą na łóżku, a Mike i Russ są w rogu, po obu stronach wielkiego fotela z pochylanym oparciem. Russ jest blady i przerażony. Czuję jego strach bardziej dotkliwie niż potężne wyrzuty sumienia, że przeżywa ten koszmar przeze mnie.

- Hej - mówi matka, podbiegając do mnie. Nachyla się, całuje mnie i zaczyna płakać.

- Już dobrze, mamo.

- Tak się bałam!

- Będzie dobrze, Evie - pociesza ją ojciec i łagodnie ode mnie odciąga.

- O mało nie zginął!

Ojciec prowadzi matkę do okna. Ona wtula się w niego, a on trzymając mocno i cichutko mruczy jej coś do ucha.

Debbie i Claire wstają z łóżka, pomagają mi się w nim położyć, a potem kładą się po obu stronach.

- Zawsze musisz być w centrum uwagi, co? - mówi Debbie, całując mnie w policzek.

- Przepraszam cię, mała. Zepsułem ci kolację.

- Dobrze, że nic ci nie jest - odpowiada. - Zrobiłbyś wszystko, byle tylko nie pojawić się na ślubie, co?

- Na dole jest policja - mówi Mike. - Potrzebujesz prawnika?

- Powiedz, że to był wypadek. Pokazywał mi rewolwer i niechcący wystrzelił.

- Na pewno?

- A to wystarczy, żeby nie miał kłopotów?

- Jeśli ma pozwolenie, to tak.

- Już do ciebie idę - zwraca się Debbie do Mike'a, który wychodzi z sali.

- Trzeba było widzieć ojca - mówię wzruszony. - Wie, co robi.

- W klubie też się popisał. To on cię ratował.

- Jest dziś w formie.

- Doskonalej.

- Jak to dobrze, że on jeszcze się trzyma - mówi Debbie.

- I to jak - potakuję.

- Brzuch mnie boli - oznajmia raptem Claire.

- Dziecko? - pyta zaniepokojona Debbie. Claire kręci głową.

- Nie, bliźniacza telepatia.

- Serio? - pyta Russ. - Czujecie ból tego drugiego i takie tam?

- Nie ma bliźniaczej telepatii.

- Nie słuchaj go - mówi Claire. - On po prostu musi być na nie.

- To taki dzień - odpowiadam. Czuję, że oczy mi się kleją. - Która godzina?

- Chwila po pierwszej - mówi Debbie. - Hej, wiecie co, dziś wychodzę za mąż.

- Gratulacje.
- Pójdziemy już - mówi i całuje mnie w czoło.
- Dzięki, mała.
- Myślę, że dzisiejszy wieczór będzie doskonałą okazją, żebyś wreszcie przestał tak do mnie mówić.
- Nie widzę związku - mówię po chwili namysłu.
- Odpocznij. - Debbie kręci głową i uśmiecha się.
- Mała?
- Tak?
- Kocham cię.
- Morfina przez ciebie przemawia. Teraz w czoło całuje mnie ojciec.
- Dobranoc, Doug.
- Dziękuję za wszystko. Byłeś niesamowity.
Ojciec przygląda mi się i delikatnie głaszcząc mnie po twarzy, a ja czuję nabrzmiewającą w gardle gorącą kulę.
- Wylizesz się - dodaje ojciec.
- Tylko, broń Boże, niczego nie jedz - mówi matka. - Tu się roi od zarazków. Rano przywiozę ci śniadanie.
Claire daje mi buziaka.
- Ale z ciebie porąbaniec.
- Wiem.
- Zajmę się tobą, tylko błagam - daj chwilę odetchnąć, zanim znów coś zmajstrujesz.
- Marzy mi się nuda.
- Nuda brzmi fantastycznie.
Russ zamyka za nimi drzwi i odwraca się w moją stronę, ale nagle wpada nieco zadyszana Debbie.
- Russ.
- Tak?
- Twój toast był niesamowity.
Debbie przytula Russa i całuje go - to długi, soczysty pocałunek. Potem daje mu jeszcze krótkiego buziaka, a potem cmoka w czoło.

- Dla mnie ty też jesteś piękny - mówi. - Dobra, to na razie.

Po jej wyjściu on stoi zarumieniony, totalnie osłupiały, po czym jego twarz stopniowo się rozpromienia.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Daj mi chwilę.

Wskakuje na fotel i wykonuje taniec radości, podbiega do parapetu, wychyla się na zewnątrz i wznosi przeciągły, triumfalny okrzyk. Potem zamyka okno, podchodzi do mnie, kładzie się obok, zdyszany, uśmiechnięty.

- No i sam powiedz, czy to nie jest najpiękniejszy dzień w życiu?!

Budzę się w nocy, pusty w środku i zdezorientowany. Russ śpi tuż przy mnie, w garniturze i krawacie, i lekko pochrapuje, a ja tak się cieszę, że on tu jest, że grzeje łóżko obok mnie. Jestem totalnie wykończony, czuję wszechogarniającą słabość, która tli się w każdym moim mięśniu jak węgle. Jestem facetem, który został postrzelony przez zazdrosnego męża. Tak, to właśnie ja. Trochę to zajmie, zanim się z tą myślą oswoję. Wodzę oczami po ciemnej sali, usiłuję rozpoznać kształty przedmiotów, ale wszędzie widzę tylko czarną lufę rewolweru Dave'a - wpatrzoną we mnie, wszechwiedzącą. Spojrzałem mu wczoraj w oczy i powiedziałem, że jestem gotowy, ale kiedy tak leżę, czując na uchu spokojny oddech Russa, wiem, że się myliłem. Nie jestem ani odrobinę gotowy na śmierć. Dość już się naumierałem. Mam jeszcze trochę życia przed sobą. Muszę tylko żyć trochę bardziej ostrożnie.

Otwieram oczy. Przy łóżku siedzi Laney Potter - wyglądu na zmęczoną i wątłą, ma oczy spuchnięte od płaczu.

- Hej - mówi miękko.

- Hej.

- Russ poszedł po śniadanie.

- Super.

Laney kiwa głową, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

- Laney-mówię do niej.

- Przepraszam cię, Doug - mówi i zaczyna płakać. - Nigdy bym go o coś takiego nie podejrzewała.

- Wiem.

- O mały włos nie zginąłeś.

- Już dobrze.

- To przeze mnie - mówi Laney, nachylając się. Wszystko przeze mnie. Byłeś w żałobie, a ja to wykorzystałam. Miałam być przyjaciółką. Ty próbowałeś się otrząsnąć, ja nie mogłam tego znieść. Gdyby coś ci się stało...

No, w końcu coś mi się stało - myślę sobie, kiedy ona szlocha, zakrywając twarz dłońmi, a potem grzebie w torbie, szukając chusteczki.

- Posłuchaj - mówię. - To tak samo moja wina, jak i two-

ja. Zdaje się, że traktowałem śmierć Hailey jak przepustkę do wyprawiania wszystkiego, na co przyjdzie mi ochota. Byłem samolubny i głupi i dłużej tak nie chcę. Laney kiwa głową i wciska się w fotel.

- Mike był u nas w nocy, żeby ustalić wersję dla policji. Dziękuję ci.

- To naprawdę był wypadek.

Laney przygląda mi się przez chwilę, bezwiednie kiwając głową.

- Jak myśmy w to zabrnęli, Doug?

Nie znam odpowiedzi, więc kręcę głową i zamykam oczy, a kiedy znów je otwieram, na miejscu Laney siedzi Russ i wcina rogała.

- Oto i on! Wrócił! - pokrzykuje.

Do szpitala przewieziono rannych w karambolu, do którego doszło w White Plains - nie zrobią mi rano tomografii, więc nie zostanę wypisany. Matka wpada na chwilę z torbą rogali i szybko znika, aby rzucić się w szal weselnych przygotowań.

- Jak ojciec? - pytam.

- Ma gorszy dzień - mówi matka, oglądając z uwagą swoje ręce.

- Jak to?

- Co jak to? - pyta. - Obudził się wściekły, nie odezwał się do mnie słowem, a jak wychodziłam, rzucał czym popadnie w Rudy'ego.

- Jezu - stękam. - Po tym, co było wczoraj, myślałem...

- Że wyzdrowieje.

- Właśnie.

- Doug. On już zawsze taki będzie. - Matka kiwa głową z ponurym uśmiechem.

- Jak ty sobie z tym radzisz? - pytam ją, czując, jak w jednej chwili ogarnia mnie bezbrzeżny smutek.

- Jak ze wszystkim. - Matka z rezygnacją wzrusza ramio-

nami. - Po prostu liczę na to, że tych dobrych dni będzie więcej niż złych.

- Mamo, tak mi przykro.

- No i łkam proszki.

W południe oczekujących na tomografię nadal jest cały tłum, a mój pobyt w szpitalu zaczyna nużyć. Russ postawił kosz na śmieci na parapecie. Mniemy kulki z gazet, rzucamy i liczymy punkty. Russ wygrywa, bo ja jestem ranny, no i dlatego, że zawsze byłem w tym do bani. Piłki nam się kończą, więc Russ wysypuje je z kosza na łóżko, żeby zacząć drugą rundę.

- Gramy w głupa.

- Nie mogę się ruszyć.

- No to przegrasz.

- Dobra, zaczynaj.

Rzuca, leżąc na podłodze za łóżkiem. Rzuca z łazienki. Rzuca, opierając się plecami o najbardziej oddaloną ścianę.

- Same pudła - narzeka. Otwiera drzwi, żeby rzucić z korytarza, a tam stoi Brooke, która właśnie miała zapukać.

- Pani Hayes - mówi Russ.

- Cześć, Russ - odpowiada Brooke, spoglądając zza niego na mnie. - Wybrałam zły moment?

- Nie, idealny - odpowiadam. - Przyłącz się do zabawy. Brooke niepewnie wchodzi do sali, wygląda tak świeżo,

jakby dopiero wzięła poranny prysznic, jest ubrana w dżinsy i szarą koszulkę, spod której wystaje czarna bluza z długim rękawem.

- Idę po coś do picia - mówi Russ. - Chcecie coś?

- Nie, dzięki.

Russ wychodzi, a Brooke siada usztywniona.

- Jak jest?-pyta.

- Dobrze. Chyba nawet lepiej niż od dłuższego czasu. Zdaje się, że dzięki temu sporo do mnie dotarło.

- Będiesz na weselu?

- Nie - odpowiadam. - Przykro mi. Naprawdę chciałem cię tam zabrać.

- Tak chyba będzie najlepiej - mówi Brooke, a jej głos jest czymś podszyty: żalem? smutkiem? złością? Nie wiem czym, ale instynkt podpowiada mi, że cokolwiek to jest, nie wróży mi nic dobrego.

- Co się dzieje, Brooke?

Brooke przelotnie na mnie zerka i odwraca wzrok.

- Doug-mówi cichutko.

- Aż tak źle?

- Chyba tak.

Kiwam głową, przyswajając tę myśl. Jakoś w świetle wydarzeń ostatniej doby taki zwrot akcji niespecjalnie mnie zaskakuje. Tłumacząc sobie, że byliśmy raptem na paru randkach, że to nie jest koniec poważnego związku, ale spod otepiającego płaszcza morfiny przebija się poczucie, że to zaboli później, jak naciągnięty mięsień.

- Rozumiem - mówię.

- Nie sądzę - odpowiada Brooke. - Kiedy nie chciałeś się ze mną przespać, uznałam, że nie jesteś gotowy na seks, ale okazuje się, że seksu miałeś w bród. Nie byłeś gotowy na mnie.

- Bo zbyt wiele dla mnie znaczysz - odpowiadam. -Przysięgam, taka prawda.

- Wiem - Brooke uśmiecha się smutno. - Wierzę ci. Nie mam żalu. To znaczy, mam, ale mi przejdzie. Rzecz w tym, że intymność ze mną cię przerosła, ale seks z mężatką, która się nie liczy, nie stanowił żadnego problemu. Nie oceniam cię, Doug. Nie chcę, żebyś tak myślał. Byłeś w żałobie, samotny, trafiła się współczująca przyjaciółka. Takie rzeczy się zdarzają. Tylko że tak nie zachowuje się ktoś gotowy na prawdziwy związek, a ja za bardzo cię lubię, żeby się z tobą taplać w twoim szambie.

Czasem facet idzie ulicą i dostrzega ładną dziewczynę, w której podoba mu się coś więcej niż śliczna twarz. Dziewczyna ma w sobie coś ciepłego, mądrego, zmysłowego i za chęcającego i choć facet ma tylko trzy sekundy, żeby się jej przyjrzeć, to i tak z miejsca się zakochuje. Te trzy sekundy wystarczają mu, żeby wiedzieć, jak będzie smakował jej pocałunek, jaka będzie w dotyku jej skóra, jak się będzie śmiała, patrzyła na niego i dawała mu poczucie spełnienia. Dziewczyna znika, a pięć minut później on oplakuje jej stratę bardziej, niż byłby skłonny to przyznać. Brooke jest jedną z takich dziewczyn, ale to nie było tak, że minąłem ją na ulicy i wpadłem w rozpacz. Zatrzymałem się i coś się między nami zaczęło, a teraz i tak ją stracę.

- Możemy przynajmniej być kumplami?

- Jak z Laney Potter?

- Chryste, Brooke.

- Przepraszam, sukowaty komentarz. Tylko że... to wcale nie jest dla mnie łatwe.

- Więc tego nie rób.

- Muszę. - Brooke wstaje. - Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest.

- Nic mi nie było, dopóki nie wpadłaś.

Brooke uśmiecha się smutno, pochyla się i całuje mnie w skroń.

- Przepraszam. - Jest tak blisko, że pęka mi serce. Jest niemożliwie piękna. Nigdy nie była moja, a jednak ją tracę.

- Wiesz, co jest najgorsze? - pytam, kiedy ona sięga do klamki.

- Co?

- Że wszystko zaczynało się układać. Wreszcie znalazłem drogę. Dziś miał być pierwszy dzień mojego nowego życia razem z tobą.

Jej ręka zaciska się na klamce, Brooke na chwilę opiera głowę o drzwi.

- Nigdy nie umiałam trafić w dobry moment - uśmiecha się po raz ostatni i wychodzi.

- Kurwa mać! - wybucha zirytowany Russ na widok mojego wyrazu twarzy. - Koniec odwiedzin!

Ale zjawia się jeszcze jeden gość. Późnym popołudniem ktoś puka do drzwi.

- Nie otwieraj - mówię. - Za żadne skarby!

- Kto to może być? - pyta Russ, wychylając się zza magazynu. - Jakaś kolejna przygnębiona laska?

Znow rozlega się pukanie, drzwi się otwierają i wchodzi Stephen Ives, dziedzic od końskiego gówna.

- Hej - mówi, przystawiając sobie krzesło do łóżka.

- Hej - odpowiadam.

- Podobno lekko oberwałeś.

- Dobre wieści szybko się rozchodzą.

- Wiedziałem, że przez tego swojego kutasa napytasz sobie biedy.

Siedzący przy oknie Russ nagle sięga po kosz na śmieci i rzuca nim w Stephena, który, łapiąc go, spada z krzesła na kolana.

- Hej! - odwrzaskuje, podnosząc się.

- Teraz pana poznaję - mówi Russ z gniewnym uśmieszkiem. - Mąż Claire.

- A tobie co, do cholery? - w oczach Stephena płonie wściekłość.

- Doug ma dziś ciężki dzień - mówi Russ hardo. - Nie musi wysłuchiwać niczyich pierdoł.

Stephen przez chwilę bacznie się w niego wpatruje, potem odwraca się do mnie i przepaszająco kiwa głową.

- Masz rację, wybacz - mówi. - To było zupełnie niepotrzebne.

- Pewnie, kurwa, że tak. - Russ ewidentnie szuka zaczepki. Jest nabuzowany, w końcu siedzimy tu cały dzień.

- Przepraszam, Doug - mówi Stephen, siadając obok mnie. - Zachowałem się jak palant.

- Daj spokój - odpowiadam.

- Wyjdiesz dzisiaj?

- Miałem wyjść godzinę temu. Czekam na tomografię.

- Dobrze, że nic ci nie jest. Mieliśmy nieporozumienia, ale jesteśmy rodziną, co? Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

- Dzięki, Stephen - odpowiadam, wbrew sobie wzruszony. - Zachowywałem się wobec ciebie jak palant, ale zawsze podejrzewałem, że wcale nie jesteś takim fiutem.

Stephen kiwa głową i odkasłuje, przez moment patrzymy w przeciwną stronę.

- Ja tam nie jestem przekonany - wypala Russ, po czyni wszystkich trzech ogarnia chichot, który rozładowuje atmosferę.

- Pewnie nie będzie cię na ślubie? - pyta Stephen. Nagle spostrzegam, że ma na sobie smoking.

- Nie. A ty jedziesz?

Kiwa głową, kraśniej, przeczesuje włosy palcami.

- Umrę, jak jej nie zobaczę.

Stephen stoi w ostrym świetle, widzę, że schudł, ma wy-mizerowaną twarz i przekrwione, porażone czymś oczy. Przypomina mi siebie samego.

- Jasne - mówię. - Jedź.

- Jakie mam szanse?

- To Claire - odpowiadam. - Niczego nie przewidzisz. Wszystko jest możliwe.

- No dobra. - Stephen wstaje. - Chyba się zasiedziałem. Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę?

Patrzę na Russa, który stoi pod ścianą w wymiętym garniturze, w którym wczoraj spał.

- Właśnie się zastanawiam - odpowiadam. Russ zerka na mnie.

- Myślisz o tym, o czym ja myślę?
- Moja młodsza siostra wychodzi za męż. - Staczam się z łóżka. Boli, ale nie tak bardzo, jak myślałem.
- Fakt. - Russ podchodzi, żeby mi pomóc. - Wiedziałem, że o tym myślisz. - Wyjmuje z szafy moje zakrwawione spodnie.
- Nie możesz, ot tak, wyjść - rzuca Stephen.
- To się przekonasz.
- A tomografia?
- Im dłużej czekam, tym bardziej mi się odechciewa. Kiedy zatrzymujemy się pod windą, dostrzega nas pielęgniarza.
- A wy dokąd? - pyta, podbiegając.
- Na dwór - odpowiada Russ.
- Lekarz jeszcze pana nie wypisał! - siostra podnosi głos, patrząc, jak wsiadamy do windy. - Nie może pan wyjść.
- To się pani przekona - mówi Stephen, kiedy drzwi się zamykają.
Porsche Stephena to samochód na dwie osoby. Za siedzeniami jest tylko małe skórzane podparcie, ale Russ jakimś cudem się tam wciska, wyciąga nogi po obu stronach skrzyni biegów i opiera się stopami o deskę rozdzielczą. Ja siadam obok Stephena, mam nogę Russa za oparcie i przy każdej nierówności na drodze jęczę z bólu.
Bum.
- Auć.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi. Bum.
- Oj.
- Bardzo cię przepraszam.
- Nic się nie stało.
Po drodze Stephen dzwoni po kierowcę, który ma przyje-

chać pod mój dom. Russ bierze prysznic i przebiera się w czarny garnitur, ja tylko myję głowę i przemywam się gąbką, bo nie chcę zmieniać bandaży. Russ pomaga mi założyć groteskowy szary frak - taki Mike wybrał dla swoich drużbów - po czym przeglądamy się obaj w lustrze w sypialni, za drzwiami do szafy Hailey. Wyglądamy jak faceci z okładki. Jesteśmy młodzi, szczupli, smutni i piękni. I spóźnieni czterdzieści minut.

- Wyglądamy bosko - mówi Russ.
- Z łobuzerską nutką - dodaję.
- No to do dzieła.
- Zero alkoholu.
- Zero krwi.
- Zero podrywania panny młodej - i to pod żadnym pozorem.
- Zero wymachiwania bronią.
- Stoi.
- Stoi.

Podjeżdża limuzyna, a jakże. Cóż innego miałby Stephen na szybkim wybieraniu? Kiedy wychodzimy przed dom, on stoi na chodniku i dopala grube cygaro.

- Nareszcie - mówi, gasząc niedopałek podeszwą. - Już miałem wzywać ekipę poszukiwawczą. - Zapadamy się w miękkie, skórzane siedzenia, a limuzyna rusza leciutko jak jacht z przystani. Siedzimy w milczeniu, wyglądamy przez przyciemniane okna, pochłonięci swoimi nerwowymi myślami. Russ przegląda kolekcję płyt CD w schowku obok odtwarzacza i wybiera starą płytę KISS. Zaczynają dudnić basy, zawodzi gitara, a my wykrzykujemy prostackie słowa, zbiorowo kojąc nerwy w grzmiącym rytmie.

I want to rock and roll all night, and party every day! I want to rock and roll all night, and party every day! Nawet Stephen do nas dołącza, stuka kolanem i kiwa głową w rytm. W końcu wszyscy wydieramy się na cały

głos, podskakujemy na siedzeniach, walimy w tapicerkę, usiłujemy pozbyć się resztek stresu. Piosenka kończy się jednak zbyt szybko, zanim cokolwiek metafizycznego może się wydarzyć, zanim rock and roli może nas ocalić. Żaden z nas nie zna słów kolejnego utworu - czy jest w ogóle ktoś, kto potrafi zaśpiewać więcej niż jedną piosenkę KISS? Russ ścisza muzykę i znów wyglądamy przez okna. Limuzyna pędzi po autostradzie - trzech zagubionych, zdezorientowanych, wystrojonych facetów mknie na północ w kierunku niepewnego zbawienia, a tymczasem na wieczornym niebie rozplywają się ostatnie macki promieni słonecznych.

Po godzinnym koktajlu powitalnym gości spędzono na dwór; na skarpie ponad plażą rozstawiono pięćset składanych krzeseł, zwróconych w stronę podestu z baldachimem, zza którego widać pogrążające się w falach słońce. Ćmy wykonują misje samobójcze - wlatują prosto w latarnie otaczające pagórek. Z pola golfowego oddalonego o jakieś pięćdziesiąt jardów i odgradzonego długim, wysokim płotem dobiegają stłumione odgłosy mocnych, rytmicznych uderzeń w piłki golfowe. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, kwartet skończył już grać, Debbie została poprowadzona alejką pod baldachim i stoi tam teraz z Mikiem w otoczeniu druhen w eleganckich czarnych sukniach i okrojonego składu drużbów Mike'a. Swoją drogą, Mike powinien był zawczasu pomyśleć o rezerwowych. Z ulgą stwierdzam, że nie ma Dave'a Pottera; chyba wszystkim byłoby niezręcznie.

Rabin Gross z synagogi moich rodziców, z którego usług matka korzysta przy wszelkich uroczystościach religijnych, podchodzi do mikrofonu i odchrząkuje. Nie widzimy wolnych miejsc, więc Russ, Stephen i ja stajemy z tyłu - dogodnie, bo nie na widoku.

- Drodzy przyjaciele - zaczyna rabin łagodnym, gulgoczącym głosem. Jest wysoki i kanciasty, ma siwe włosy i spiczastą bródkę, przez co przypomina Zygmunta Freuda. -

To dla nas ogromny zaszczyt - spotkać się w tym dniu przy tak radosnej okazji i towarzyszyć Debbie i Mike'owi, którzy dziś celebrują swoją miłość. Przed rozpoczęciem ceremonii chciałbym odczytać fragment psalmu, który doskonale podsumowuje to, czego wszyscy chcielibyśmy dziś życzyć młodej parze.

Rabin znów odchrząkuje i zaczyna czytać, a ja wpatruję się w niego z taką uwagą, że dopiero po chwili uświadamiam sobie, że dostrzegła mnie Debbie. Zdumiona wytrzeszcza oczy, nachyla się do Mike'a i z przejęciem szepcze mu coś do ucha. Mike odwraca się w moją stronę, a Debbie nagle ujmuje obiema rękami suknię i zbiega z podium na alejkę. Po tłumie rozchodzi się zdumione westchnienie, a rabin przerywa w pół słowa. Ja tymczasem obawiam się, jak zostanie odebrana moja obecność. Jestem bratem panny młodej, który zerznął cudzą żonę - wszyscy goście niewątpliwie zdążyli już poznać pikantne szczegóły, bo przecież przyjęcia weselne są znacznie bardziej rozrywkowe, jeśli kryje się za nimi jakaś historia z pieprzykiem. Ale w końcu moja młodsza siostra wychodzi za mąż, więc żeby ukoić nerwy, mruczę pod nosem cały elaborat, którego spójność zadziwia mnie samego, i kuśtykając, wychodzę naprzeciw Debbie. Miętko wpadamy na siebie, ona śmieje się przez łzy i rzuca mi się na szyję.

- Wyglądasz pięknie, mała.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję - szepcze mi do ucha. -Nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś.

- Za nic bym tego nie przegapił - odpowiadam i nagle czuję, że braknie mi tchu.

Debbie chwyta mnie za rękę i prowadzi na podium. Nie daję rady sam na nie wejść, więc Mike nachyla się i mi pomaga.

- Cześć, stary. Jak to dobrze, że jesteś.

- Przez chwilę czuję przeszywający ból, straszliwe szar-

panie, tkankę porwaną aż do żywego mięsa, ale wreszcie jestem na górze.

Claire wychodzi przed drużyny, żeby mnie przytulić.

- Przywoływałam cię myślami cały dzień - szepcze, po czym wraca na miejsce, wymownie stukając palcem w swoją skroń. - Bliźniacza telepatia.

- Wszystko w porządku? - pyta rabin, nakrywając dłonią mikrofon.

- Jak najlepszym - odpowiada Debbie i zajmuje miejsce obok Mike'a.

- Przyzwyczyłem się, że ludzie wychodzą z moich kazań, ale kiedy ucieka panna młoda, to znaczy, że czas zmienić zawód - rabin rzuca dowcip jak zawodowy komik, tłumek wybucha śmiechem, wszystko wraca do normy. Dostrzegam rodziców w pierwszym rzędzie, uśmiechają się do mnie, macham do nich lekko, szukając otuchy, gdy tak stoję spocony i bezradny w świetle lamp ekipy kręcącej film. Potem Mike wkłada obrączkę na palec Debbie, ona wkłada obrączkę na jego palec, a ja obserwuję twarz swojej siostry wpatrzony w Mike'a i przez chwilę zostaję zalany ciepłym blaskiem ich niezmaconego szczęścia. Od wieków nie czułem czegoś tak prostego i czystego i przynajmniej w tej chwili wszystko inne schodzi na dalszy plan.

Mike kończy ceremonię, pospiesznie zgniatając butem owinięty w serwetkę kieliszek, goście klaszczą i gwizdzą, po czym hałaśliwy tłum weselników podąża za młodymi alejką. Claire bierze mnie pod rękę. Idziemy powoli za rodzicami, którzy machają i kiwają do przyjaciół. Na końcu alejki, za ostatnim rzędem krzeseł stoi Stephen i nerwowo bawi się rękami, obserwując mijającą go gromadę.

- Stephen! - wykrzykuje ojciec, podchodząc do niego, żeby go uściskać. - Co tam?

- No właśnie - mówi Claire cienkim, ostrym głosem. - Co tam?

- Cześć, Claire. Nie chcę cię nękać. Możemy gdzieś przez chwilę porozmawiać?

- Tutaj.

- Zostawię was - mówię, ale Claire zaciska rękę wokół mojej.

- Stój - rozkazuje i patrzy na Stephena. - Mów.

- Dobrze - Stephen nerwowo odchrząkuje, a tłum nadal wije się wokół nas w stronę głównej sali. - Kocham cię, Claire - mówi. - Nigdy nie przestałem cię kochać i nigdy nie zapomniałem, jakim jestem cholernym szczęściarzem, że cię mam, ale gdzieś po drodze cię zawiodłem. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie gdzie, a gdybym wiedział, ta przemowa wypadłaby znacznie lepiej. Wiem tylko i czuję w sercu, że cię zawiodłem, i najmocniej cię za to przepraszam. Nie przyszedłem cię prosić o kolejną szansę, bo wiem, że jak coś postanowisz, to nie ma odwrotu. Jeśli będziesz chciała się ze mną rozwieść, to tak się stanie, a ja dopilnuję, żeby niczego ci nie zabrakło. Będziemy mieli dziecko, więc chciałbym, żebyśmy potrafdi się dogadać i być dobrymi rodzicami. A jeśli, jakimś cudem, nie jesteś do końca przekonana, to powiem ci, że chcę, żebyś wróciła i przysięgam - przysięgam, że już nigdy cię nie zawiodę.

Claire wpatruje się w niego przez dłuższą chwilę.

- To się tylko tak skończy, że znów cię zranię - mówi łagodnie.

- Bardziej już się nie da.

- Wierz mi - odpowiada. - Da się.

On kiwa głową, chrząka, znów kiwa głową.

- No dobrze. Powiedziałem, co chciałem powiedzieć. Cieszę się, że mogłem cię znów zobaczyć. - Stephen patrzy na mnie, nadal kiwając głową. - Lepiej się czujesz?

- Tak, dzięki.

- Przysłać limuzynę?

- Nie, dzięki. Moje auto stoi tu od zeszłego wieczoru.

- W porządku. - Stephen podchodzi i całuje Claire w policzek. - Do widzenia, Claire. Będę czekał na znak. - Potem odwraca się i wtapia w tłum błądzący po trawniku do szklanych drzwi. Claire patrzy za nim, a ja patrzę na Claire.

- Jaką limuzynę? - pyta. - Ty go tu przywiozłeś?

- Raczej on przywiózł mnie.

- A jak to się stało?

- Tak się złożyło, że akurat był w szpitalu, kiedy postanowiłem wyjść, i zaoferował, że nas podrzuci.

- Tylko czemu do ciebie przyszedł?

- Nie wiem - odpowiadam. - Bo jesteśmy rodziną.

Ona kiwa głową i patrzy, jak Stephen powoli znika jej z oczu. Z sali balowej dochodzą dźwięki orkiestry - zaczęła grać *Celebration* Koola i Gangu, rozlegają się znajome odgłosy trąbek.

- Kurwa nędza - mówi Claire, kręcąc głową. - Kurwa nędza.

- Idź.

I ona pędzi, woła go, biegnie pod górę na obcasach. Jeszcze przez chwilę widzę, jak on się odwraca, ona na niego krzyczy, a potem pochłania ich tłum.

To niesamowite, jak szybko wesele dobiega końca. Wydawałoby się, że po tak długim oczekiwaniu i planowaniu, po tylu tygodniach napięcia i radości, feta potrwa tydzień, a nie sześć godzin. Tańczymy, jemy, tańczymy. Mike wygłasza krótką przemowę do Debbie, Max wywołuje poruszenie pijackim toastem ocierającym się o pornografię, zakończonym zaskakująco emocjonalną nutą. Ja podbieram matce kilka vi-lek - wyłącznie z powodów medycznych - a potem Rudy, wystrojony w granatowy frak, przerywa czujne baczenie nad moim ojcem i zmienia mi w łazience bandaż. Matka porządnie się wstawia, wchodzi na scenę i wraz z zespołem śpiewa kilka szlagierów, po czym tak się rozochaca, że jest

gotowa bisować do rana, aż wreszcie Claire udaje się ją przekononać, żeby zeszła, i oto teraz jemy deser, a tłum powoli się przerzedza. Debbie i Mike żegnają wszystkich i całują tych, którzy stoją najbliżej, dyskretnie chowają koperty i czmychają do hotelu. Rano wylatują na Antiguę. Potem orkiestra zaczyna grać *In the Wee Smali Hours*; tańczą tylko moi rodzice, wsłuchani w piosenkę Sinatry, wtuleni, pośrodku parkietu, a obsługa powoli zaczyna sprzątać. Russ, Claire i ja jemy palcami miniaturowe ciastka truflowe. Stephen siedzi w pobliżu i prowadzi z wujem Freddyem niekończącą się rozmowę, która będzie trwać dotąd, aż któreś z nas ruszy tyłek, żeby go uratować.

- Szlag - mówi Claire. - Zgubiłam kolczyk w limuzynie.

- A coś ty robiła w limuzynie? A... Aha!

- Wiem, wiem - mówi, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Stephen dobrze wie, że dostaję kota, jak widzę go w smokingu.

- Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale bardzo go polubiłem.

- Dzięki - odpowiada Claire. - To nic nie znaczy. - Opiera mi głowę na ramieniu i miętosi moją dłoń kciukiem i palcem wskazującym.

- Jak to jest znów go widzieć? - pytam.

- Sama nie wiem. Jestem tak rozpiędolona hormonalnie, że już niczego nie jestem pewna.

- W niepewności nie ma nic złego.

- Na pewno?

- Claire, mówię poważnie. Może po prostu się nie spiesz - mówię. - Najpierw się zastanów.

- Z rozwagi to ja nigdy nie słyszałam - mówi Claire.

- Ludzie się zmieniają - mówię, zlizując z palca czekoladowy lukier.

Claire postanawia wrócić do domu ze mną i z Russem, ale na jutro umawia się ze Stephenem na lunch. Na parkingu jesi ziab. Kiedy się żegnamy, ciepło szybko ulatuje z naszych ciał. Matka przytula mnie i przyciska czoło do mojej głowy.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś, Doug.
- Też się cieszę.
- Poradzisz sobie?
- Pewnie. Za kilka dni będę jak nowo narodzony.
- Nie o to mi chodziło - mówi matka.
- Wiem. Nic mi nie będzie.
- Na pewno?
- Na pewno.

Matka cmoka Russa w policzek.

- Tylko dbaj o mojego synka.
- Spokojna głowa, pani Parker.
- Na miły Bóg, może wreszcie zaczniesz mi mówić po imieniu.
- Dobra, Evie.

Ojciec wygląda na zmęczonego, ale szczęśliwego.

- Ale przyjęcie, co? - pyta.
- Genialne - odpowiadam, zapadając się w jego idealnych objęciach.
- Ucałuj ode mnie Hailey - mówi, klepiąc mnie po plecach.

Wtulam się w niego jeszcze przez kilka sekund, po czym mówię:

- Oczywiście, tato.

Rudy poprowadzi audi, rodzice siadają z tyłu, matka opiera ojcowi głowę na ramieniu. On wystawia rękę przez okno i rozczapierza palce, żeby schwytać wiatr. Samochód przyspiesza na zadrzewionej drodze i po chwili znika.

Miałem żonę. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.

Kilka tygodni po ślubie Debbie, pewnego wilgotnego, szarego poniedziałku, siadam przy komputerze i wystukuję te słowa. Kyle wynegocjował umowę z szacownym wydawnictwem, a ja po kilku dniach głębokiego namysłu uznałem, że już czas wrócić do pracy. Nie mam planu ani żadnych wskazówek poza czterostronicową propozycją, którą sklecił i podpisał moim nazwiskiem Kyle. Podstawą zawarcia umowy było moich dwanaście felietonów opublikowanych w „M”. Przed kilkoma dniami usiadłem w sali konferencyjnej, z której roztacza się widok na całe miasto. Perry Mansfield, redaktor prowadzący, trzymając w ręku zwinięte w rulon stronicę z moimi felietonami, nazwał produkt uboczny mojego zrujnowanego życia „genialnym materiałem”.

Zaliczka nie jest specjalnie wysoka - no, ale w końcu i tak będę bogaty, a poza tym nie o to chodzi. Muszę myśleć o Russie - o pieniądze nie musimy się co prawda martwić, ale byłbym dla niego raczej marnym przykładem, gdybym całe dni siedział na tyłku i drapał się po jajkach. Mam napisać wspomnienia, które uporządkują chronologicznie cały ten bajzel, jaki narobiłem po śmierci Hailey. Nie mam ochoty ponownie tego wszystkiego przeżywać, ale koniec końców spi-

sanie tej opowieści to najlepszy sposób, żeby zatrzymać tu Hailey na zawsze. Bo teraz już wiem, że ból nieuchronnie przeminie, już to czuję - gasnące węgielki na obrzeżach ogniska zmieniają się w martwą szarość i rozsypują na wietrze. Opublikowanie świadectwa naszego życia pomoże mi pogodzić się ze stratą - takie są przynajmniej teoretyczne założenia.

Tak więc oficjalnie zostałem autorem. Mam kontrakt, redaktora, nowy laptop i termin. Nie mam tylko bladego pojęcia, jak się do tego zabrać. To takie dziwne i nie do końca nieprzyjemne uczucie - znów musiec to robić. Siadam przy biurku w sypialni, ciężki jesienny deszcz wali w dach, postukuje w obudowę kompresora przy domu, jakby klaskał, a ja wyglądam przez okno i zbieram myśli.

Miałem żonę. Miała na imię Hailey. Hailey umarła. A ja razem z nią.

Na razie mam tylko tyle. Ale na napisanie reszty mam cały rok, a w końcu materiałów mi nie brakuje. Coś wymyślę.

Aby uczcić zawarcie umowy, Russ zawozi mnie do studia tatuazu, gdzie zlecam wykonanie mniejszej wersji komety Hailey po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. Tym sposobem, gdziekolwiek się znajdę, będę mógł odwrócić rękę, popatrzeć na niego i pamiętać, że ona jest częścią mnie. Wiem, że to brzmi strasznie banalnie, ale mam poczucie, że tak trzeba - że chcę być nią naznaczony. Wyjaśniam moje powody Russowi, kiedy gość, który będzie mnie tatuował, zakłada gumowe rękawiczki i przeciera mi rękę alkoholem.

- To ma sens - mówi Russ.

- Ale od razu nasuwa się pytanie, dlaczego ty zrobiłeś swój na szyi.

- Nie wiem. Pomyślałem, że to fajne miejsce na tatuaz.

- Ale żeby go zobaczyć, musisz stanąć przed lustrem i wygiąć szyję, a wtedy on zmienia kształt.

- Racja. Zrobię sobie drugi, tam gdzie ty.

- Spadaj.

Jesteśmy w zacnym studiu tatuażu, wciśniętym w pasażu pomiędzy piekarnią i pralnią chemiczną. Moją kometę wytatuuje facet, który wygląda jak czyjś dziadek, wokół łysej, piegowatej kopuły głowy ma pierścień białych włosów, wąskie usta ściśnięte w uprzejmym uśmiechu i fartuch na flanelowej koszuli.

- Nie ma pan żadnego tatuażu - mówię, patrząc na jego ramiona.

- Szewc bez butów chodzi - odpowiada, szykując igłę.— Dobrze znosi pan ból?

Spoglądamy z Russem na siebie i szeroko się uśmiechamy.

Noce bywają ciężkie. Kiedyś były najbardziej znośną częścią doby, porą, kiedy ból bladł i przeobrażał się w ćmiące pulsowanie. Byłem wówczas mniej świadomy świata, który żyje swoim życiem za moimi oknami, ludzi, którzy zajmują się swoimi sprawami, czasu, który nieuchronnie ucieka, siebie samego, odgrozonego potężną zaporą żalu. No i wieczorami byłem zwykle pijany. Już nie trzymam w domu alkoholu. Trawy też nie, żeby nie było. Jestem trzeźwym ojczymem, który nie może się niczym znieczulić, gdy nadchodzi zaklęta godzina.

Wchodzę do pokoju Russa, a on szybko wyłącza monitor. Ma teraz dziewczynę. Co nieco o niej wiem, ale są to tylko podstawowe informacje. Russ nie czuje się jeszcze na tyle swobodnie, żeby o niej opowiadać, a ja nie chcę być wścibski. Cieszę się, że ją ma, ale takie małe rzeczy, jak nagłe wyłączenie monitora, kiedy wchodzę do pokoju, przypominają mi, że choć jesteśmy dobrymi kumplami, to jednak ja jestem opiekunem, a on jest dzieckiem, i chociaż ta granica często się zaciera, to niewątpliwie istnieje. Pewnie dobrze, że tak jest, ale skłamałbym, mówiąc, że to zupełnie nic nie boli.

Dopiero od kilku tygodni jestem na powrót jego ojczymem, a już zasmuca mnie to, że do pewnych fragmentów jego życia na zawsze stracę dostęp.

- Jak leci? - pytam.

- Bomba.

- Idziesz do kina?

- Nie mogę. Mam lekcje.

- Skoro tak.

- Może zadzwonisz do pani Hayes?

- Jasne.

- Ale czemu?

- Bo jasno dała mi do zrozumienia, żebym tego nie robił. Myślę o Brooke od czasu do czasu. A właściwie cały czas.

Rozglądam się za nią, kiedy odwożę Russa do szkoły, kilka razy dziennie przejeżdżam obok domu rodem z serialu *Grunt to rodzinka*, przesiaduję sam w kinie, zastanawiając się, czy dziś może być ten dzień, kiedy ona się pojawi. Wyliczam prawdopodobieństwo spotkania, biorąc pod uwagę dni tygodnia i liczbę seansów w multipleksie. Zastanawiam się, czy nie zostawić jej wiadomości, że wybieram się do kina na taki a taki film, ale wtedy mam przed oczami jej wyraz twarzy, kiedy się ze mną żegnała, i nie jestem w stanie wystukać jej numeru.

- Wiesz co - mówi Claire, kiedy kilka dni później siedzimy w Starbucksie, ona popija kawę, a ja wodę. - Terapeuta pewnie by ci powiedział, że to ogromny postęp, że tęsknisz za żywą kobietą, a nie za martwą.

- Dlatego nie chodzę na terapię. Gadają do buta.

- Co masz na ręku?

- Tatuaż.

- Niemożliwe!

Pokazuję jej kometę Hailey, rozpiętą na moim nadgarstku.

- Niesamowita - mówi Claire, gładząc ją palcami. - Rety, dołączyłeś do kontrkultury.

- Git ze mnie gość.
- Mroczny i niebezpieczny.
- Sraty-taty.
- Teraz i ja muszę sobie zrobić.
- Czemu?
- Dla równowagi.
- Bo ja wiem, Claire. To poważna decyzja.
- O co ci chodzi?
- O nic. Jak ze Stephenem?

- Chyba w porządku - odpowiada. - Teraz ciągle uprawiamy seks. A potem gadamy o seksie. Wystawiamy sobie noty. Zastanawiamy się, co można poprawić. No, ale niedługo będę tłąstą świnią, przestaniemy się tyle bzykać i trzeba będzie wymyślić inne tematy do rozmowy.

- Będziecie mieli dziecko. Może o tym.

- Może.

- Przeprowadzasz się do niego?

- Nie wiem - mówi smutno Claire, wyglądając przez okno. -
Odpowiada mi, jak jest teraz.

Nikt nigdy nie potrafił pomóc Claire. Z jakiegoś powodu moja nad wyraz piękna i inteligentna siostra zawsze będzie się zmagać z wewnętrznym przymusem, żeby niszczyć i palić, i wstawać z popiołów. Zawsze będzie niedowierzała własnemu szczęściu, zawsze będzie je sabotować. Ta myśl sprawia, że czuję się stary i przygnębiony.

- Kochasz go?

- Chyba tak.

- To dobrze.

- Myślisz, że powinnam do niego wrócić?

- Poczujesz, jak przyjdzie czas.

- Gówno prawda.

- Dobra, to ja ci powiem, jak będzie czas.

- Dzięki.

- Już czas.

- Odpierdol się.

Odbijamy piłeczkę, uprawiamy szermierkę słowną, rozważamy wszystkie za i przeciw, ale to i tak bez znaczenia, bo brakuje mi mądrości, którą mógłbym się podzielić. Claire to Claire, a ja to ja, i oboje pozostaniemy do pewnego stopnia zwichrowani. Może to cena za to, że nigdy nie musieliśmy być do końca samodzielni, bo zawsze mieliśmy to drugie Jakkolwiek jest, męczy mnie świadomość, że ona nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwa. Mogę mieć tylko nadzieję że kiedy zostanie matką, coś w niej drgnie, uśpiony gen zadowolenia wreszcie się obudzi. Ale może też być tak, że dopiero wtedy Claire przeżyje najpoważniejsze załamanie. Chciałbym niezachwianie wierzyć, że będzie dobrze, ale na wszelki wypadek pokój czeka. Na razie urządzę w nim gabinet.

Pewnej chłodnej nocy jadę do Stop & Shop po zakupy. Opustoszały parking jest jak widmo. Stoi tu tylko kilka samochodów, a porzucone wózki - duchy przeszłości klientów którzy dawno się oddalili - grzechoczą popychane w tę i z powrotem jesiennym wiatrem. Już mam wysiąść z samochodu ale nieopodal dostrzegam Laney, która wkłada siatki z zakupami do bagażnika minivana. Co tu się dziwić - zdaje się że nie tylko ja jeżdżę do sklepu w nocy, żeby nie wpaść na nikogo znajomego. Laney jest ubrana w dżinsy, obcisły biały sweter i buty na obcasach. Nie wiedzieć czemu, zaczynam się denerwować. Obniżam się na siedzeniu w nadziei, że mnie me zobaczy. Mike mówił, że Laney i Dave chodzą na terapię małżeńską, ale śpią w oddzielnych sypialniach i szanse są raczej marne. Myślę o ich córeczce, która tak mocno się we mnie wtulała, kiedy niosłem ją do łóżka, i wiem, że już zawsze będę siebie za to nienawidził. Patrzę, jak Laney odprowadza koszyk na miejsce. Wiem, że powinienem wysiąść i się przywitać - w końcu kiedyś i tak na siebie wpadniemy - ale parking jest wyludniony, a mnie paraliżuje bezsensowny

strach i cały się trzęsę. Wreszcie włączają się światła miniva-na i Laney odjeżdża. Tatuaż na nadgarstku przypomina mi, co straciłem, a Laney Potter na parkingu przypomina mi, co zrobiłem, i muszę się z tą myślą oswoić, ale czasami bezwzględna trwałość wszystkiego uciska czaszkę jak żelazna obręcz.

Już nie rzucam w króliki. Po zakopaniu tego rozjechanego postanowiłem przyznać pozostałym prawo do nieograniczonego skubania trawy, żeby śmierć tamtego nie poszła na marne. Przysiadają więc na moim trawniku - czasem samotnie, czasem we dwa albo we trzy - trzęsą się albo medytują nad tym, nad czym zwykle myślą króliki. Nie zwracają na mnie uwagi, nie rzucają mi oskarżycielskich spojrzeń, czego się obawiałem, raczej nie łączą mnie z marnym losem, który spotkał ich brata. Króliki wiedzą, że czasem takie rzeczy się zdarzają i nikt nie może nic na to poradzić. Tak więc one skubią sobie w najlepsze, a ja spokojnie im się przyglądam i fajnie byłoby myśleć, że może wszyscy jesteśmy teraz odrobinę mądrzejsi.

Tym właśnie zajmuję się w czwartkowe popołudnie: siedzę nad laptopem w otwartym oknie sypialni i obserwuję samotnego królika odpoczywającego w cieniu wielkiego jesionu, po raz kolejny zmieniając plan powieści. Nagle dzwoni telefon.

- Doug? Mówi Brooke.

Jej głos jest niczym aria, a włoski na moich ramionach nagradzają ją owacją na stojąco.

- Cześć - mówię. Wstaję i nerwowo krążę po pokoju.

- Dzwonię w sprawie Russa - mówi Brooke, zanim zdążę cokolwiek dodać.

- Co się stało?

- Ukradł samochód do nauki jazdy.

- Że co?!

- Zwinął kluczyki z kurtki instruktora i nawiał.

- Nie wierzę własnym uszom.
- Nie chcę dzwonić na policję, ale minęło już dwadzieścia minut, a on nie ma prawa jazdy. Może sobie zrobić krzywdę. Albo komuś.
- Wiem - mówię, usiłując zapanować nad gonitwą myśli. - Dokąd on, cholera, pojechał?
- Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Na dworze rozlega się rytmiczny klakson.
- Czekaj - mówię do Brooke. - To biała corolla?
- Tak.
- Nie dzwoń na policję. W ciągu kwadransa ją odprowadzę. Schodzę na dół. Russ stoi oparty o samochód, szczerząc się od ucha do ucha.
- Moja pierwsza samodzielna jazda - mówi. - Niezły jestem, co?
- Co ci do cholery ciężkiej strzeliło do głowy, żeby ukraść samochód?
- Bo ja wiem - może tak się manifestuje mój żal?
- Mogli cię aresztować.
- Skalkulowałem ryzyko.
- Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś.
- Miałem wybór między zwinięciem auta albo kolejną bojką. A przecież porzuciłem przemoc, przynajmniej na razie.
- Coś ty usiłował osiągnąć? - pytam zirytowany.
- Nie wiem. Jestem tylko głupim dzieciakiem.
- Fakt. Wracamy.
- Ja prowadzę - mówi Russ, a ja rzucam mu mordercze spojrzenie. Russ wzrusza ramionami i rzuca mi kluczyki które łapię wściekłym ruchem. - Niech ci będzie - mówi i ogląda mnie od dołu do góry. - Chyba nie pojedziesz tak, jak jesteś?
- Bo co?

- Bo masz wielką dziurę pod pachą. Załóż jakiś sweter. I weź no się, kurwa, uczesz, wyglądasz, jakbyś dopiero wstał. - Russ nachyla się, żeby mnie powąchać. - W sumie to i szybki prysznic by ci się przydał. Zaczekam.

- Co ty do cholery wygadujesz?

Mój szalony, piękny, pojebany pasierb rzuca mi promienny uśmiech, a ja zaczynam rozumieć.

- Doug, jak ona pięknie dziś wygląda. Widziałem ją w gabinecie.

- Oszalałeś.

- Wielka miłość rodzi się w bólach.

- Nie mogę uwierzyć, żeś to zrobił.

- Serio? - pyta. - To akurat jest bardzo do mnie podobne. Stoję przez chwilę jak idiota, drapiąc się nad skronią, potem kręcę głową i uśmiecham się do Russa.

- Daj mi pięć minut.

- Dziesięć. I załóż tę niebieską koszulę z wyciętym kołnierzem. Pasuje ci do oczu.

- Nie no, teraz wydziwiasz.

- Przepraszam.

W drodze do szkoły, śpiewamy na cały głos piosenkę The Clash przy otwartych oknach. Wtórujemy każdej nucie solówki gitarowej, walimy w deskę rozdzielczą idealnie w rytm, dokładnie wtedy, kiedy trzeba, zmieniamy intonację. Nikt tego nie potrafi tak jak my. Mamy bezbłędny instynkt, niezwykle wycucie. Na światłach kierowcy gapią się na nas w osłupieniu, a my wygrywamy melodię i wydzieramy się na cały głos.

Nie spodziewam się niczego wielkiego. Nie będzie płomiennej przemowy, nie wpadniemy sobie w ramiona, nie będę odtwarzał w deszczu serenad pod jej oknem, nie nastąpi długi, namiętny pocałunek na korytarzu w otoczeniu wiwatujących uczniów. Ale może jeśli mnie zobaczy, to przypo-

mni sobie, że między nami zaczęło się dziać coś dobrego, coś prostego i prawdziwego, i może widząc ją, znajdę w sobie odwagę, żeby poprosić ją o jeszcze jedno spotkanie. Może wymienimy spojrzenia albo roześmiejemy się, może coś sprawi, że ziemia pod nami lekko drgnie, a ja będę umiał zostawić jej wiadomość na sekretarce, kiedy następnym razem wybiorę się samotnie do kina. I może coś w moich oczach albo w moim głosie przekona ją, że warto pójść, że warto ze mną spróbować. Na tym etapie życia nie szukam happy endu. Szukam szczęśliwego początku.

Piosenka się kończy, prezenter nawija jak katarynka, Russ wyłącza radio. W nagłej ciszy łapię się na tym, że po powrocie chcę opowiedzieć Hailey, jacy jesteśmy z Russem śmieszni, kiedy tak śpiewamy w samochodzie. Wciąż miewam takie myśli - potężna fala melancholii jest jak odruch warunkowy, którego nie można się oduczyć. Russ zaczyna coś mówić, ale przerywa, wyczuwając moją zmianę nastroju i przez resztę drogi jedziemy w braterskim milczeniu. Zdaje się, że tak będzie odtąd wyglądać życie: długie okresy hałasu przeplatane okazjonalnymi chwilami ciszy - jak piosenki na płycie. Jest coś krzepiącego w myśli, że Hailey tam jest i na mnie czeka; ona jest w ciszy, ja i Russ - w hałasie.

Parkuję samochód przed szkołą. Przez chwilę jeszcze siedzimy.

- Myślisz, że mnie zawieszają?

- Na pewno.

Russ wzrusza ramionami.

- Cel był szlachetny.

Russ powinien podciąć włosy, ale ja mu tego nie powiem. Niebo mocno się zachmurzyło, silny wiatr smaga samochód, suche liście i pogniecione paczki po papierosach podskakują na asfalcie. Wkrótce przyjdzie ziąb.

- Wiesz co - mówię, opierając się w siedzeniu. - Masz prawo być szczęśliwy.

Russ kiwa głową z namysłem, patrząc prosto przed siebie.

- Ty też.

- Wiem.

Patrzymy na siebie przez dłuższą chwilę, a potem na szarość i wiatr za szybą. Powietrze w samochodzie nagle wydaje się naładowane - to coś jak cisza przed pierwszym taktem uwertury. Jesteśmy młodzi, szczupli, smutni i piękni i wszystko się może zdarzyć.

- No dobra - mówię. - Zróbmy to. Jednocześnie otwieramy drzwi i wychodzimy na wiatr.